

ANDRZEJ ONCHIMOWICZ



**TOLERANCJA
I INNE PIERDOŁY**

opowiadania

© Copyright 2014 by Andrzej Onchimowicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora. Zabrania się jej publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży.

Opracowanie graficzne: Andrzej Onchimowicz

Korekta: Bruno

Tytuł: Tolerancja i inne pierdoły. Opowiadania.

Autor: Andrzej Onchimowicz

Wydanie I 2014

ANDRZEJ ONCHIMOWICZ

TOLERANCJA I INNE PIERDOŁY

opowiadania

SPIS TREŚCI

Tolerancja i inne pierdoły	str. 4
Przepychanki	str. 14
Siła protezy	str. 26
Dojrzewanie dziewczynek	str. 39
Fetysz	str. 53
Interesy	str. 62
Na zakupach	str. 69
Złoto	str. 75
Happy new year	str. 87
Proporcje	str. 98

TOLERANCJA I INNE PIERDOŁY

Prezydent Miasta siedział w obrotowym fotelu za masywnym biurkiem i palił papierosa. Cienkie świństwo, Vouge. Lekarz zabronił mu palić, więc zdobył się na kompromis i przeszedł na to babskie paskudztwo. W budynku obowiązywał zakaz palenia i były do tego celu wyznaczone specjalne miejsca. Prezydent Zybelt kompletnie lekceważył ten zakaz uważając, że jego nie dotyczy. - To dobre dla pospólstwa, ale żeby on, prezydent, miał biegać do jakiejś palarni... Też coś!

Dzisiejszy dzień zapowiadał się stosunkowo luźno. Wprawdzie zawsze mogło wypaść coś niespodziewanego i należało się z tym liczyć. Jednak prezydent postanowił zająć się z rana kilkoma sprawami delikatnej natury. Zanim podjął w tym kierunku jakieś kroki, pobieżnie przerzucił stos korespondencji, który przed chwilą wniosła pani Raisa, sekretarka. Kilka kopert odłożył na bok, a resztę odsunął w drugi koniec biurka. Wcisnął przycisk wewnętrznego interkomu i powiedział:

– Raisa, złotko, poproś do mnie wice prezydenta Cynkiera. Aha, i zrób dwie kawy.

Nie minęły trzy minuty i rozległo się pukanie do drzwi gabinetu.

- Proszę, proszę! – zawołał prezydent.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł młody człowiek. Na oko, ledwie po trzydziestce. Wice prezydent Cynkier we własnej osobie.

- Witam, prezydencie. – powiedział z uśmiechem.

- Cześć. – prezydent wyszedł z za biurka i uścisnęli dłonie.

- Siadaj proszę. – wskazał fotel przy mniejszym stoliku. Sam wrócił do biurka po papierosy i popielniczkę, po czym rozsiadł się naprzeciwko. Raisa wniosła tacę z kawą. Nie była jakąś smarkulą, jak większość sekretarek w Urzędzie, ale daleko jej było do wieku dojrzałego. Kiedy wyszła, prezydent zapalił papierosa i przystąpił do

rzeczy. Zanim to jednak zrobił, włączył interkom i powiedział – Raisko, nie łącz mnie teraz z nikim. Chyba, że coś wyjątkowego. Wiesz...

- Mam rano trochę luzu i chciałbym z tobą porozmawiać. – zwrócił się do wice prezydenta. - Powiedz mi Kubuś, kiedy wreszcie zrobisz to magisterium? Bo wiesz...

- O rany, przecież chrzestny wie... - jęklwym tonem zaczął wice prezydent.

- Kurwa, nie mów do mnie chrzestny! – prezydent wyraźnie się rozzłościł. – I tak wszyscy wiedzą. Nie wiadomo skąd. Ale tak jest zawsze. Brakuje tylko, żebyś się do mnie tak odezwał na posiedzeniu Miejskiej Rady! Morda w kube! Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz?! – chwilę milczał, a spłoszony Kubuś bał się cokolwiek powiedzieć i w napięciu czekał na dalszy ciąg.

- No, już dobrze. – prezydent złagodniał. – Jednak podsumujmy fakty. Wice prezydentem jesteś już ponad rok. Nie powiem, dobrze się sprawujesz. Ale na tym stanowisku jest wymagane ukończenie wyższej uczelni. Wy – ma – ga – ne! Rzecz jednak w tym, że to ja ci udzieliłem rekomendacji i na tej podstawie Rada cię zaakceptowała. Był jednak warunek. Pamiętasz? Miałeś pół roku na obronę pracy. I co? Już o tym gadają i tylko patrzeć, a będę się musiał tłumaczyć. Teraz krótko. W czym problem?

- O jej, pracę mam na ukończeniu, ale profesor Glajcher wyjechał z cyklem wykładów do Austrii i Niemiec. Już drugi raz przedłuża kontrakt i prawdę mówiąc nie bardzo wiadomo kiedy wróci. Myślałem już o zmianie promotora. Tyko, że z profesorem miałem dobre układy. Poza tym, jak zmienię prowadzącego, to może mi wpakować nowy temat. Rozumiesz, wszystko będę musiał zacząć od początku.

Prezydent Zybelt zamyślił się i przypalił nowego papierosa. Młodzi, niby tacy dynamiczni, pełni energii i nowatorskich pomysłów, czasem doprowadzali go do rozpacz.

- To czemu, do cholery, już dawno nie poprosiłeś o pomoc? Zrobisz tak. Jeszcze dzisiaj pojedziesz na uczelnię. Zgłosisz się do profesora Melcera. Później do ciebie zadzwonię i powiem o której.

- Ale Melcer czym innym się zajmuje. Jak w banku każe mi pisać nową pracę.

- Jak ci mówię, że masz się do niego zgłosić, to rób co ci mówię. Bez dyskusji. I uspokój się. Melcer będzie wiedział co ma robić, a co ważniejsze, od kogo przychodzisz. I pamiętaj, ustal jak najszybszy termin obrony. Jak się sam nie wyrabiasz z pracą, to weź kogoś, niech ci dokończy.

- W porządku. Może chrze... możesz być spokojny. Pracę będę miał w terminie, choćby na pojutrze.

- To świetnie. Widzę, że się zrozumieliśmy. Pamiętaj, że mi na tym zależy. Potraktuj więc sprawę z należytą powagą. I nie zblamuj się przed Melcerem. No, dobrze. Jedno mamy załatwione. Powiedz teraz co tam u ciebie? To znaczy w kulturze. Coś tam słyszałem o cmentarzu ewangelickim... No i żydowskim. A jak tam stypendia twórcze? Już przyznane?

Kubuś, jako jeden z wice prezydentów, zajmował się szeroko pojętą kulturą. Jak się okazało, nie było to takie proste. Musiał współpracować z wieloma departamentami Urzędu. A to była droga wyboista. Często w grę wchodziły spore pieniądze i na tym tle ścierały się interesy różnych osób. Były też osobiste ambicje, wzajemne popierania się i zaciekle zwalczania. I z tym Kubuś miał codziennie do czynienia. Jednak bardzo szybko przekonał się, że o wszystkim i tak decyduje prezydent. Rzadko robił to osobiście. Najczęściej posługiwał się jednym ze swoich totumfackich. W ten sposób sugerował decyzje i rozwiązania, które sam uważał za właściwe, czy z jakiś powodów ważne i chciał je przeforsować. Było to o tyle bezpieczne, że nikt oficjalnie nie mógł mu zarzucić, że wtrąca się w nie swoje sprawy. Wszyscy jednak wiedzieli kto za tym stoi i metoda sprawdzała się niemal w stu procentach. Kubuś wiedział, że pytania, które zadaje prezydent, mają charakter retoryczny. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że prezydent, jego ojciec chrzestny, jest o wszystkim doskonale poinformowany. Teraz zapewne, będzie chciał mu coś zasugerować.

- Hmm... to może zacznę od ewangelików. Jak wiesz, to spory teren i do niedawna kompletnie zaniedbany popadał w zupełną ruinę. Teraz jest w zasadzie uporządkowany. Jeszcze trwają prace renowacyjne kilku grobowców, które mają jakąś wartość artystyczną i historyczną. W czasie prac porządkowych, wyselekcjonowano sporą ilość płyt nagrobnych, które są w zupełnie dobrym stanie, ale nie bardzo wiadomo gdzie je zagospodarować. Powstał zatem projekt, aby je

umieścić po zewnętrznej stronie muru cmentarnego. Skomponowaniem całości zająłby się Martynow, ten rzeźbiarz. On już wiele razy pracował dla miasta. Uważam, że pomysł jest dobry i wart realizacji. A przy tym nadążamy za duchem czasów.

- Tak, tak... Słyszałem coś o tym. Pomysł... no, może i ciekawy... A wiesz co mówią ludzie? Jakie głosy się podniosły? Nawet w prasie coś było.

- Jakie głosy? Nic nie wiem. – Kubuś był autentycznie zdziwiony, ale już wiedział, że prezydent coś kombinuje.

- Bo nie słuchasz tam gdzie trzeba. Dla nas opinia ulicy jest ważna. I nie możemy się z nią nie liczyć. Wydajemy w końcu publiczne pieniądze. A wiesz co gadają? Na przystankach, w autobusach, w pracy, w domu... Ano mówią, że ładujemy potężną kasę w pierdolonych faszystów i hitlerowców. Że najlepiej by było, to wszystko po prostu zaorać. – prezydent założył ręce za głowę i wymownie spoglądał na Kubusia.

- Ależ to jakaś kompletna bzdura! Ten cmentarz pochodzi z dziewiętnastego wieku! Są tam groby z wojny, ale pierwszej. A leżą tam po prostu mieszczanie, fabrykanci. Fakt, najczęściej niemieckiego pochodzenia. Wielu było zasymilowanych. Ba, są tam też Polacy. Jak ktoś może mówić: hitlerowcy?! Co za banialuki! – wice prezydent był prawdziwie oburzony.

- O, zapewne masz rację. Ale weź, przekonaj ludzi. Nie jestem pewien czy nie wysuwamy się przed szereg. Nie chcę ci niczego sugerować, ale sądzę, że powinieneś przemyśleć pewne kroki, żebyśmy się potem nie obudzili z ręką w nocniku. I tu powiem jasno. Za rok mamy wybory. Zastanów się ile możemy stracić, a ile zyskać. Musisz się nauczyć, że decyzje, które podejmujemy muszą być przez ogół postrzegane jako słuszne. Nie jest ważne, co nam się wydaje. Pospólstwo musi przyklasnąć. Są sposoby, żeby tym w jakiejś mierze manipulować, ale proste to nie jest. Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

- Tyle, to ja wiem. Ale myślałem...

- Dobrze, to dobrze, że myślisz. – prezydent przerwał wypowiedź Kubusia w zarodku. – Jak mówiłem, nie chcę ci niczego sugerować. Sam podejmujesz decyzje i ponosisz za nie odpowiedzialność. Myślę jednak, że byłoby dobrze, gdybyś skonsultował się z Czesławem, tym z Departamentu Inwestycji. To jest facet o dużym

doświadczeniu w takich delikatnych sprawach. Pogadaj z nim. A przynajmniej wysłuchaj jakie on ma zdanie na ten temat. Taaak... No a co z tym żydowskim?

- Wszystko zgodnie z harmonogramem. Wiesz, on jest znacznie bardziej zniszczony. Zrobiono porządek, a to co ocalało zostało zabezpieczone. Jeszcze w tym miesiącu będzie tablica pamiątkowa. Do realizacji pozostała jeszcze rzeźba, czy raczej forma przestrzenna. Postument w każdym razie już jest.

- A, rzeźba... I co to właściwie ma być? – prezydent Zybel z uporem drążył temat.

- Widziałem do tej pory tylko projekty wstępne. Ma to być forma w kształcie menory, takiego żydowskiego świecznika. Stanie na zewnątrz muru cmentarnego. Po prawej stronie bramy wejściowej. Tam zresztą posadowiono postument. – Kubuś recytował wszystko jak zadaną lekcję, ale jakby z coraz mniejszą pewnością siebie.

- Widzisz, tu problem jest podobny. Jak z ewangelikami. Zresztą, co ci będę gadał. Widzę, że rozumiesz. Nie sądzisz, że z tą rzeźbą, to można trochę poczekać? – prezydent pytająco uniośł brwi.

- Ale postument...- zaczął wice prezydent.

- Oj, postument, postument. Można go czasowo jakoś zagospodarować, a potem się zobaczy. O, przepraszam. Znowu się rozpędziłem. Chcę ci tylko uświadomić, że każdą decyzję trzeba rozważyć trzy razy i wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Jak będziesz rozmawiał z Czesławem, porusz i tę kwestię. Przekonasz się ile wart jest ten facet. Ma bardzo zdrowe poglądy i zaskakująco dobre pomysły. Spróbuj, bo warto. I pamiętaj Kuba. Myśl o sobie, o swojej przyszłości.

- W porządku. Z Czesławem i tak się widuję. Wiesz, z Departamentem Inwestycji mam do czynienia nieustannie. Ciężko coś od nich wyrwać. Kasy pilnują jak swojej. Kiedyś chciałem nawet prosić ciebie o wstawiennictwo, ale się powstrzymałem. Zaraz by zaczęli gadać.

- I słusznie. To jest prawidłowe myślenie. Gdybyś jednak potrzebował jakiejś pomocy, to powiedz to w cztery oczy. Są metody, żeby cel osiągnąć i nie angażować się osobiście. A jak tam stypendia? Było już posiedzenie komisji?

- Posiedzenie mamy jutro. Wniosków jest sporo, ale jest kilku pewniaków, a co do reszty, rozważymy...

- Kuba, rozdział stypendiów twórczych, to też sprawa delikatna. Wiesz, to są artyści. Wrażliwcy o przeroście ambicji. Zawistni i zazdrośni. Potrafią narobić niezłego szumu, kiedy się czują pokrzywdzeni. Ale nie ma co się tym przejmować. Radzę jednak wziąć pod uwagę proporcje. Mam na myśli amatorów i profesjonalistów. Można założyć, że zawodowcy i tak jakoś sobie radzą. Gorzej z amatorami. Głównie oni potrzebują wsparcia. Szczególnie ci związani z kościołem. Chodzi o ludowe zespoły taneczne, kościelne chóry, poetów związanych z regionem i tym podobnych. Takie działania mają szerszy oddźwięk społeczny i w rezultacie przynoszą nam realną korzyść w postaci głosów. Poniał?

- Poniał. Poniał. – z nutą rezygnacji w głosie odpowiedział Kubuś.

- W komisji jest Lutek? – spytał jeszcze prezydent.

- Jest, jest. O ile wiem, on zawsze uczestniczy w tych posiedzeniach.

- Właśnie. To nie przypadek. Facet zna środowisko i ma wyczucie. Nie musisz się opierać na jego zdaniu, ale bierz je pod uwagę. To chyba wszystko, co do ciebie miałem. – prezydent zaczął się podnosić i Kubuś także powstał.

- Bywaj zatem i powodzenia. I pamiętaj o Melcerze. Zaraz do niego zadzwonię, a potem dam ci znać. – uścisnęli sobie dłonie i wice prezydent opuścił gabinet. Prezydent zasiadł na fotelu za biurkiem. Potem wykręcił numer telefonu i odbył krótką rozmowę z profesorem Melcerem. Zamyślił się na dłużej przypalając papierosa. Coś rozważał, a wreszcie przez interkom zadysponował – Raisko, bądź taka uprzejma i poproś do mnie Czesława. Z inwestycji. Nie, nie, ja za kawę dziękuję. Ale jak przyjdzie, zapytaj jego. Dziękuję.

Pukanie i w drzwiach stał Czesław. Mężczyzna po pięćdziesiątce. Szczupły i drobny, o gładkich, do góry zaczesanych włosach i tak czarnych, że Zybelt podejrzewał Cześka o ich farbowanie.

- Czołem! – zakrzyknął Czesław od drzwi i z wyciągniętą ręką zmierzał do prezydenta. Ten wyszedł zza biurka i nastąpił długi, znaczący uścisk dłoni. Widać

było, że są w dobrej komitywie. Usiedli na fotelach przy stoliku i Czesław odezwał się pierwszy.

- Już dawno nie gadaliśmy. Coś się dzieje?

- E, nic takiego, ale chcę cię uczulić na pewne sprawy. – prezydent przyglądał się paznokciom u swojej prawej dłoni.

- No to słucham. Wiesz Karolu, że na mnie zawsze możesz liczyć. – Czesio zastygł w czujnej, skupionej pozie.

- Był u mnie wice prezydent Cynkier. Ten od kultury. Rozmawialiśmy trochę o tym, co się dzieje na jego podwórku. Na pewno wiesz, cmentarze. Ewangelicki, żydowski... Przy obecnym kursie musimy to robić. No, bo tolerancja, pamięć, ekumenizm... Europa, naciski zewnętrzne... Cynkier podchodzi do tego poważnie. Jest młody i cechuje go pewien entuzjazm. Zadaję sobie jednak pytanie, czy nie nazbyt wielki? Nadgorliwość w tego rodzaju sprawach bywa szkodliwa. Dla nas Czesławie, szczególnie dla nas. Spróbuj młodemu pokazać właściwą perspektywę, a od kogo, jak od kogo, ale od ciebie na pewno sporo się może nauczyć.

- Wiem dokładnie co się na tych cmentarzach dzieje. Znasz moje poglądy i nie muszę przed tobą niczego udawać. Uważam, i nie tylko ja, ale jest większa grupa ludzi, nie mówiąc już o odczuciach społecznych, że pewne proporcje zostały zachwiane. Jasne, musimy ulegać obecnym tendencjom i zewnętrznym naciskom. Ale kurwa, bez przesady! Pamiętajmy o narodzie! Przecież jesteśmy Polakami! A tu nic, tylko jakieś szwaby i żydy, żydy i szwaby! Wszyscy nagle chcą być najważniejsi! Umiar, tylko umiar! Zrobić to co konieczne, a przy okazji, mimochodem, pokazać im gdzie jest ich miejsce. – Czesio wyraźnie się rozkręcał.

- No, no, nie bądź taki radykalny. Chociaż również uważam, że przesadne fetowanie obcych kultur, mniejszości, jest szkodliwe i niepotrzebne. Już inni zaczynają podnosić głowy i domagają się Bóg wie czego. Ale to temat rzeka. Skupmy się na tym, co teraz mamy. Powiedziałem Cynkierowi, żeby z tobą porozmawiał i na pewno się do ciebie zgłosi. Twoim zadaniem będzie sprowadzenie go na właściwą drogę. Tylko wiesz, delikatnie i nie wprost. Tak możesz rozmawiać ze mną, ale z nim bądź ostrożny i nie odkrywaj się zanadto.

- Karol, spokojnie. Przecież wiesz, że ja umiem postępować z młodymi. – tu Czesław uśmiechnął się krzywo.

- Właśnie, z młodymi. Jak tam twoje... no, te... bojówki? – zagadnął prezydent.

- No Karolu! Jakie znowu bojówki?! – Czesio zapalał świętym oburzeniem. – To są Strzelcy! Proszę, nie nazywaj ich bojówkami, bo to niesprawiedliwe i krzywdzące. Gdzie młodzi ludzie mają się nauczyć prawdziwego patriotyzmu? No kurwa, gdzie? W harcerstwie? Na godzinie wychowawczej? Na wychowaniu obywatelskim czy historii? Takiego wała! Tam im w kółko pierdołą o tolerancji, poszanowaniu innych kultur i tym podobnych pierdołach. Robią im wodę z mózgu. Jasne, szanujmy innych, ale kurwa, niech nam nie włożą na głowy. W końcu jesteśmy u siebie. Tym chujom z Europy beżowi już nastawiali meczetów. Chcesz, żeby tak było u nas?

- Ha, ha, ha! Ale ty Czesiek jesteś zaciekły. Niech cię...- prezydent był wyraźnie rozbawiony.

- E tam, zaraz zaciekły. Mam po prostu zdrowe poglądy i jestem prawdziwym patriotą, to wszystko. – i Czesław zrobił skromną minę.

- Ty pieprzony patrioto! Powiedz lepiej tym swoim chłopaczkom, żeby wzięli na wstrzymanie z malowaniem gdzie popadło swastyk i szubienic. Bo to już kurwa nie do wytrzymania! Pal diabli szubienice. Ale swastyki? U nas? W tym kraju? Ty się w łeb pierdolnij.

- Karol, coś ty! Oni na pewno czasem coś nabazgrzą. Wbijam im ciągle do głowy, że jak już to robią, ma być z jakimś sensem. Większość malunków, to robota chuliganerii. Durnego ćwoctwa i z tym oczywiście należy walczyć. Tu się całkowicie zgadzam.

- Oj, Czesiu, Czesiu. Czasem jak ciebie słucham, to w tle pobrzmiwa tupot podkutych butów i werble. Może to nie jest złe na dzisiejsze czasy? Ale wiesz, ty powinienesz bardziej uważać. I tak już za wielu ludzi wie, kto za tym ruchem stoi. Kto inspiruje młodych. Jak się w to UOP na poważnie wpierdoli, może być nieprzyjemnie. Na razie przymykają oko. Ale kto wie jak długo?

- Myśl sobie co chcesz. Ja się czuję Polakiem i to stawiam na pierwszym miejscu.

- Dobra, skończ już z tymi pierdołami i idź do roboty. Jak urobisz młodego, to mi powiedz. – prezydent powstał a z nim razem Czesio. Pożegnali się i Czesław wyszedł. Prezydent Zybelt znowu zasiadł za biurkiem. Wysunął nieco szufladę biurka i chwilę w niej poszperał. Wyjął małą karteczkę i położył przed sobą na blacie. Włączył interkom i zadysponował – Jesteś tam Raiso? Dobrze. Poproś Lutka. Tylko niech szybko wpadnie, bo już mam mało czasu. – rozsiadł się wygodnie i zastygł w pozie oczekiwania. Po minucie rozległo się pukanie.

- Wejdz Lutek. – głośno powiedział Zybelt. Do gabinetu wślizgnął się uniżenie zgięty osobnik.

- Dzień dobry panie prezydencie. Pan mnie wzywał? – zatrzymał się w połowie drogi między drzwiami a biurkiem, giął się i podrygiwał w jakiś nieokreślonych ukłonach.

- Tak, Lutek. Krótko i na temat. Jesteś w komisji od przyznawania stypendiów, tak?

- Jestem, panie prezydencie. – Lutek skłonił się głębiej.

- O, widzisz. To bardzo dobrze. Masz okazję przysłużyć się sprawie. Jutro macie posiedzenie. Tu masz listę kandydatów, którzy stypendia powinni dostać. Użyj swoich wpływów i postaraj się, żeby znaleźli się wśród tych, którym stypendia zostaną przyznane. Jasne? – prezydent przesunął karteczkę w kierunku Lutka.

- Tak jest, panie prezydencie. Załatwione. – i Lutek zgrabnie zwinął karteczkę z blatu biurka. Już był w drzwiach, kiedy prezydent zawołał – Lutek, wiesz, że mi potrzebny jeszcze jeden pełnomocnik? Właśnie szykuje się wakat. No, możesz iść. – odprężony prezydent zasiadł za biurkiem, przypalił nowego papierosa i podniósł słuchawkę telefonu. Wystukując numer na klawiaturze, obrócił się wolno na fotelu w kierunku okna.

Raisa zebrała w jeden stosik pisma oczekujące na podpis prezydenta i zapukała do drzwi gabinetu. Nacisnęła klamkę i zatrzymała się w pół kroku. Widząc, że prezydent prowadzi rozmowę telefoniczną, czekała w uchylonych drzwiach. Dobięły ją fragmenty rozmowy:

- ...ależ tak, tak, Ekscelencjo...

.....

- ...wszystko jest na jak najlepszej drodze, Księżu Biskupie... tak jak mówiliśmy...

.....

- ...stypendia też, Ekscelencjo... oczywiście, oczywiście...

K O N I E C

PRZEPYCHANKI

Kontakty międzyludzkie, ich jakość, w znacznym stopniu zależą od sympatii, którą się dani osobnicy darzą. Lub nie darzą. Wzajemna sympatia rodzi się często już w chwili poznania. Decydują o tym czynniki nie zawsze w pełni uświadamiane. Mowa ciała, timbre głosu, sylwetka, typ urody, ubiór i mnóstwo innych szczegółów, na które pozornie nie zwracamy uwagi. Niechęć rodzi się na tych samych zasadach. Oczywiście, oprócz tego, znaczenie ma zbieżność interesów, czynnik rywalizacji, wspólne zależności. Mówimy o relacjach między mężczyznami, bo układy damsko męskie mają inny charakter i zawsze podszyte są seksem, co niesłychanie je komplikuje. A może upraszcza? Bo przynajmniej wiadomo o co chodzi. Męska przyjaźń, zażyłość, zwykła znajomość czy koleżeństwo, opierają się zazwyczaj na znacznie prostszych zasadach. Nic się na to nie poradzi. Tak się komuś podobało nas ukształtować.

Było lato i Malina wybrał się do kumpla na działkę. Dziesięć kilometrów za miastem, nad samą rzeką, Czarek miał kawałek ziemi i porządny domek z wielką werandą. Malina wpadał do niego co jakiś czas i siedział tam kilka dni leniuchując. Wyszli właśnie z Czarkiem z wody, wspięli się na stromy brzeg i skierowali się ku grupie osób, które w różnych pozach wylegiwały się na dwóch kocach. Było to grono znajomych Czarka, którzy jak on, spędzali lato w najbliższej okolicy. Chodzili razem nad rzekę, grali w karty, a wieczorami przesiadywali przy grillu i winie. Malina znał ich wszystkich z poprzednich pobytów i czuł się w tym towarzystwie zupełnie swobodnie. Wczoraj jednak poznał nowego kolesia, który dołączył do paczki. I jak to się zdarza, z miejsca poczuł do niego niechęć. Z jakiś powodów facet mu się nie podobał, a późniejsze obserwacje to odczucie jedynie pogłębiły. Sam się trochę dziwił, bo jego antypatia rozciągała się również na sferę fizyczną. Gość nie był jakiś paskudny. Niewysoki i krępy, z kędzierzawą czupryną i aroganckim wyrazem twarzy nie wyróżniał się niczym szczególnym. Dociekając przyczyny swoich negatywnych wrażeń, Malina przypomniał sobie wczorajszą kąpiel w rzece. Całą grupą poszli ze dwa kilometry w górę rzeki, gdzie było szerokie zakole. Po kąpielu udali się w pobliskie zarośla, żeby zamienić mokre kąpielówki na suche. Malina szybko uwinął się ze zmianą i kiedy się odwrócił zobaczył nowego jak się szamoce z mokrymi

gaciami u kostek. Nowy, pochylony nieco do przodu, eksponował opasłe dupsko. Widok ten wyjątkowo zniesmaczył Malinę. Do tego tyłek był jakiś czerwony, co Malinie skojarzyło się z pawianem i w sumie wydało mu się dosyć obrzydliwe.

Tego wieczora rozegrali ze dwa robry, a potem siedzieli i popijali czerwone wino. Nowy, jak go w myślach nazywał Malina, właściwie miał na imię Rudolf i wszyscy mówili do niego Rudi. Jedynie Malina konsekwentnie zwracał się do niego – Rudolfie. Uważał, że w ten sposób nie spoufala się z nim zanadto i wyznacza czytelną granicę we wzajemnych stosunkach.

Kiedy sobie tak we czwórkę pogadywali, okazało się, że ambicją Rudiego jest przewodzić towarzystwu. Robił wszystko, żeby grać pierwsze skrzypce i na siebie kierować uwagę obecnych. Wtrącał się autorytatywnie w wypowiedzi innych, pointował je i ciągle usiłował powiedzieć coś do śmiechu, co było wysilone, sztuczne i w sumie dosyć żałosne.

W południe, kiedy byli nad rzeką, widzieli młodych ludzi, którzy w maskujących ubiorach czaili się po krzakach i strzelali do siebie z pistoletów uzbrojonych w kulki zawierające farbę. Bawili się w paintball. Teraz Czarek i Malina wrócili do tego i rozmawiali o walorach tej zabawy. Uważali, że jest fajna i sami nie mieliby nic przeciwko temu, żeby się pouganiać ze spluwą po zaroślach. Rudi, któremu odebrano inicjatywę wyraźnie spochmurniał. I wtedy Malina dodał jeszcze – No i co by nie mówić, taka zabawa rozładowuje agresję. – Rudi zeszywniał i rzucił na wpół wściekle – Człowiek nie jest agresywny! – Dla Maliny zabrzmiało to jak pierdnięcie. Spojrzał zdziwiony na Rudiego i powiedział spokojnie – Rudolfie, zastanów się co mówisz. Przecież nawet ty, jesteś w tej chwili agresywny. – Zapadła cisza i dopiero po minucie naburmuszony Rudi wycedził – No dobrze, człowiek jest agresywny. – Dziwię się Rudolfie, że tyle czasu zajęło ci dojście do tak oczywistego wniosku. W końcu musisz przyznać, że nie ma na naszej planecie bardziej krwiożerczej i bezwzględnej bestii, jak człowiek właśnie. – Malina bezlitośnie dobijał leżącego. Nie przyszło mu nawet na myśl, że odtąd będzie miał w Rudolfie zapiekłego wroga. Cóż, jeszcze nie znał Rudiego.

*

Malina miał sporo wolnego czasu. Zasadniczo pisywał dla kilku gazet. Wyrobił sobie jako taką markę i zlecano mu pisanie artykułów z różnych, często odległych od siebie dziedzin. Czasem przeprowadzał wywiady. Mimo, że pisał sporo, dochody z tego tytułu nie mogły zaspokoić jego potrzeb. Podejmował się zatem różnych dorywczych zajęć, a miał też i stałe fuchy. Czarek, najlepszy kumpel Maliny, prowadził jednoosobową firmę i zajmował się instalowaniem systemów alarmowych. Często, gdy dostawał większe zlecenie, potrzebował pomocy. I wtedy brał Malinę, który miał jakieś wrodzone talenty techniczne i dla Czarka był doskonałym pomocnikiem. Niekiedy prosił go o pomoc bez wyraźnej potrzeby. Jedyne dla towarzystwa.

Tego ranka, Malina postanowił zajść do redakcji „Głosu...”, i wybadać czy nie mają czegoś dla niego. Dzwoniła do niego Regina, pani redaktor naczelna i prosiła o wizytę, a to dobrze rokowało. Wyszedł z domu i przed bramą natknął się na Fiedźkę, który tęsknie wypatrywał, zwracając głowę to w jedną, to znów w drugą stronę ulicy. Malina wiedział, Fiedźka kombinował. – Cześć Fiedźka. – zawołał. – A, cześć. – markotnie odpowiedział tamten. Malina podążył w lewo. Nie uszedł jednak daleko, bo usłyszał za sobą klakson. Obejrzał się i zobaczył stare Volvo Czarka parkujące przy chodniku. Zawrócił, a kiedy się zbliżył do samochodu, Czarek opuścił szybę. – Cześć. Masz chwilę? To wsiadaj. – Malina obszedł auto i zajął miejsce obok kierowcy. Uścisnęli sobie dłonie i Malina spytał – Co jest? Stało się coś? – Jakby robota. Jesteś wolny? Masz czas? – Czarek patrzył na niego wyczekująco. – Jeśli kasa będzie szybko, to jestem do twojej dyspozycji. Wprawdzie szedłem do „Głosu...”, i niezupełnie w ciemno. Mów o co biega, za ile, i czy dajesz zaliczkę. – Czarek uśmiechnął się – Ty pieprzony materialisto... Ale jest tak. Brałem ostatnio udział, może nie w przetargu, a raczej konkursie ofert. No i moja okazała się

najlepsza. Właśnie jadę na spotkanie z naczelnikiem czy dyrektorem. Jak w to wchodzisz, to cię zabieram ze sobą. Można trochę zarobić. Inwestor wypłacalny. A zaliczkę, jak zawsze, dostaniesz. To jak? – Przekonałeś mnie zaliczką. Jedziemy – i Malina rozsiadł się wygodniej i zapiął pas.

Po drodze Czarek wyjaśnił, że jadą do jednego z departamentów Urzędu Miejskiego. Od spraw społecznych, kultury i jeszcze coś tam. A może odwrotnie? Departament nie mieścił się w głównym budynku Urzędu, a zajmował dziewiętnastowieczny pałacyk jakiegoś fabrykanta przy ulicy Poznańskiej. Kiedy przybyli na miejsce, zobaczyli szary, dwupiętrowy budynek z eklektyczną fasadą. Na dole portiernia i korytarz z szeregiem drzwi do pokoi biurowych. Wyłuszczyli starszej pani w portierni z czym przychodzą, a ta skierowała ich do pana naczelnika na pierwsze piętro. Poszli schodami na górę. Drzwi do sekretariatu były szeroko otwarte. W dużym pomieszczeniu urzędowały przy biurkach trzy panie. Pod ścianami stały wielkie, staroświeckie szafy zawalone segregatorami i książkami. Ponownie się przedstawili, a jedna z pań wstała i podeszła do drzwi, które musiały prowadzić do sąsiedniego pomieszczenia. Zapukała raz, potem drugi i usłyszeli – Proszę! – nacisnęła klamkę i zniknęła w pokoju zamykając za sobą drzwi. Nie było jej dłuższą chwilę, po czym wyszła i powiedziała – Panowie pozwolą, pan naczelnik prosi. – Czarek wszedł pierwszy, a Malina tuż za nim. Tuż za progiem Czarek zatrzymał się na tyle gwałtownie, że Malina omal nie wpadł na niego. Wychylił się zza kumpla i za wielkim, zabytkowym biurkiem, zobaczył Rudolfa. – O rany! Tylko tego brakowało! – przemknęło mu przez głowę. Rudi jakby nieco przytył na pysku i zapuścił sobie wąsy, co zdaniem Maliny nadawało mu pretensjonalny wygląd. Prezentował się niczym fryzjer z Grajewa. Teraz powstał i skrywając zdziwienie, szczyrzył się w wymuszonym uśmiechu. – No nie, góra z górą... To ty Czarek alarmami się zajmujesz? I ty Malina? Wydawało mi się, że pisujesz do gazet. – Pisuję, pisuję, ale moja prawdziwa pasja, to alarmy właśnie i dlatego Czarek mnie zatrudnia. – Malina też skrzywił się w uśmiechu. – To siadajmy chłopaki. – tu Rudi wskazał miękkie krzesła przy stole ustawionym pod oknem. Otworzył drzwi do sekretariatu i wydał dyspozycje – Poproszę trzy kawy, pani Jolu. I może jakieś ciasteczka. – Rudi wziął zieloną teczkę z biurka i usiadł przy stole na przeciw nich, ale strategicznie, tyłem do okna. – Co tam u ciebie, Czarku? Jak leci? – Rudi postanowił ignorować Malinę. – Nic szczególnego. Dużo pracy, bo nie wiem dlaczego, ale nagle wszyscy chcą mieć

alarmy. Nie narzekam z tego powodu, trochę jednak mnie to dziwi. A u ciebie, co będziemy robić? – Czarek zmierzał do konkretów. Zanim Rudi zaczął mówić, rozległo się pukanie i weszła pani z tacą, na której stały kawy, cukiernica, paluszki i pierniczki. Milczeli kiedy rozstawiała cały ten dobytek na stole. Rudi nabrał głęboko powietrza szykując się do dłuższej przemowy, ale zadzwonił telefon. Podszedł do biurka i unosił słuchawkę. – Tak, przy telefonie. Aaa... dzień dobry, panie prezydencie! Tak, tak, oczywiście. – jego ciało odruchowo zaczęło wykonywać skłony, a głos przybrał ton kochanka wyznającego gorące uczucie. Trwało to dłuższą chwilę, po czym odłożył słuchawkę i wrócił na miejsce przy stole. Wewnętrznie naładowany i jakby o kilka punktów ważniejszy, rozpoczął przemowę. Zaczął od tego, że właśnie wrócił z kursów doszkalających, które według niego miały charakter studiów podyplomowych. Ku pewnemu zdziwieniu obecnych, obszernie omówił program nauczania. Kilkakrotnie wtrącił nazwiska Claude Levi – Straussa i Thomasa Khuna, zapewne licząc, że zrobi tym odpowiednie wrażenie. Poruszył zagadnienia związane z etyką pracy, rzucając je na tło historyczne. Dwukrotnie użył sformułowania: „Ja, z moją pozycją...”, co nie uszło uwadze Maliny. Wreszcie, po dobrym kwadransie, przeszedł do tematu zasadniczego, czyli systemów alarmowych. Powiedział, że zależy mu na pełnym zabezpieczeniu budynku. Na zewnątrz i w środku. Oczywiście, koniecznie monitoring. Rozważał nawet zainstalowanie czujników w butach pracowników, co pozwoliłoby na pełną kontrolę personelu. Tu Czarek i Malina wymienili zaniepokojone spojrzenia. Malina nie wytrzymał i powiedział – Wiesz Rudolfie, to może byłoby najlepiej każdemu wszczepić w dupę chipy? Miałbyś pewność, że nikt nie zmienił obuwia. W końcu robi się tak bydłu rogatemu, psom, kolej na ludzi. Przecież musimy iść z postępem. Czyż nie? – Rudi natychmiast się obdał, na co w duchu liczył Malina. Otworzył zieloną teczkę i powiedział – Tu są plany budynku, rzuty wszystkich pomieszczeń. Musisz się z tym Czarku zapoznać. – Tak czy inaczej będę musiał je od ciebie wypożyczyć. Przecież muszę zrobić projekt realizacyjny i plany są do tego konieczne. Teraz najlepiej by było, gdybyśmy się przeszli po piętrach i pomieszczeniach. Przedstawisz nam swoje oczekiwania, a ja od siebie również coś zaproponuję. To jak, idziemy? – Rudi przybrał zatroskany wyraz twarzy. – Zaraz, zaraz. Chwileczkę. Plany... no tak. Dostaniesz je za pokwitowaniem. Mam nadzieję, że twoja firma, ze względu na swoją specyfikę, ma statutowo wpisane zachowanie absolutnej tajemnicy i nieudostępnianie tajnych materiałów osobom postronnym. I tu jest problem z Maliną... Czy jest twoim etatowym pracownikiem? – Nie, skąd. Biorę

go czasem do pomocy, bo jest w tym dobry i zna się na tym równie dobrze jak ja. – dobrodusznie wyjaśniał Czarek. – No widzisz. Więc pracuje na czarno i dla mnie z formalnego punktu widzenia, jest osobą postronną, której nie mogę darzyć zaufaniem. Ba, nie mogę kogoś takiego dopuszczać do tajnych informacji związanych z systemem alarmowym. – tu Czarka nieco poniosło – Rudi, przestań pieprzyć, do cholery! Pracuję z Maliną od lat i nikt nigdy nie stwarzał takich problemów. Ja ponoszę całkowitą odpowiedzialność za to z kim i jak pracuję. Ciebie to w ogóle nie powinno obchodzić. – Rudi siedział z zadowoloną miną, bo już wiedział, że może piętrzyć przeszkody. – Chwila, chwila. Nie masz tutaj racji. Właśnie mnie powinno to obchodzić i przyjmij do wiadomości, że obchodzi. Nie mam nic przeciwko twojej firmie, ale takie nieformalne układy budzą moje zastrzeżenia. Jednak, biorąc pod uwagę naszą znajomość, spróbuję znaleźć jakiejś wyjście. Zrobimy tak, że Malina podpisze odpowiednie zobowiązanie. Pod sankcjami karnymi, zobowiąże się dotrzymać ścisłej tajemnicy. Pani Jola na jutro przygotuje odpowiednie pismo. Mam nadzieję, że to cię Czarku zadowoli? – Dobra, ok., ok. – Czarek był wyraźnie zniecierpliwiony i zmęczony zaistniałą sytuacją. Potem poszli oglądać budynek. Rudi dał im nieźle popalić. Przez dobre dwie godziny ciągał ich z piętra na piętro i roztaczał wizje godne Fortu Knox. Nalegał, żeby monitoring umieścić nawet w kiblach. No, nie w samych kabinach, ale ogólnie, tak. Malina już chciał złośliwie się ponaśmiewać z pomysłów Rudolfa, ale Czarek czujnie go szturchnął w bok. W końcu umówili się, że za kilka dni zadzwonią i ustalą termin przedstawienia wstępnego projektu.

Już na schodach Czarek naskoczył na Malinę – Czyś ty baranie oszalał?! Przestań mu prawić złośliwości! Sam widzisz, że facet ma lekkiego świra, a na przerost ambicji nic nie poradzisz. I tak przewiduję kłopoty. Zobaczysz, nie będzie lekko. Może nam skutecznie utrudnić życie. – Stary, przecież widzisz jaki to nadęty bufon. Sam się prosi, żeby mu dokopać i słowo daję, nie mogę się powstrzymać. A poza tym widzisz jak on mnie traktuje? Zwraca się tylko do ciebie, a mnie celowo olewa. – tłumaczył się Malina. – A chuj mnie to obchodzi! Masz zamknąć dziób i tyle! Nam chodzi o kasę, a nie ambicjonalne rozgrywki. – Dobra, już dobra. Przestań wrzeszczeć. – powiedział skruszony Malina. – Odwieź mnie do „Głosu...”, a wieczorem zajdę do ciebie i popatrzymy co by tu Rudolfowi można zrobić. A może

wytniemy mu jakiś numer? – Niech ci nawet nic takiego do głowy nie przychodzi. – burknął wyraźnie już zły Czarek.

Pani redaktor naczelna kazała mu czekać blisko godzinę, zanim wreszcie go przyjęła. Znali się od niedawna, ale mówili sobie po imieniu. Dzisiaj w zachowaniu Reginy zaszła jakaś ledwie uchwytna zmiana. Malina był wyczulony na takie rzeczy więc od razu się zorientował, że coś się zmieniło. Regina chłodno mu zakomunikowała, że skoro nie zjawił się rano po jej telefonie, przekazała temat komu innemu. Na przyszłość zaś prosi o więcej dyscypliny. I tyle. Nigdy mu jeszcze nie wstawiała takich gadek, więc Malina zastanawiał się co za tym stoi. Podskórnice czuł, że posłużyła się pretekstem, a naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Nie miał zielonego pojęcia o co. Nie przypominał sobie, żeby ostatnio wyciął jakiś numer. W końcu machnął na to ręką i przestał się zastanawiać. I tak się prędzej czy później dowie. Raczej prędzej. Wystarczy pogadać z Krysią, sekretarzem redakcji, która zawsze wszystko wiedziała, a nawet więcej. Tu miał ułatwione zadanie, bo już od dawna kurtuazyjnie się do Krysi zalecał i cieszył się jej niekłamaną sympatią. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Zanim porozmawia z Krysią, postanowił przeprowadzić test. Otóż Regina, która była wdową, miała stałego faceta, co zresztą nie było żadną tajemnicą. Można nawet powiedzieć, że się nim afiszowała. Człowiek ten był docentem na miejscowym uniwersytecie. Malina znał go dobrze. Kazimierz zlecał mu od czasu do czasu pisanie recenzji do uniwersyteckich wydawnictw. Malina odwdzięczał mu się w ten sposób, że często sprawdzał i recenzował prace magisterskie studentów Kazimierza, ponieważ docent, nie był zanadto gramotny. Współpraca zatem kwitła ku wspólnemu zadowoleniu. Do uniwersytetu były dwa kroki, więc Malina skierował się w tamtą stronę. Na parterze, zaraz po prawej stronie, miał docent swój niewielki gabinecik. Malina orientował się, że o tej porze powinien mieć dyżur. I nie mylił się. Kiedy zapukał, usłyszał w odpowiedzi – Proszę. – Wszedł i natychmiast dostrzegł lekki popłoch w zachowaniu docenta. Kazimierz zaczął coś nerwowo przekładać na biurku. – Witaj. – powiedział Malina, podszedł do biurka i uścisnęli sobie dłonie. – Cześć, cześć... - z roztargnieniem odpowiedział docent. Malina usiadł na jednym z dwóch krzesel i zagadnął – No i co tam? Masz coś może dla mnie? – Kazimierz w zamyśleniu podrapał się po głowie i patrząc gdzieś w bok, powiedział – W tej chwili jakoś nic się nie dzieje. Wpadnij w przyszłym tygodniu. Albo nie, jak coś się pojawi, zadzwonię. A w ogóle, co u ciebie? – Pogadamy innym

razem. Teraz wpadłem po drodze, ale spieszę się. To cześć. Odezwij się. – na ulicy Malina zwolnił kroku i zaczął poważnie się zastanawiać, co się właściwie dzieje. Docent też nie był szczery i coś w zanadrzu ukrywał. Postanowił zasięgnąć języka u Krysi. Regina gdzieś się wybierała, więc Krysią mogła być sama. Malina zawrócił do redakcji. Tak jak przypuszczał, Krysią siedziała u siebie. Ktoś tam się jeszcze pętał po redakcji, ale to nie miało znaczenia. – Witaj piękna Krysieńko. – zaczął od progu. – Tylko na okładkę Vogue. Świetnie ci w tej zieleni. – Ty obrzydliwy pochlebco. Mów od razu czego potrzebujesz. – Krysią niby opryskliwa, ale jednak pokraśniała z zadowolenia. Malina usiadł i przez chwilę maślanym wzrokiem przypatrywał się dziewczynie. – Wiesz, że Regina podobno oddała materiał przeznaczony dla mnie, komuś innemu? A może wiesz komu? I właściwie dlaczego? Nie wierzę w te jej wykręty, że niby przyszedłem za późno. – Pewnie. Jak zwykle wiem wszystko. Nawet się nie staram, a jakoś tak się dzieje, że informacje same do mnie trafiają. Nawet te o charakterze poufnym. Mówiąc serio, masz chyba problem, Malina. – Dobra, dobra, o co chodzi? – No bo widzisz... zaraz przed twoim przyjściem, szefowa dosyć długo rozmawiała przez telefon. Nawet wiem z kim. – Ciekawe. Z kim zatem? – spytał Malina. – Ano ze swoim synem Rudolfem. – Co?! Rudolfem?! O kurwa! To jego matka?! A niech to szlag! – Tak, tak. Wiadomo, że byłeś u niego i nie zrobiłeś najlepszego wrażenia. Przeciwnie, podobno był niezłe na ciebie wkurwiony. No, to resztę już możesz sobie dośpiewać. Aha, jeszcze ciekawostka. Twój materiał przekazała jemu. Własnemu synkowi. – Jemu? A z jakiej paki? – zaperzył się Malina. – To proste, żeby ci jeszcze bardziej dokopać. Musiałeś niezłe zaleźć za skórę temu facetowi. Ja go nie znam, ale słyszałam, że mamusia jest w niego wpatrzona jak w obrazek. Najmądrzejszy, najpiękniejszy, wprost ideał. No to łatwo sobie wyobrazić, co z niego wyrosło. – Nawet nie wiesz. Ja dzisiaj byłem u niego, ale nie miałem pojęcia, że to syn Reginy. Cholera, byłbym uważał. – Malina trochę się zasępił, bo z wolna docierało do niego jakie konsekwencje mogą za sobą pociągnąć niewinne w sumie przepychanki z Rudolfem. Ale skoro tamten miał wybujałe ego i przerost ambicji, to nie zapowiadało się ciekawie. Teraz był pewien, że Kazimierz, także został uprzedzony i poinstruowany. Zastanawiał się co będzie z redaktorami z innych gazet. Przecież oni wszyscy się kumplują. A Regina, skoro już zaczęła akcję, to pewnie nie spocznie, zanim zupełnie Maliny nie pogrąży. Przecież musi zadowolić syneczka. Zdesperowany, postanowił jeszcze wpaść do redakcji „Dziennika”. Z

tamtejszym naczelnym był w najlepszej komitywie. Jeżeli i on wykrętnie go splawi, to znaczy, że jest naprawdę źle.

Tomasz przyjął go z zagadkowym uśmiechem. zaproponował kawę i usiedli w fotelach przy niewielkim stoliku ze szklanym blatem. – Chyba wiem co cię do mnie sprowadza. A swoją drogą, co zrobiłeś Reginie, że jest taka cięta na ciebie? – Jak się domyślam dzwoniła do ciebie? – spytał Malina. – Dzwoniła, dzwoniła. Jeśli o mnie chodzi, nie musisz się przejmować. Nie ulegam tego rodzaju podszeptom i naciskom. Zachowuję własne zdanie. Nie wiem jak inni. Wiesz, ona ma bardzo rozległe kontakty i może ci w różnych sferach szkodzić. – Właśnie zaczynam się o tym przekonywać. Sprawa jest tego rodzaju, że nie spodobałem się jej synkowi, Rudolfowi. Tak naprawdę, to on się za tym wszystkim kryje. – wyjaśniał Malina. – O, to niedobrze. Regina jest w niego wpatrzona i zrobi dosłownie wszystko, co on jej każe. A teraz posłuchaj. Jak mówiłem, na mnie to nie działa. W piątek, w filharmonii jest koncert organowy. Będzie grał Łyjak. W sekretariacie odbierzesz dwa bilety, a na poniedziałek chcę mieć artykuł. Dobrze by było, gdybyś z tym Łyjakiem zamienił parę słów. I co? Chyba mi wierzysz, że w naszych kontaktach nic się nie zmieniło? – pożegnali się i Malina podniesiony na duchu, opuścił redakcję.

Wieczorem zaszedł do Czarka. Cały czas jednak był podminowany. Opowiedział Czarkowi o swoich kłopotach, ale ten odpowiedział, że sam sobie jest winien i nie powinien Rudiemu dogadywać, tylko trzymać mordę na kłódkę. Nie pracowali tego wieczora i prawie się pokłócili. Kiedy Malina był już w drzwiach, Czarek jeszcze powiedział – Tylko idź jutro podpisać ten kwit. I zachowuj się, to jest robota, a nie jakieś twoje rozgrywki.

Nazajutrz, kiedy wchodził do siedziby departamentu, kompletnie nie wiedział jak się ma zachować. Jasne, najlepiej będzie udawać, że nic się nie stało. Ale to nie leżało w naturze Maliny. Musiał się jakoś odegrać. Tylko czy teraz? Czy nie lepiej poczekać, aż skończą montowanie alarmu? Pewnie tak. Czarek ma rację. Zrobić swoje i olewać resztę. Wszedł do sekretariatu, przywitał się z paniami, a pani Jola usadziła go i wręczyła przygotowane pismo, gdzie były szczegółowo opisane warunki zachowania najwyższej tajemnicy. Ujęte były w punktach i Malina ze zdumieniem stwierdził, że jest dwadzieścia sześć punktów, a wiele z nich zawiera podpunkty. Zaczął pobieżnie czytać, ale nie doszedł nawet do połowy, bo nudziło go

to śmiertelnie. Złożył podpis na trzech egzemplarzach. Jeden był dla niego. Pożegnał panie i wyszedł. Nie miał zamiaru zachodzić do Rudolfa. Bo i poco? Obawiał się też, że mógłby nie wytrzymać i coś nieopatrznie powiedzieć. Jemu to wisało, ale chciał pozostać lojalny wobec Czarka.

Chodzili z projektem do Rudiego z siedem razy. Zawsze miał jakieś uwagi i zastrzeżenia, więc musieli poprawiać. Stało się jasne, że chce ich maksymalnie pognębić i zgnoić. Czarek się trochę boczył na Malinę, bo uważał, że to jego wina. Malina na spotkaniach z Rudolfem prawie się nie odzywał. Policzył kwadraciki we wzorku na zasłonach, perełki w ornamencie biurka, podsumował liczbę nóg we wszystkich meblach i jakoś pozwalało mu to zachować spokój. Wreszcie udało się osiągnąć porozumienie. Czarek i Malina uważali, że będzie to najlepiej strzeżony budynek w mieście. Przewidywali, że z instalacją systemu powinni się uwinąć w ciągu tygodnia. Trochę się jednak przedłużyło, bo Rudolf za nic w świecie nie zgadzał się, żeby pracowali po południu. W czasie prac, które prowadzili nie odstępował ich na krok. Patrzył im na ręce i zadawał dziesiątki pytań. W końcu nawet opanowany Czarek nie wytrzymał. – Rudi, czy ty kurwa nie masz nic do roboty? Pętasz się tutaj bez sensu. Zawracasz nam dupę i po prostu przeszkadzasz. Idź przerzucać jakieś papiery, czy zajmij się czymkolwiek. A jak nie masz co robić, ułóż sobie pasjansa. – Rudi zwyczajowo się nadał, trochę się jeszcze pokręcił, ale w końcu poszedł do siebie. Nie, nie odpuścił im zupełnie. Pojawiał się co jakiś czas, ale to już się dało wytrzymać. Po jedenastu dniach zakończyli montaż wszystkich elementów systemu. Sprawdzili, skorygowali parametry i ustawienia i zaprosili Rudiego oraz pozostałych pracowników na prezentację. Uruchamiali system kilkanaście razy. Demonstrowali jak działa i kilkakrotnie tłumaczyli jak go uruchamiać i wyłączać. Pokazywali opcje częściowego działania. Kiedy już wszystko było jasne, poprosili Rudolfa o podpisanie protokołu zdawczo odbiorczego. – Nie, nie. Chłopaki. Ja nie mam takich uprawnień. Na jutro powołam komisję i dokonamy oficjalnego odbioru. Może być jedenasta? – Może. Ale przecież wszystko widziałeś. Masz jakieś uwagi, wątpliwości? - odburknął Czarek i obaj z Maliną zaczęli pakować swój sprzęt. – Masz rację, to kawał chuja. – skwitował na schodach Czarek.

Nazajutrz, koło jedenastej, zajechali przed pałacyk. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Weszli. Na portierni nikogo. Popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami. Z góry dobiegały podniesione głosy. Działo się coś, co wykraczało poza

ustalone porządki. Poszli schodami na górę. W sekretariacie było pełno ludzi. Wszyscy mówili jednocześnie. Malina z Czarkiem stanęli w drzwiach i próbowali ogarnąć to, co widzieli przed sobą. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Wyszukali panią Jolę i przedarli się do niej. – Dzień dobry pani. Co tu się dzieje? Byliśmy umówieni na odbiór. – Spojrzała na nich szeroko wytrzeszczonymi oczami i chwilę musiało potrwać, zanim zrozumiała co do niej mówi Czarek. – A, to panowie. To wy nic nie wiecie? Takie nieszczęście! Pół godziny temu naczelnik miał zawał! Właśnie przed chwilą zabrano go pogotowie! Był nieprzytomny! Nie, jeszcze nic nie wiemy. Powiedzieli, że zadzwonią jak będą coś konkretnego wiedzieli. Czekamy tu wszyscy na jakieś wiadomości. A dzisiaj o odbiorze mogą panowie zapomnieć. Najlepiej skontaktujcie się z wice prezydentem Kobylińskim. Chyba z nim podpisywaliście umowę? On powie co z tym dalej robić. Ale zobaczcie panowie, jak to nigdy nic nie wiadomo. Pan Rudolf chodził sobie, nic mu nie było i nagle masz! To wszystko przez tę awanturę, co była rano. Pan naczelnik tak się zdenerwował, że aż zaczął się jąkać. – A co tu się działo rano? – niewinnie zapytał Malina. – Oj, szkoda gadać, proszę pana. To takie nasze wewnętrzne sprawy. Postali jeszcze chwilę, posłuchali przypadkowych komentarzy i poszli sobie. Na schodach Czarek zaczął snuć refleksje. – Widzisz Malina, to może spotkać każdego z nas. W dowolnej chwili. Lepiej o tym pamiętać. Może bylibyśmy lepsi na co dzień? – Malina nie odpowiedział i usiłował przeanalizować swoje uczucia. Szczerze nie znosił Rudolfa, ale nie cieszył się, ani nie odczuwał satysfakcji z tego, co spotkało Rudiego. Nie wiedział czy to wychowanie, czy jakaś kulturowa spuścizna zaszczerpiła mu pewne nieprzekraczalne bariery. Owszem, cieszyłyby go różne porażki czy niepowodzenia Rudolfa. Jednak nie tego rodzaju. Zawału mu na pewno nie życzył. Nie czuł też żadnego współczucia. Mimo szczyrych chęci, nie mógł go w sobie wykrzesać. Próbował sobie wyobrazić Rudolfa jak leży nieprzytomny na łóżku, podłączony do różnych urządzeń i kroplówek. Nie wywoływało to w nim żadnych emocji. - Trzeba się później dowiedzieć, co z nim się dzieje. – znowu odezwał się Czarek. – Jak się wyliże, to może należałoby go odwiedzić. Co o tym myślisz? – Nie wiem, zobaczymy. Później zadzwonię do Kryśki i wszystkiego się dowiem. Ona zawsze wszystko wie, no i w końcu pracuje z matką Rudolfa. – Czarek odwiózł Malinę do domu. Umówili się, że Czarek sam pójdzie do wice prezydenta. Malina z kolei miał do niego zadzwonić, kiedy tylko dowie się czegoś o Rudolfie.

Postanowił, że do Kryśki zadzwoni za godzinę. Ledwie jednak zrobił sobie herbatę, sama do niego zadzwoniła. – Cześć Malina. Właśnie się zastanawiam, czemu do mnie nie dzwonisz? Pewnie już wszystko wiesz? – słychać było w jej głosie podekscytowanie. – Wiem tyle, że Rudolf miał zawał. To wszystko. Na pewno wiesz dużo więcej, to słucham. – i Malina oddał inicjatywę. – Pewnie, że wiem. Regina od rana siedzi w szpitalu. Już dwa razy dzwoniła. Była okropnie roztrzęsiona, ale naszpikowali ją prochami, to teraz z kolei jest pół przytomna. Może to i lepiej. Stan syna jest niestety ciężki. Zawał był rozległy i lekarze nic więcej nie chcą mówić. Podobno najbliższe godziny pokażą co i jak. To przykra sprawa i naprawdę żal nam Reginy. Strasznie to przeżywa. – Jasne, to rozumię. Tym bardziej, że podobno była ogromnie przywiązana do syna. Mówią, że był dla niej całym światem. A nie wiesz Krysiu, jak do tego doszło? Bo słyszałem, że rano była tam jakaś awantura. – Kryśka przyciszyła nieco głos – Tak, tak, była i to na cztery fajerki. Podobno ten Rudolf był wrednym szefem i jego wymagania wobec pracowników wykraczały daleko poza przyjęte zwyczaje. No i zbuntowali się. Dzisiaj rano zwołali zebranie i zaprosili Rudolfa. Próbował ich zdyscyplinować, ale bezskutecznie. Wręczyli mu listę żądań i postulatów do spełnienia. Miał to podpisać. W przeciwnym wypadku mieli złożyć zbiorowy protest na ręce prezydenta. Podobno jak ten Rudolf przeczytał postulaty, zrobił się czerwony, potem blady i nie mógł wykrztusić słowa. Złapał się za piersi i padł na fotel. A potem, to już wiesz... Pogotowie, szpital. Teraz wszyscy czekamy co będzie dalej. – No, to dzięki za serwis, piękna Krysieńko. Jak będziesz wiedziała coś nowego, proszę o telefon. Pa. – i Malina odłożył słuchawkę. Położył się na tapczan i leżał z otwartymi oczami. Czuł coś na kształt nikłego smutku i żałował, że prawil złościwości Rudolfowi. Ale skąd, do cholery mógł wiedzieć co go spotka? Czy jego zachowanie miało jakiś wpływ na to, co się stało? Nie wiadomo kiedy usnął. Obudził się, gdy za oknem było już ciemno. Dzwonił telefon. Poderwał się i podniósł słuchawkę. Usłyszał płaczącą Kryśkę – On nie żyje. Słyszysz Malina? Umarł.

K O N I E C

SIŁA PROTEZY

W długim, jednopiętrowym pawilonie, rozlokowały się dwie instytucje. Zarząd i administracja Spółdzielni Mieszkaniowej oraz Dzielnicowy Dom Kultury, który przez Zarząd Spółdzielni został powołany i formalnie mu podlegał. Prezesem Zarządu był inżynier Wicher, natomiast Domem Kultury kierował dyrektor Baranowski, magister, którego między sobą pracownicy nazywali Baranem. Cóż, nazwisko zobowiązuje. Zarząd i administracja zajmowały niewielką część budynku. Mniej więcej jedną czwartą piętra. Parter i lwią część górnej kondygnacji należała do Domu Kultury. Na piętrze mieściła się duża sala, przeznaczona na różnego rodzaju spotkania, tańczące wieczorki, ćwiczenia sekcji tanecznej, próby zespołu muzycznego i chóru. W jednym z jej końców znajdował się mały bufet, który prowadziła pani Róża. Obok znajdowała się niewielka biblioteka połączona z czytelnią. Stało tam kilka stolików z zamontowanymi lampkami. Na piętrze ulokowano jeszcze ciemnię fotograficzną i magazynek, gdzie przechowywano instrumenty, sprzęt nagłaśniający, reflektory i mnóstwo najróżniejszych rzeczy, niezbędnych do funkcjonowania licznych sekcji. Na parterze był sekretariat i przylegający do niego gabinet dyrektora, kilka pomieszczeń biurowych i pracownie różnych sekcji: plastycznej, muzycznej, modelarskiej, fotograficznej, krawieckiej, studio makijażu dla pań, a do tego parę pomieszczeń o przeznaczeniu uniwersalnym. Dom Kultury działał prężnie i z rozmachem. Nosił wprawdzie nazwę – „Dzielnicowy...”, ale przychodzili tu ludzie nawet z odległych części miasta. Magister Baranowski stanowisko dyrektora objął przed niespełna rokiem, z czego dwa miesiące spędził na szkoleniu w stolicy, co okazało się brzemiennie w skutki. Wrócił przed dwoma tygodniami z głową pełną nowych pomysłów. Z zapałem i entuzjazmem zabrał się do reformowania dotychczasowej działalności Domu. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że wraz z dyrektorem, szkolenie odbywała instruktorka muzyki, pani Renata. Co gorsza była kobietą atrakcyjną i wiedząc o tym jakie robi wrażenie na mężczyznach, zachowywała się ciut prowokacyjnie. A miała w tym niemałe doświadczenie.

Naszą opowieść zaczniemy trochę od końca. Od preludium finału, które było widowiskowe i zadziwiło, ba, zaszokowało pracowników Domu Kultury.

Tego dnia, dyrektor Baranowski zjawił się w pracy jak zwykle około dziewiątej. W niewielkim holu, przy popielniczce, stały trzy panie i chórem powitały szefa – Dzień dobry, panie dyrektorze! – na co Baran odpowiedział – A, dzień dobry, dzień dobry paniom. - i skierował się w lewo do swojego gabinetu. Po chwili jednak ukazał się znowu z paczką papierosów w ręce. Podszedł do grupki kobiet i zapytał – Macie może panie ogień? Gdzieś mi się podziła zapalniczka. – Jedna z pań wyciągnęła rękę z zapaloną zapalniczką i dyrektor zaciągnął się głęboko. Zadowolony, odprężony, podjął z kobietami poranne, niezobowiązujące rozmowy o niczym. Grzecznościowe przekomarzanki. Sielanka jednak nie trwała długo. Została przerwana w sposób nieoczekiwany i dosyć gwałtowny. Gdy towarzystwo przy popielniczce rozprawiało sobie w najlepsze, drzwi wejściowe otworzyły się raptownie i do holu wszedł postawny facet. Zatrzymał się na moment rozglądając się dookoła. Kiedy dostrzegł dyrektora, ruszył w jego stronę. Baran zbladł i oparł się plecami o ścianę. Gość zatrzymał się przed nim i chwycił wielkimi łapskami klapy Inianej marynarki dyrektora. – Słuchaj palancie! Odwal się od mojej żony! Jeszcze raz, choć spojrzysz w jej stronę, to zatłukę! Spuszczę ci taki łomot, że rodzina cię nie pozna! Co ty chuju sobie myślisz?! Że co?! Wielki mi dyrektor! Wszystko ci wolno?! Dla mnie jesteś zwykłą gnidą! – wykrzykując te słowa, facet akcentował je waląc rytmicznie ciałem Barana o ścianę. Słysząc było głuchy łomot odbijającej się od ściany głowy. W końcu puścił zmiętego magistra i już odchodząc powiedział – Radzę ci kutasie, żebyś to zapamiętał! – i poszedł sobie trzaskając z rozmachem drzwiami.

Panie, które podczas rozgrywającej się sceny stały zmartwiałe z rozdziawionymi ustami, teraz nagle ożyły. Rzuciły się w stronę sponiewieranego szefa. Jedna poprawiała mu włosy, druga usiłowała wygładzić pomięte klapy, a wszystkie trzy na przemian wykrzykiwały – Bandyta! Trzeba na policję! Nic panu nie jest?! – Dyrektor blady jak ściana już się otrząsnął z pierwszego szoku i mitygował pracownice – Nie, nie... Wszystko w porządku... Żadna policja. Sam to załatwię. A teraz moje panie, do pracy, do pracy. – i sam udał się do gabinetu.

Nie trzeba chyba wyjaśniać, że osobnik, który złożył tak nieoczekiwaną wizytę, był mężem pani Renaty, instruktorki muzyki. Sama Renata nie pojawiła się tego dnia w pracy i nie było jej przez najbliższy tydzień. Można ją zrozumieć. Nie chciała się afiszować z twarzą, która miejscami przybrała kolor głębokiego fioletu.

Wieść o wydarzeniach lotem błyskawicy obiegła Dom Kultury i biura Spółdzielni Mieszkaniowej. Nie codziennie się trafia taka gratka. Do końca dnia nie rozmawiano o niczym innym. Mnożyły się komentarze, domysły i opinie. Panie zachłystywały się prześcigając się w coraz to nowych wiadomościach.

Magister Baranowski siedział przy biurku i bębnił palcami po blacie. Wyrzucał sobie, że nie przewidział takiej sytuacji i dopuścił do niekontrolowanego rozwoju wydarzeń. Ale właściwie co mógł zrobić? Żałował jedynie, że nie był dwumetrowym facetem o muskulaturze Schwarzeneggera. Nie minęło pół godziny, a na biurku zadzwonił telefon. Telefonował prezes, inżynier Wicher. – Stary, co tam się u was dzieje? Dochodzą mnie niepokojące wieści. Wpadnij do mnie zaraz, musimy pogadać. – Dyrektor odłożył słuchawkę i siedział jeszcze jakiś czas. Potem z ociąganiem wstał i udał się na piętro.

Przywitał się z prezesem i usiadł na fotelu. – Napijesz się? – zagadnął inżynier i sięgnął do biurka. Nalał dwie literatki i bez toastu walnęli po jednym. Potem zaczął przemowę. – No wiesz Jarek... Co ty wyprawiasz? Już dawno słyszałem to i owo. Ale dzisiaj, to już wybaczyć, po prostu skandal! Wiesz co tu się dzieje? Aż huczy! I to się rozejdzie dalej. To przestało być twoją prywatną sprawą i rzutuje na wizerunek naszej instytucji. Gównu mnie obchodzi twoje amory, ale zupełnie nie wiem co mam robić w tej sytuacji. Masz jakiś pomysł? – Dyrektor milczał wpatrując się w swoje dłonie, a potem powiedział – Nalej jeszcze jednego. - Wypili i prezes zaczął już spokojniej – No bo zobacz. Mam ciebie zwolnić? Albo ją? Nawet pod byle jakim pretekstem. I tak wszyscy będą wiedzieli o co chodzi. Pewnie, z czasem wszystko ucichnie, ale to dla mnie nie jest rozwiązanie. Zdajesz sobie sprawę, że teraz zaczną się pytania. Z różnych stron. I to mnie będą pytać, a nie ciebie. – Zamilkli i inżynier nalał po trzecim. – Dobra. Zrobimy tak. Będę się starał ciebie bronić i będę na wszelkie sposoby bagatelizował sprawę. A ty pamiętaj. Renatę masz omijać szerokim łukiem. Zanim wyjdiesz na korytarz, upewnij się czy jej tam nie ma. Przestała dla ciebie istnieć. Jej powiem to samo i zagrozę, że wyleci na zbity pysk, jeśli w ogóle się do ciebie odezwie. Jasne? – No, jasne. - odpowiedział Baran.

Wyszedł od prezesa i schodząc na dół miał absolutną pustkę w głowie i czuł przeraźliwy smutek. Ze zgrozą pomyślał jaka przeprawa czeka go w domu. Baśka już od jakiegoś czasu coś podejrzewała, a teraz na bank znajdzie się ktoś

życzliwy i ją poinformuje dokładnie. Co miał robić? Nie wiedział. Z Renatą koniec? A co ona na to? Zastanawiał się czy do niej nie zadzwonić. Uznał jednak, że lepiej nie. Gdyby chciała mu coś powiedzieć, zadzwoniłaby sama.

*

Kiedy w kwietniu wezwał go prezes i zakomunikował, że jest w stolicy szkolenie dla dwóch osób, przyjął to z rezerwą. Nie chciało mu się wyjeżdżać na dwa miesiące. Na weekendy przyjeżdżałby wprawdzie do domu, ale takie rwane życie nie leżało w naturze dyrektora. Prezes jednak nalegał i w końcu musiał wyrazić zgodę. Jednocześnie dowiedział się, że wraz z nim została wydelegowana Renata. Pracował tu od niedawna, ale Renatę kojarzył. Jakże by nie. Rzuciła się w oczy. Postanowił ją odnaleźć i pogadać o wspólnym wyjeździe. Zajrzał do pracowni muzycznej. Była. Siedziała sama i pisała coś w dużym zeszycie. – Dzień dobry pani Renato. Właśnie byłem u prezesa i dowiedziałem się, że nas deleguje na szkolenie. – Dzień dobry. Tak, tak. Już wiem. Mnie złapał z samego rana w holu i w biegu powiedział o co chodzi. I co, pan dyrektor jedzie? – Nie bardzo mam inne wyjście. Szef nalegał, więc jadę. A pani? – Mnie to nawet nie pytał o zdanie. A zresztą, z panem dyrektorem, to sama przyjemność. – tu Renata zatrzepotała rzęsami i oblała się rumieńcem, co nie uszło uwadze Barana. Nie wiedział biedaczek, że opanowała tę sztukę już jako nastolatka. – Zajęcia rozpoczynają się w najbliższy poniedziałek, ale zakwaterowanie mamy już od niedzieli. Kiedy się pani wybiera? – No, chyba w niedzielę. A pan? – Ja? Hm... tak, w niedzielę. Myślę, że pojedziemy razem. – Też tak uważam. Nawet głupio byłoby inaczej. A zakwaterowanie mamy w Domu Nauczyciela. To na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Już mi się zdarzyło tam mieszkać i zapewniam pana, że są tam nadspodziewanie dobre warunki. Słowo daję. – Tak, wiem. Prezes mi o tym mówił. A na zajęcia piętnaście minut spacerkiem, bo to na Smolnej. Ja być może będę pomieszkiwał u rodziny, ale zakwateruję się w Domu Nauczyciela. Wie pani, żeby mieć jakiś wybór. – O, to wielka szkoda. Będę się sama wieczorami nudziła. Mam jednak nadzieję, że wybierzemy się gdzieś na kawę, a może na wino. – tutaj znowu Renatka taktycznie się spłoniła. – Nieco spłoszony Baran postanowił się

wycofać. – Cóż, mamy jeszcze kilka dni. Z pewnością się jeszcze namówimy. Owocnej pracy. – i wyszedł.

W niedzielę, wczesnym popołudniem spotkali się na peronie. Renata była z mężem, który ją odprowadzał. Zostali sobie przedstawieni i dyrektor udał się do wagonu zająć miejsca, a przy tym nie chciał przeszkadzać w pożegnaniu małżonków. Wkrótce zjawiła się Renata i pociąg ruszył. W czasie podróży trochę rozmawiali, a Renata umiejętnie rozłaczała swoje kobiece uroki. Dyrektor nie był typem kobieciarza, ale będąc mężczyzną, nie mógł pozostać obojętny na niezaprzeczone walory swojej towarzyszki. I tak gdzieś w okolicy Zielonki, byli już po imieniu. Renatka żałowała, że nie mogą wypić brudzia, ale obiecała, że to nadrobią.

Pokoje dostali na tym samym piętrze, niemal naprzeciwko siebie. Renatka nic, a nic nie przesadzała. Standard był rzeczywiście wysoki. Co to znaczy, stolica. Dyrektor pobieżnie się rozpakował, trochę się odświeżył i poszedł na dół do telefonu. Zadzwoił do rodziny, u której miał się zatrzymać i teraz wykręcał się tłumacząc, że byłoby mu niewygodnie dojeżdżać na poranne zajęcia. Ale obiecał, że będzie do nich wpadał. Potem zadzwonił do domu i tu musiał się trochę wysilić z łgarstwami, bo z Baską nie było tak łatwo. Wreszcie odetchnął z ulgą i zapukał do pokoju Renaty. Umówili się, że pójdą na jakiś obiad, bo w stołówce na dole pora obiadów już minęła.

Poszli w górę Tamką w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. W niedzielne popołudnie było mnóstwo spacerowiczów. Szli wolno, a Baran napawał się jakimś nieznanym dotąd uczuciem wolności i absolutnej swobody. Jak facet na delegacji.

Po jedenastej mieli w sobie dwie butelki wina i wracali do Domu Nauczyciela. Renatka wsunęła rękę pod ramię Barana i szli niewinnie przytuleni. Dyrektor z lekkim szmerkiem w głowie zastanawiał się nad dalszym rozwojem sytuacji. W końcu uznał, co będzie, to będzie. Jednak tego wieczoru nie było nic. Renatka cmoknęła go w policzek na dobranoc i zniknęła w swoim pokoju. Swoją drogą, wiedziała doskonale, że już ma dyrektora w garści. Osiągnęła to bez większego wysiłku, a teraz wiedziona babską strategią, nie miała zamiaru się spieszyć. Może Baran zacznie w końcu sam wykazywać bardziej zdecydowaną inicjatywę?

Dyrektor w ubraniu i butach padł na łóżko i próbował uporządkować myśli. A te galopowały mu w głowie jak szalone. Nie dało się ukryć, był pod

wrażeniem wybujałej kobiecości Renatki. Pociągała go jej otwartość, swoboda i śmiałość z jaką się poruszała w sferach, które uważał za intymne, a nawet wstydlive. Bo nie ma co ukrywać, Baran był w pewnej mierze pruderyjny. Żonaty od ośmiu lat, z dwójką dzieci, ciągle miał jakieś zahamowania w kontaktach z płcią przeciwną o ile te, zaczynały wykraczać poza zwykłe koleżeństwo, czy układy związane z pracą. Wynikało to po części z wychowania, które odebrał w domu. Wcześniej stracił ojca, a dzieciństwo i młodość upłynęła mu wśród kobiet. Matka, ciotka i starsza o rok siostra. On, jedyny mężczyzna, był rzecz jasna nadzwyczaj hołubiony. Wyrósł więc na ogromnego egoistę i egocentryka. Asertywność, na którą lubił się powoływać, w jego wydaniu była skrajnym egoizmem. Matka i ciotka, wywodziły się z przedwojennej inteligencji. Wychowały go starannie, według wzniosłych zasad rodem z dziewiętnastowiecznej literatury romantycznej. Baran był bardzo dobrze ułożony, ale nieco sztywny. Kiedy usiłował być spontaniczny, wychodziło to zawsze sztucznie i raczej budziło zażenowanie. We wczesnej młodości miał surowe zasady moralne. Jego siostra, która w tym czasie wiodła normalne, trochę rozrywkowe życie studenckie, nieraz musiała wysłuchiwać kąśliwych uwag brata. Uważał, że akademiki, to siedlisko rozpusty i zepsucia. Miał siostrze za złe, że często uczestniczyła w balangach, które tam się odbywały. Pałał świętym oburzeniem, kiedy wracała w środku nocy, do tego lekko podcięta. Taki był Baran. Dziewczyny na ogół wyczuwały w nim sztywnego nudziarza, faceta z zasadami, który kompletnie nie wiedział, czego naprawdę potrzebują. Toteż, mimo zupełnie przyzwoitej powierzchowności, nie miał Baran zbyt dużego wzięcia u pań. Jego przedmałżeńskie związki były nieliczne i nieodmiennie kończyły się fiaskiem.

Pierwszym płomiennym uczuciem zapalał do Ewuni. Drobna, urodziwa dziewczynka, szybko dała mu kosza, sprowadzając ich znajomość do zwykłego koleżeństwa. Pochodziła z profesorskiej rodziny fizyków i sama, niezwykle bystra, studiowała fizykę molekularną czy podobne dziwactwo. Mimo, że była typem naukowca, zachowała kobiecość i ku zgrozie Barana, nie stroniła od mężczyzn. Prawdę mówiąc, Baran nie dorastał jej do pięt, ani intelektem, ani osobowością. Prawie rok cierpiał okrutnie. Perypetie młodego Wertera zdawały się przy tym błahostką. Całymi dniami przesiadywał w swoim pokoju i brzdąkał na jednej strunie co smętniejsze numery Czerwonych Gitar. Matka, ciotka i siostra chodziły na paluszkach. W domu mówiło się szeptem, a fonię w telewizorze ustawiono na progu

słyszalności. Baran cierpiał. W jego pokoju poniewierały się szkolne podręczniki do fizyki. Był bowiem moment, kiedy Baran postanowił, że też zostanie fizykiem i w taki sposób zdobędzie serce Ewuni. Szybko jednak porzucił ten ambitny zamiar. Nie miał za grosz smykałki do przedmiotów ścisłych i fizyka na poziomie szkoły średniej stanowczo go przerastała. Cierpiał więc dalej. A z nim domownicy.

Kiedy żaloba nieco przyschła i Baran zaczął bywać, pojawiła się Elżunia. Stanowiła niewątpliwe przeciwieństwo Ewuni, bo była duża i dorodna. Do tego wesółka, zalotna i wygadana. Fajna dziewczyna, wokół której zawsze kręcili się faceci. Barana też wzięło. Przez jakiś czas awanse, które czynił Baran, zdawały się rokować jakieś nadzieje. A potem zdechło. Elżunia poczuła wyraźną słabość do kumpla Barana, który nie mógł sobie darować, że ją z nim poznał. Ale cóż, stało się i poszedł w odstawkę. Miała jednak Ela młodszą siostrę, Basię. I tu los Barana na trwałe związał się z dziewiętnastowieczną literaturą polską. Wzorując się na panu Michale, z marszu zapalał głębokim uczuciem do Baśki i po kilku miesiącach odbył się ich ślub.

Obudził się w środku nocy z bólem głowy, w ubraniu i butach. Rozebrał się i rezygnując z wizyty w łazience, ponownie zapadł w sen. Śniły mu się rzeczy, o które nigdy by siebie nie podejrzewał.

Na wykładach Baran nie uważał. Myślami błądził zupełnie gdzie indziej. Był wytracony ze stanu samozadowolenia, w którym się zwykle znajdował, a jego wyobraźnia podążała drogami, w które rzadko się zapuszczał.

Po obiedzie znowu spacerowali. Od Nowego Świata po Starówkę. Po drodze zaszli na piwo, a potem przysiedli przy Mickiewiczu. Z pobliskiej Dziekanki dochodziła głośna muzyka. Ćwiczyła jakaś metalowa kapela. O dziwo, Baranowi wydała się zupełnie niezła i nawet rytmicznie przytupywał, a przecież nie znosił metalu i dzikie dźwięki powodowały, że niemal dostawał wysypki. Niebo też wydawało się jakby bardziej niebieskie. Potem zaszli do Fukiera i znowu wytrąbili dwie butelki wina. Baran pił białe, a Renatka, intencjonalnie, czerwone. Zrobiło się późno i dyrektor uświadomił sobie, że nie dzwonił do domu. Wpadł w lekką panikę. Przeprosił Renatę i popędził do szatni do telefonu. Baśka szczegółowo wypytywała o pobyt w stolicy. Kręcił, plątał się i dużą ulgą odłożył wreszcie słuchawkę. Była to dla

niego zupełnie nowa sytuacja. Nie miał biedaczek za grosz doświadczenia i działał intuicyjnie, można powiedzieć, na ślepo.

Tego wieczora całowali się. I na ulicy i przed drzwiami pokoju Renatki. Rozeszli się jednak każde do siebie. Już u siebie w pokoju, Baran się jeszcze bił z myślami – Wrócić i zapukać do Renatki? – Krążył od okna do drzwi, jednak nie mógł się przemóc. – Co jej powie? A co powie ona? Jak się potem ma zachować? Czy to nie będzie głupie, niezręczne? Może ona uzna to za chamstwo? Pomyśli, że obudziły się w nim niskie, zwierzęce instynkty? – Cóż, w tych sprawach, był z niego prawdziwy baran.

Następny dzień rozpoczął się tak samo. Wykłady, obiad. Ale dzisiaj poszli do Domów Centrum. Ze trzy godziny łazili z piętra na piętro. Renatka kupowała jakieś duperele i ciuszki. Baran pomyślał, że też mógłby coś kupić dla Baśki i dzieciaków. Uznał jednak, że tego rodzaju zakupy przy Renacie, byłyby niezręczne i mogłyby się poczuć urażona. Postanowił, że któregoś dnia sam tu wpadnie.

Renatka, która jeszcze w czasie wspólnej podróży, poznała się na zasadniczej, sztywnej naturze Barana i wynikających stąd zahamowaniach, prowadziła konsekwentną akcję osvajania. A to go pogładziła, to znów cmoknęła w policzek. Potem wzięła go za rękę i tak zawędrowali do Hortexu na lody.

Szli Świętokrzyską w kierunku Nowego Świata. Dyrektor obejmował nieśmiało Renatkę. Na Tamce zaszli jeszcze do malutkiej dziupli i wypili po dwie lampki koniaku. Niewiele rozmawiali. Coś wisiąło w powietrzu.

Na piętrze, przed drzwiami pokoiów, znowu się całowali. Dzisiaj Baran okazał się śmielszy. Trudno powiedzieć, czy był to skutek zabiegów Renatki, czy powodował to koniak buzujący we krwi dyrektora, a może wreszcie dojrzał do sytuacji. Prawdopodobnie była to wypadkowa. W każdym razie Renatka poczuła, że dyrektor pakuje jej ręce pod bluzkę i zaczyna manipulować przy zapięciu stanika. Pomyślała więc – Dosyć tego. – wzięła go za rękę i bezceremonialnie zaciągnęła do pokoju.

Zdrada małżeńska, poprzez swoją powszechność, jest tematem nudnym, banalnym i aż do bólu wyeksploatowanym. Dla porządku musimy jednak odnotować, że dla dyrektora było to nowe i fascynujące doświadczenie. Kiedy rano obudził się z

głową wtuloną w cycki Renaty, czuł się odmieniony. Był innym człowiekiem. Uświadomił sobie, że poprzedniego wieczora nie zadzwonił do domu. Kompletnie się tym nie przejął. Po prostu mu to wisiało. Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia. Dzisiejszej nocy Renatka pokazała mu czym naprawdę może być seks. Owszem, Baran spełniał regularnie obowiązki małżeńskie, ale była to zupełnie inna kategoria. Swoboda Renatki, jej spontaniczność i naturalny, rozbrajający bezwstyd, zrobiły na nim powalające wrażenie. Były to dla niego zupełnie nowe doznania i Baran był kompletnie ugotowany.

Tego dnia nie poszli ani na wykłady, ani na obiad. Dopiero po południu, kiedy byli głodni nie do wytrzymania, udali się do pobliskiego baru, a potem długo siedzieli nad Wisłą.

Pobyt w stolicy przybrał zupełnie inny charakter. Chodzili teraz jak dwa gruchające gołąbki. Coraz częściej opuszczali zajęcia, a dni spędzali albo u Renatki w pokoju, albo u niego. Do miasta wychodzili późnym popołudniem. Prawdziwą zmurą okazały się teraz wieczorne telefony do domu, a weekendowe wyjazdy były prawdziwą katordgą. Dyrektor szybko wprawił się w różnego rodzaju łgarstwach i na poczekaniu wymyślał skomplikowane historie, które miały tłumaczyć jego nietypowe zachowania. Gdzieś, w głębi duszy Barana, tlił się niepokój i niejasne pytanie: co dalej? Ale nawet nie próbował na nie odpowiadać, tylko spychał w niepamięć. Był zakochany w Renatce po uszy i odczuwał błogą szczęśliwość, jakiej jeszcze nigdy nie było dane mu zaznać.

Szkolenie zbliżało się do końca i tym samym kończyła się słodka idylla. Dyrektor zaczął się robić niespokojny i wykazywał coraz większą nerwowość. Nie mógł sobie wyobrazić powrotu do dawnego życia, do prozaicznej, jak mu się teraz wydawało, codzienności. Pierwszy zaczął mówić o rozwodzie. Byli z Renatką w podobnej sytuacji. Ona miała męża i córeczkę, on żonę i dwójkę przychówku. Byli jednak w wieku, kiedy jeszcze można wszystko zacząć od początku. I tym się Baran kierował. Był w tej chwili gotów zostawić za sobą wszystko co było i rozpocząć nowe życie. Renatka jednak podeszła do tego z rezerwą i dyrektor poczuł się nie tylko zawiedziony, ale i w swoim egocentryzmie dotknięty. Ostatniego wieczora omal się nie pokłócili. Tylko spokój i kobiecy zdrowy rozsądek Renatki uratowały sytuację.

Baran dał się ugłaskać. Wysłuchał argumentów Renatki i chcąc, nie chcąc przyjął jej punkt widzenia.

Renatka nie była jakimś wyrachowanym babsztylem, a skłonność do romansów wynikała z jej natury. Należała przy tym do kobiet, którym imponuje stanowisko partnera, jego pozycja zawodowa. Dyrektor spełniał te oczekiwania i Renatka czuła do niego słabość, a uczucie, którym go zaczęła darzyć, może nie było płomiennej natury, ale tak czy inaczej, było. Dalekosiężne i radykalne plany dyrektora uważała jednak za przedwczesne i pochopne. Nie miała nic przeciwko romansowi, ale na wywracanie swego życia do góry nogami, nie była zupełnie przygotowana. Toteż z całą delikatnością i taktem, sprowadziła Barana na ziemię. Przegadali pół nocy i ustalili, że po powrocie będą się spotykać. Dyskretnie, po kryjomu, a czas pokaże co z tym dalej zrobić.

Plany, planami, a życie i tak pisze swoje scenariusze. Kiedy wrócili do pracy, niemal natychmiast stwierdzili, że wszyscy zdają się wiedzieć co ich łączy. Skąd, jakimi drogami? Nie wiadomo. W każdym razie na ich widok cichły rozmowy, ciągle gdzieś po kątach szeptało i nieustannie czuli na sobie ciekawskie spojrzenia. Nie było najlepiej. W pracy zachowywali daleko posuniętą ostrożność. Ograniczali swoje kontakty do minimum, ale i tak na niewiele się to zdało. Spotkania, które planowali, okazały się trudne i kłopotliwe w realizacji. W ciągu dwóch tygodni, które minęły od powrotu, udało im się spotkać dwa razy. Za pierwszym, przesiedzieli dwie godziny w jakimś zapyziałym barze. Następnym razem Renatka załatwiła mieszkanie koleżanki. Oboje wyrwali się w czasie pracy i mieli kilka godzin dla siebie.

O nie, Baranowi kompletnie nie odpowiadał taki styl spotkań. Mając w pamięci świeże wspomnienia ze stolicy, czuł się w jakimś sensie upokorzony obecną sytuacją. Myślał o tym nieustannie szukając jakiegoś rozwiązania. Jedno było pewne, z Renatki rezygnować nie chciał. Baśka, dzieci, stały się dla dyrektora nieznośnym balastem, ale teraz, będąc z nimi, miał poczucie winy i dopadały go wyrzuty sumienia. Musiał, po prostu musiał coś z tym zrobić.

Dzisiejsza awantura z udziałem męża Renatki ponuro nastroiła dyrektora. Do tego publiczna, na oczach pracowników. I jeszcze ta rozmowa z prezesem... Miał w głowie kompletny zamęt. Rozważał różne możliwości, ale w obecnym stanie ducha przeskakiwał z jednej skrajności w drugą i w sumie nic konkretnego nie wymyślił.

Przez cały dzień nie ruszał się z gabinetu. Nie chciał się pokazywać pracownikom na oczy. Siedział przy biurku, palił papierosy i bębnił palcami o blat biurka. Kilka razy podszedł do okna i popatrzył na świat zewnętrzny, jakby szukając w nim natchnienia. Trochę pokrażył po gabinecie, a potem znowu siedział. Kiedy o czwartej część pracowników zaczęła rozchodzić się do domów, odczekał trochę i wymknął się na parking. Wsiadł do wysłużonej Fiesty i ruszył do domu mając przed oczami obraz Renatki. Wrócili do niego wspomnienia ze stolicy, a potem się rozmarzył powracając myślami do ostatniego spotkania.

Dojeżdżał do skrzyżowania z Andersa i całkowicie pogrążony w świecie intymnych wspomnień wpakował się tam na czerwonym świetle. Z lewej strony, wesoło i beztrąsko wjeżdżał na skrzyżowanie autobus komunikacji miejskiej. Kierowca nie zdążył nawet zahamować. Nie jechał szybko, ot, raptem jakąś czterdziestką, ale masa pojazdu zrobiła swoje. Łomot uderzenia był porażający. Fiesta trafiona na wysokości przedniego nadkola i częściowo w drzwi od strony kierowcy, wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni, po czym walnęła tyłem w słup sygnalizacji świetlnej. Odbiła się i zastygła w bezruchu stojąc ukośnie na jezdni.

Zbiegowisko, policja, chwilę później pogotowie. Fiesta wyglądem przypominała puszkę od piwa wziętą pod obcas. Dłuższą chwilę trwało, zanim ratownicy wydobyli dyrektora z pociętego pojazdu i ostrożnie ułożyli na noszach. Był przytomny. Próbował nawet coś powiedzieć. Na twarzy miał krew, a lewy rękaw marynarki był nią przesiąknięty. Wreszcie erka na sygnale odjechała w kierunku szpitala.

*

Piąty miesiąc pobytu w szpitalu dobiegał końca. Trzy kolejne operacje stawu biodrowego, przyniosły ten efekt, że dyrektor mógł chodzić. Wprawdzie wyraźnie utykał, ale obiecywano, że z czasem będzie lepiej. Lewej ręki nie udało się uratować. W wyniku wypadku została zmiażdżona i amputowano ją powyżej łokcia. Została dyrektorowi hemingwayowska „żółwia łapa”. Lekarze mówili, że są większe nieszczęścia, a dzisiejsze protezy, to prawdziwe cuda techniki. A co mieli mówić? Czekala go jeszcze długa rehabilitacja w Konstancinie. Mimo, że upłynęło sporo czasu i był pod stałą opieką psychologa, dyrektor nie mógł odzyskać pełnej równowagi psychicznej. Dostawał jakieś silne prochy uspokajające i antydepresyjne, co skutkowało tym, że zwykle chodził trochę przymulony i zobojętniały wobec rzeczywistości. Cyklicznie następowały jednak okresy, kiedy nawiedzała go niezwykła jasność umysłu i wówczas z całą wyrazistością jawiła mu się przyszłość, tak beznadziejna, że aż niewyobrażalna. Swoje kalectwo postrzegał w kategoriach wartości swojej osoby. Czuł się gorszy, niepełnowartościowy, a jego dotychczasowa buta i wybujałe poczucie wyższości, znikły bez śladu. Cierpiała ambicja dyrektora. Nie mógł znieść myśli, że będą na niego patrzeć z politowaniem i szeptać za plecami.

Baśka odwiedzała go początkowo każdego dnia. Czasem przychodziła z dziećmi. Te jednak były jeszcze zbyt małe, aby w pełni ocenić powagę sytuacji. Wiedziała już o historii z Renatką, ale nie chciała o tym rozmawiać. W czasie wizyt żony, Baran przeważnie milczał i zachowywał się z wyniosłą rezerwą. Taki już był. Baśka zaczęła przychodzić rzadziej, aby ostatecznie zostać przy częstotliwości raz na tydzień.

Owiedziła też dyrektora teściowa. Baran nie znosił tej kobiety, a z jej strony miał pełną wzajemność. Dokładnie poinformowana o delegacyjnym romansie nie szczędziła kąśliwych uwag i w końcu z ledwie maskowaną satysfakcją, powiedziała, że się doigrał i ma za swoje. Dorzuciła coś jeszcze o karze boskiej i poszła sobie z mściwym uśmiechem na ustach. Tak, miał Baran o czym rozmyślać.

A Renatka? Też była. Raz, bo więcej dyrektor jej nie chciał oglądać. Przyszła jakaś zalękniona i wyraźnie skrępowana. Baran też czuł się nieswojo. Wiedział, że to głupie i niesprawiedliwe, ale gdzieś w głębi duszy, obwiniął Renatkę o to, co go spotkało. Amory dawno wywietrzały mu z głowy i wobec Renatki był

sztywny i oficjalny. Jednak poczuł się zawiedziony i dotknięty, gdy spostrzegł, że przyjęła to z ulgą. Jeszcze jeden bolesny cios w jego poczucie własnej wartości i tak już mocno nadszarpniętej. Przetrawiał to jeszcze długo po jej wyjściu. – Ale te baby potrafią być wredne! A jakie niewdzięczne! Żeby on, dyrektor, musiał znosić takie upokorzenia...

*

W holu Domu Kultury panował gwar i pobrzękiwało szkło. Świętowano powrót Barana do pracy. Kilka miesięcy w szpitalu, kilka w Konstancinie i wreszcie po roku z nawiązką dyrektor powrócił. Toasty zostały wzniesione, mowy wygłoszone, a teraz pracownicy stali w luźnych grupkach z kielichami szampana w dłoniach. Dyrektor dwoił się i troił lawirując wśród zgromadzonych. Starał się z każdym zamienić choć dwa słowa, trącić się kieliszkiem, „...śmieszył, tumanił, przestraszał...” Zatrzymał się wreszcie przy prezesie Spółdzielni, który stał w towarzystwie swego zastępcy i księgowej. Dyrektor brawurowo przełożył kieliszek z prawej dłoni do lewej, a dokładniej, ujął go palcami protezy pokrytej brązową skórą i przepił do inżyniera. – Widzisz jakie cuda teraz robią? Prawdę mówiąc, przywiązałem się do niej i szczerze polubiłem. Może nawet bardziej niż poprzednią, tę niby prawdziwą. Zobaczysz, niedługo wszyscy mi będziecie zazdrościli. Tym bardziej, że mam zamiar publicznie zademonstrować jej zalety i siłę. Zobaczysz co to znaczy rządzić żelazną ręką. He, He... Jeszcze pokażę wam wszystkim. – tu dyrektor wyszczerzył się szeroko. Prezes w niemym zdumieniu wytrzeszczył oczy.

K O N I E C

DOJRZEWANIE DZIEWCZYNEK

Drewniany, parterowy domek z mansardą pod dwuspadowym dachem, stał na rogu ruchliwych ulic śródmieścia. Był jednym z nielicznych już reliktyw dawnej zabudowy miasta. Wejście było od tyłu. Otwierało się skrzypiącą furteczkę i przez wewnętrzne, małe podwórko, szło się do drzwi wejściowych. Malina zamknął bramkę za sobą i zmierzał do wejścia. Mijając okna, bezwiednie stwierdził, że parapety ma na wysokości rozporka. Zatrzymał się przed drzwiami i zapukał. Po chwili jeszcze raz. Nic. Cisza. Był tu już wiele razy i znał rozkład pomieszczeń. Wiedział, że drzwi prowadzą do przedsionka, a stamtąd następne, do kuchni. Nacisnął klamkę. Były otwarte. Wszedł do sieni i zapukał do drzwi kuchennych. Dobiegł go jakiś stłumiony, niewyraźny głos. Malina uznał to za zaproszenie i otworzył drzwi. Przystanął w progu i przez dłuższą chwilę usiłował zrozumieć co widzi. Widok zaiste był niecodzienny i Malina, którego trudno było zadziwić, stał zupełnie zbity z tropu. Duży stół zajmował w kuchni centralne miejsce. Po drugiej stronie blatu stała jakaś postać, chociaż określenie „stała”, nie było do końca precyzyjne. Właściwie póżeżała na stole z głową przykrytą jakąś ściereczką, czy czymś takim. W prawej dłoni trzymała żelazko. Słyszając wchodzącego, odezwała się spod przykrycia:

- O, Kryśka... Jak już jesteś, to weź mi pomóż. – ręka odstawiła żelazko, a spod ściereczki wyjrzała głowa. Była to Juleczka, młodsza siostra Kryśki. Nie straciła rezonu ujrzawszy Malinę. Mimo, że smarkata, miała niezły temperamencik i trudno ją było wprowadzić w stan zakłopotania.

- A, to ty Malina. Możesz mi pomóc? - spojrzała na niego prosząco.

- Mogę, mogę, ale co ty właściwie robisz? Bo wiesz, prasowanie słabo mi wychodzi. – mówiąc to zbliżył się do stołu. Juleczka przybrała pionową pozycję.

- No... prostuję włosy. Już nie mogę patrzeć na te swoje loczki, a jak się przeprasuje na mokro żelazkiem, to do wieczora będą prościutkie. – wyjaśniła.

- Dobra. To co mam robić? – powiedział Malina i jednocześnie dokładniej przyjrzał się fryzurze Juleczki. Miała jasne włosy średniej długości. Opadały jej na ramiona i

właśnie w dolnej części zawijały się w naturalne, niesforne pierścienie. – Po jaką cholereę ona to robi? – pomyślał.

- E, nic trudnego. Tu masz spryskiwacz. Ja położę głowę na stole, a ty spryskasz mi włosy, ale tak, żeby były wilgotne, nie mokre. Potem przez szmatkę przepirasujesz moje loczki. Szczególnie na końcach. Tylko uważaj. Przez szmatkę. Jasne?

- Niby tak. Jesteś pewna, że warto? A poza tym wydaje mi się, że niszczysz sobie włosy. – Malina próbował odwieść ją od tego dziwaczного pomysłu.

- Coś ty. Robiłam to już wiele razy. To jak? Możemy zaczynać? – włączyła żelazko i ułożyła głowę na kocu leżącym na blacie stołu. Dużym grzebieniem rozczesła włosy rozsypując je wokół głowy.

- Już możesz. Do roboty, do roboty... – ponagliła Malinę. Wypróbował spryskiwacz w powietrzu, a potem spryskał jej włosy rozłożone na kocu. Precyzyjnie przykrywał ściereczką kolejne pasma i kilka razy przeciągał gorącym żelazkiem. Ze szmatki unosiła się para i pachniało jakimś szamponem i trochę jakby mokrym psem. A włosy rzeczywiście się prostowały. Cały zabieg nie trwał długo. Gdy Malina skończył prasowanie, przyjrzał się i dokonał kilku korekt.

- Gotowe. Więcej chyba nie da się osiągnąć. – powiedział odstawiając żelazko. Juleczka uniosła górną połowę ciała ze stołu i potrząsnęła głową. Włosy opadły na ramiona. Podeszła do małego lusterka wiszącego na ścianie i uważnie oglądała efekt zabiegu.

- Nieźle, nieźle... Spisałeś się Malina. Wielkie dzięki. – odwróciła się do niego i uśmiechnęła figlarnie.

- Widziałem już różne dziwactwa, które wyczyniają dziewczyny, jednak z czymś takim, jeszcze się nie spotkałem. – Malina przyglądał się dziełu, w którym miał swój udział. A potem dodał zmieniając temat – Kryśki, jak widzę, nie ma? Nie wiesz kiedy wróci?

- Nie ma. Nie ma. Nie ma. Nie wiem gdzie poszła. Nie wiem kiedy wróci. Nic, nic nie wiem. – Juleczka wyrzucała z siebie sylaby dobitnie je akcentując i jednocześnie zbierała rzeczy ze stołu.

- Co? Ty czegoś nie wiesz? Nie mogę w to uwierzyć. Zawsze jak mówisz, że nie wiesz, to może jedynie oznaczać, że wiesz doskonale. Chyba, że ci Kryśka zakazała cokolwiek mówić. – powiedział to nieco prześmiewczym tonem. Często się tak ze smarkulą droczył.

- No nie! Kryśka mi zakazała?! Ja z tą wydrą od tygodnia nie rozmawiam i nie wiem czy się do niej jeszcze kiedykolwiek odezwę. – Juleczka pałała świętym oburzeniem.

- Co ty mówisz? Przecież jak wszedłem, wzięłaś mnie za Kryśkę i jednak coś mówiłaś. – wyraził wątpliwość Malina.

- A, to tak odruchowo. W ogóle, to nie wiem, co ty w niej widzisz? Nie zauważyłaś, że ona ma krzywe nogi? I wprawdzie się tego wypiera, ale uważam, że trochę zezuje. – dodała jeszcze z lekką pogardą.

Malina nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Takie przejawy dziewczęcych złościwości nieodmiennie go bawiły. Zresztą, nie po raz pierwszy przekonywał się, jak siostrzyczki potrafią sobie dogryzać. Juleczka była o kilka lat młodsza od siostry, co w tym wieku oznacza epokę. Tak się jednak składało, że ciągle kręciła się wśród przyjaciółek starszej siostry, a ostatnimi czasy wśród coraz liczniejszych kolegów Kryśki. W rezultacie żyła problemami, do których jeszcze nie dorosła, a jednocześnie była znacznie bardziej dojrzała, niż większość jej rówieśniczek. Z nimi nie miała o czym rozmawiać. Zupełnie zdrowe, to na pewno nie było. Od jakiegoś czasu Julcia zaczęła wyraźnie konkurować z Kryśką. Stroiła się i malowała prowokacyjnie gdy siostrę mieli odwiedzić jacyś chłopcy, albo szykowała się domowa prywatka. Wkładała super krótkie spódniczki, a raz posunęła się nawet do tego, że aby powiększyć sobie cycki, wypychała czymś biustonosz. Starszą siostrę najpierw to śmieszyło, ale później zaczęło drażnić i złościć. Szczególnie kiedy widziała, jak niektórzy z jej kolegów patrzą na małą. Malina lubił Juleczkę. Podobała mu się jej zadziorność i pewność siebie. Mała była pyskata i krnąbrna, jednak kiedy chciała coś osiągnąć, potrafiła być przymilna i uległa. Niewątpliwie przyswoiła sobie podstawowe kobiece sztuczki i stosowała je z pełną świadomością.

- Julcia! Bój się Boga! Jak możesz tak mówić? I to o własnej siostrze? – Malina odgrywał święte oburzenie. Często prowadzili takie słowne gierki, które Juleczka

uważała chyba za coś w rodzaju flirtu. Cóż, może istotnie tak było? Jednego Malina był pewien. Z pewnością miała diabła pod spódnicą.

*

Juleczka siedziała w swoim pokoiku przy zabytkowej toaletce. Oparta łokciami o blat, przypatrywała się swojemu odbiciu w owalnym lustrze oprawionym w kunsztownie rzeźbioną ramę. Jeszcze raz z zadowoleniem przyjrzała się wyprasowanym włosom. Miała zamiar zrobić makijaż i z szufladek zaczęła wyjmować najróżniejsze akcesoria i kosmetyki. Przynajmniej połowa z nich pochodziła z zasobów Kryśki. Julcia regularnie podciągała je siostrze, ale nie miała z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Jej zdaniem Kryśka i tak miała lepiej. Jako starsza, do tego już studentka, dostawała większe kieszonkowe, a to Juleczka uważała za niesprawiedliwe. Poza tym Kryśce trafiały się różne prezenciki od chłopaków, którzy ją odwiedzali. Smarkaczom, z którymi się Julcia czasem spotykała, nic takiego do głowy nie przychodziło. Zresztą i tak wołała starszych, takich, którzy przychodzili do Kryśki, ale oni traktowali ją zazwyczaj protekcyjnie, co Juleczkę niezmiernie wkurwiało. Co z tego, że ma czternaście lat? Jak się postara, wygląda przynajmniej na osiemnaście. Czy te wały nie widzą jakie ma cycki? W ciągu ostatniego roku urosły na tyle, że Juleczka coraz częściej nie wkładała biustonosza. Czy nie widzą jak one się poruszają, falują? Jej samej bardzo się to podobało i często stojąc przed lustrem, poruszała ramionami sprawiając, że piersi pod bluzeczką zaczynały żyć własnym życiem. No tak, ostatnio jeden z kolegów Kryśki przydybał Juleczkę w przedśionku, ale był chamski i nachalny. Pchał się z łapami pod spódnicę... Nie, Julcia nie znosiła takiego prostactwa. Nawet nie wiedziała czy zamieniła kiedykolwiek z tym typem dwa słowa. Cham i tyle. Co innego Malina. Ale on ją traktował jak małą dziewczynkę. Wiele razy dawała mu do zrozumienia, że wcale nie jest głupiutką smarkulą. Udawał, to jasne, że tego nie widzi. Posunęła się nawet do tego, że przy różnych okazjach ocierała się o niego, dotykała go znacząco. I nic. Nie dawał się sprowokować. Tak, przychodził do Kryśki. Juleczka nawet ze dwa razy widziała jak się całowali. A przedwczoraj, przyłapała Kryśkę z gołymi cyckami.

Małpa jedna. Dziwka... A Malina w popłochu zapinał koszulę. Jak spostrzegła, spodnie też miał rozpięte. O nie, nie daruje mu tego. Woli Kryškę? To jeszcze zobaczy. Juleczka pokaże im na co ją stać. Malina, Maliną, ale największe wrażenie zrobił na Julci chłopak, który od niedawna bywał u Kryški. Juleczka widziała go zaledwie dwa razy, ale wywarł na niej piorunujące wrażenie i ciągle się przyłapywała na tym, że o nim myśli. Miał na imię Adam i był wielkim bydlakiem z grzywą czarnych włosów opadających na oczy. Oczy miał ciemne i błyszczące, spojrzenie przenikliwe i śmiałe. Mówił niewiele i Juleczka właściwie nie zdążyła z nim dłużej porozmawiać. Ale co tam, wyglądał fantastycznie i gdyby spotkała go w półmroku przedsiönka... o, nie miałyby nic przeciwko temu.

Odłożyła pomadkę i chusteczką starła szminkę tam, gdzie przekraczała linię ust. Przyjrzała się swemu dziełu. Oczy i usta były teraz głównymi akcentami jej twarzy. No i dobrze. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że ma jeszcze sporo czasu. Pomyślała, że wpadnie do pani Wery na kawę. Dostyc beładnie powrzuciła kosmetyki do szufladek i udała się do wyjścia. Pani Wera zajmowała poddasze i aby się tam dostać, trzeba było wyjść na zewnątrz i skierować się do drugich drzwi, a dalej wąskimi, drewnianymi schodkami na górę. Julcia, pokonawszy schody, zapukała do drzwi.

- Proszę, proszę. – rozległo się ze środka. Głoska „ę” brzmiała z przesadną starannością. Julcia nacisnęła klamkę i weszła środka. Od jakiegoś czasu bywała tu niemal codziennie. Jednak za każdym razem zatrzymywała się chwilę w progu, oszołomiona niesamowitym rozgardiaszem, który panował w pomieszczeniu. Poddasze stanowiło jedną przestrzeń z wydzielonym aneksem kuchennym. Było straszliwie zagracone. Znajdowało się tu mnóstwo najróżniejszych mebli, pakunków, dziwacznych przedmiotów. Nawiasem mówiąc, zabytkowa toaletka, przy której Juleczka zasiadała do makijażu, była prezentem od pani Wery.

- A, to ty, moje dziecko. Tak też sobie myślałam. – pani Wera wychyliła się z za wiekowego trema. – Zachodź Julcia, zachodź. - Cofnęła się robiąc drogę gościowi. Juleczka weszła dalej, a tam wśród zbieraniny, pod oknem, było wygospodarowane miejsce na wykwinny stolik z wygiętymi nóżkami i cztery miękkie krzeselka.

- Siadaj sobie córeczko. Zaraz nastawię wodę. – mówiąc te słowa pani Wera skierowała się do części kuchennej. Pani Wera miała już swoje lata. Wysoka i

szczupła, w kwiecistym, jedwabnym szlafroku, poruszała się z gracją i elegancją. Siwe włosy miała zaplecione w warkocz. Juleczka знаła ją od dziecka, bo pani Wera mieszkała tu od zawsze. Jednak ostatnio ich znajomość przybrała bardziej zażyłą formę. Zaczęło się od tego, że starsza pani prosiła czasem Julię o drobne przysługi. Pójście do kiosku czy sklepu. Wrzucenie listu do skrzynki. Pewnego razu zaprosiła ją na kawę i szybko stało się to codziennym zwyczajem. Juleczka lubiła tam chodzić. W zagraconym pomieszczeniu była jakaś pociągająca atmosfera. Zapach starych perfum, mahoni i czegoś jeszcze... Poza tym te wszystkie meble spiętrzone bezładnie, bibeloty, dziwaczne przedmioty, których przeznaczenia Juleczka często nawet nie znała, to wszystko sprawiało, że ilekroć tam zachodziła, czuła lekki dreszczyk emocji. A i sama pani Wera była ciekawą osobą. Podczas wielu poprzednich wizyt Julcia wysłuchiwała całego mnóstwa historii z życia pani Wery. Najbardziej zaś lubiła kiedy starsza pani wyciągała albumy ze zdjęciami i przewracając kartę po karcie, opowiadała o sytuacjach i osobach uwiecznionych na fotografiach.

Pani Wera przed wojną skończyła szkołę baletową we Lwowie. Jeszcze dzisiaj w jej wymowie pobrzmiewały nutki kresowe. Potem, na skutek jakiś okoliczności życiowych, trafiła do naszego miasta i tu już została. Związała się zawodowo z niedawno powstałym teatrem. Początkowo była tancerką, ale wkrótce awansowała do roli aktorki. Nigdy wprawdzie nie została gwiazdą, ale grywała poważne role i na pewno nie była statystką. Świadczyły o tym stare fotografie, programy i recenzje prasowe, których pani Wera zgromadziła niemało. Po wojnie nadal trzymała się teatru. Jednak po kilku latach powróciła do swego prawdziwego zawodu. Miejski Dom Kultury utworzył sekcję baletową, a pani Wera objęła jej kierownictwo. Czasem jeszcze gościnnie występowała na scenie, ale tak naprawdę z pasją poświęciła się sekcji baletowej, którą jej przyszło prowadzić. Bardzo szybko zyskała w mieście wysoką renomę. W tym czasie, wśród miejskiej elity zapanowała moda, żeby dzieci posyłać na balet. Sekcja pani Wery była dosłownie oblegana i niełatwo się było tam dostać. Pani Wera stała się osobą znaną i niezwykle ustosunkowaną, bo przyszło jej obracać się wśród miejskich dygnitarzy, co przynosiło najróżniejsze korzyści i przywileje. Z baletem była związana do emerytury, a jej odejście odbiło się w mieście szerokim echem. Urządzono wielki bankiet pożegnalny, były dyplomy i odznaczenia. Od tamtej pory pani Wera wiodła ciche i samotne życie. Czasem gdzieś wychodziła,

czasem ktoś do niej przychodził i to wszystko. Nigdy nie była zamężna, jednak w jej życiu nie brakowało mężczyzn. Julcia przekonała się o tym oglądając z gospodynią fotografie w albumach, a i opowieści pani Wery nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Tym bardziej, że nie była osobą pruderyjną i sprawy męsko damskie traktowała jako coś zwykłego i naturalnego. Wynikało to po części stąd, że całe życie spędziła w środowisku artystycznym, a tam jak wiadomo, obyczaje są znacznie bardziej swobodne, niż wśród ogółu. O, Juleczka przepadała za historiami, które opowiadała leciwa sąsiadka. Miały w sobie pewien klimat, coś, czego dzisiaj się już nie spotykało. Pikanteria łączyła się w nich ze staroświecką elegancją i prawdziwymi uczuciami. Biegała więc Julcia do pani Wery kiedy tylko mogła. Nie były w stanie jej zrazić nawet uwagi ojca. Niedawno, przypadkiem podsłuchiwała jak mówił do matki:

- Słuchaj Marysiu, a po kiego diabła Julka lata ciągle do tej lafiryndy z góry? Wcale mi się to nie podoba. Wiesz, nie wiadomo czego ona tam się może nasłuchać. Może ty coś jej powiesz? – zrzędlwym tonem ciągnął ojciec.

- Oj, nie przesadzaj. Niech sobie chodzi. Ja w tym nic złego nie widzę. A czemu mówisz o Werze lafirynda? Że była aktorką? Zawód jak zawód. Co w tym niezwykłego? – matka Juleczki była znacznie bardziej tolerancyjna.

- Aktorka, aktorka...! Mówią, że przed wojną częściej przesiadywała w Ritzu niż w teatrze, a wiesz kto tam przesiadywał. – ojciec nieustępliwie drażył temat.

- Nasłuchałeś się jakiś dyrdymałów i tyle. I co z tego, że przesiadywała w Ritzu? W takim towarzystwie się obracała. To gdzie miała chodzić? A co ty się nagle taki świętoszek zrobiłeś? Nic się nie bój, Juleczce nic nie ubędzie od tego, że tam chodzi. – rodzicielka wyraźnie bagatelizowała obawy męża.

Zasłyszana rozmowa rodziców tyko wzmogła ciekawość Julci. Wprowadzała bowiem jakiś element dwuznaczności, a to ją niezmiernie pociągało. Ponadto, według Julci, pani Wera miała w sobie pewną klasę. Niekiedy nawet starała się ją naśladować. Zresztą, sama pani Wera często zwracała jej uwagę. A to, że się garbi. To znów, że krzywo siedzi. Kilka razy kazała jej przeciwzyć chodzenie, albo siadanie na krześle. Zazwyczaj krytkowała jej makijaż uważając, że jest zbyt agresywny. Zawsze poprawiała błędy językowe, które Juleczka robiła. Julcia z powagą traktowała uwagi starszej pani i starała się do nich stosować.

- Sądząc z tego jak się odstawiaś, wybierasz się gdzieś. Randka? – pani Wera rozstawiała filiżanki z kawą. – Tyle razy ci mówiłam, żebyś się tak mocno nie malowała. Teraz zupełnie tego nie potrzebujesz. Poczekaj, kiedy będziesz starsza, to i owszem, czasem można. Ale teraz? Psujesz tylko swoją naturalną urodę.

- Tak? A ja starałam się tak delikatnie... - Juleczka była szczerze zdziwiona uwagami pani Wery.

- Po prostu masz już taki nawyk i nawet nie bardzo widzisz co robisz. Więcej uwagi i skupienia. Nigdy nie działaj rutynowo. Makijaż to wielka sztuka. No dobrze, ale powiedz gdzie się wybierasz?

Juleczka mówiła aktorce prawie wszystko, więc i tym razem nie miała oporów.

- Bo... widzi pani, do Kryśki zaczął przychodzić taki Adam. No... i on mi się... no... podoba. Jak przychodzi, to nie bardzo mam okazję z nim porozmawiać. Wzięłam się jednak na sposób i próbuję go przydybać samego. Dowiedziałam się gdzie pracuje. Tutaj, niedaleko, w zakładzie jubilerskim. O drugiej kończy pracę i wczoraj zacząłam się po drugiej stronie, czekając aż wyjdzie. No i wyszedł, ale z jakimiś kolegami. Przecięłam im drogę i nawet mnie zauważył i kiwnął głową, ale to wszystko. A ja bym chciała, żeby mnie zaczepił, zagadał... Wtedy coś może wyjść... No i idę znowu. Może dzisiaj się uda.

- Ha, ha, ha! Ale z ciebie kombinatorka. Ale, dobrze, próbować trzeba. Radzę ci jednak, żebyś te „przypadkowe” spotkania ograniczyła. Nie rób tego codziennie, bo chłopak się jak nic zorientuje. A przecież nie o to chodzi? Prawda? Ty chcesz go sprowokować do działania i to się nawet może udać, ale potrzebujesz trochę szczęścia. – pani Wera od rozbawienia przeszła do praktycznych porad.

Juleczka miała jeszcze inny powód, żeby wyglądać szykownie. Ale tego wolała pani Wera nie mówić. Tym bardziej, że sama nie bardzo wiedziała co o tym myśleć. Wczoraj przyszła do niej Zośka, która mieszkała po przeciwnej stronie ulicy. Znały się od dziecka, ale przyjaźni jakiejś nie było. Trochę zdziwiona Julcia zaprosiła ją do swego pokoiku. Chwilę siedziały głędząc o jakiś duperelach, aż wreszcie Zośka wydusiła o co chodzi. Sprawa polegała na tym, że w piątki Zośka razem z kumpelą chodziły do kawiarni „Karmel”. Z tego co mówiła wynikało, że można się tam nieźle ubawić, a do tego za frajer napić się wina, czy zjeść wypasione lody. Rzecz opierała

się na „głuchmanach”. Nieopodal kawiarni znajdowała się bowiem Spółdzielnia Inwalidów, której większość pracowników stanowili głuchoniemi. W piątkowe popołudnia, po pracy, gromadnie odwiedzali kawiarnię „Karmel”, która o tej porze roku miała otwarty ogródek na świeżym powietrzu przylegający do zakrzaczonego miejskiego skwerku. Inwalidzi przychodzili tu, żeby przy butelce odreagować kończący się tydzień. Był też inny powód, kto wie czy nie istotniejszy. Od kiedy głuchoniemi zaczęli bywać w kawiarni, zaczęły tu się pojawiać licealistki, a nawet smarkule z gimnazjum. Przychodziły po dwie, po trzy, zasiadały przy wiklinowych stolikach i swoim zachowaniem prowokowały głuchmanów do nawiązania bliższych kontaktów. Wśród chichotów i prześmiewek naciągały ich na parę lampek wina, lody czy co tam która chciała. Jeśli któraś dała się pod stolikiem potrzymać za kolanko, albo i wyżej, mogła liczyć na gratyfikację wyrażoną banknotem. Były i takie, które godziły się na spacer wśród krzaków pobliskiego skweru. Rzecz jasna cena była umowna, ale uznaniowo odpowiednio wyższa. Jednym słowem, w kawiarni „Kamel” wykształciło się coś jakby przedszkole kurestwa. I właśnie Zośka proponowała Juleczce, aby z nią poszła, bo jej przyjaciółka w ten akurat piątek nie będzie mogła. Julcia zgodziła się bez głębszego namysłu. Wprawdzie nie wszystko rozumiała, ale była po prostu ciekawa nowych wrażeń. Instynktownie jednak czuła, że lepiej o tym pani Werze nie mówić. Sprawę więc po prostu przemilczała.

- To jak, córeczko? Pooglądamy coś sobie dzisiaj? – pani Wera spojrzała w kierunku albumów.

- O, pani wie jak bardzo to lubię, ale wpadłam tylko na chwilę i już naprawdę muszę iść. – tu Juleczka wymownie spojrzała na zegarek. – Bardzo dziękuję za kawę. Jak mi się uda, zajdę do pani jutro. Będzie można? – Julcia podniosła się i wśród labiryntu mebli podążyła do wyjścia.

*

Dochodziła druga. Juleczka przyczajona w bramie przedwojennej kamienicy, wpatrywała się w podwójne wrota budynku Izby Rzemieśniczej

usytuowanego po drugiej stronie ulicy. Tam właśnie znajdował się zakład jubilerski, w którym pracował Adam. Nie musiała długo czekać. Chwilę po czternastej w drzwiach zaczęli pojawiać się ludzie, pracownicy różnych firm mieszczących się w budynku. Julcia patrzyła uważnie. - No, jest! O nie, znowu z tymi dwoma palantami! – Obserwowała jak szli niespiesznie podjazdem w kierunku chodnika ulicy. Miała nadzieję, że tu się pożegnają i rozejdą się w przeciwnie strony. Jednak nic z tego. Wszyscy trzej zgodnie skręcili w lewo i szli dalej o czymś rozmawiając. Stała jeszcze trochę patrząc za oddalającą się grupką. Stosując się do rad pani Wery postanowiła, że dzisiaj nie będzie wchodzić im w drogę. Ogarnęły ją jednak wątpliwości czy kiedykolwiek uda się spotkać chłopaka samego. No i pytanie: Co wtedy? Co dalej? Nie, nie rezygnowała. Na to była zbyt uparta.

Do spotkania z Zośką stała prawie godzina. Nie chciało jej się wracać do domu. Po krótkim namyśle Juleczka postanowiła zastosować swój wypróbowany sposób na zabijanie czasu. Poszła na pobliski przystanek komunikacji miejskiej i wsiadła do pierwszego autobusu, który się zatrzymał. Akurat wypadło trzydzieści pięć. Zastanawiała się przez chwilę czy ta liczba coś znaczy, czy ma jakieś drugie, magiczne znaczenie. Nic jej jednak nie przyszło do głowy. Były wolne miejsca, więc usiadła przy oknie. Końcowy z tej strony znajdował się na skraju podmiejskich lasów. Julcia przekalkulowała, że podróż do pętli zajmie jej jakieś dwadzieścia minut. Dziesięć minut postoju i powrotna podróż znowu dwadzieścia minut. W sumie godzina. I o to właśnie chodziło.

Do ogródka kawiarni „Kamel” prowadziło w dół kilka płaskich schodków. Kiedy Julcia je pokonała, zatrzymała się lustrując otoczenie w poszukiwaniu Zośki. Szybko ją spostrzegła. Tamta siedziała samotnie pod przekrzywionym parasolem przy dość odległym stoliku. Julcia pomachała dłonią i ruszyła w tamtym kierunku. Idąc, rozglądała się uważniej po otoczeniu. Ogródek zajmował sporą przestrzeń, a stoliki rozstawione były dosyć luźno. Ludzi nie było specjalnie dużo, ale Julcia zauważyła trochę dziewczyn, które siedziały po dwie, trzy w różnych miejscach ogródka. A głuchonimi...? O ile mogła zauważyć, też byli. Szła w kierunku Zośki i widziała tu i ówdzie gestykujących mężczyzn. Wiedziała, że to język migowy.

- Cześć Zośka. – powiedziała siadając obok koleżanki.

- Szacun, szacun. Ale się odstawiaś. – Zośka z nieklamany uznaniem taksowała ją wzrokiem.

- E tam. Nie przesadzaj. – siedząc już, Juleczka stwierdziła, że Zośka zajęła doskonale strategicznie miejsce. Stolik znajdował się na obrzeżu ogródka i przylegał do zarośli, które porastały sąsiadujący skwer. Same pozostając skryte w cieniu miały świetny widok na całą przestrzeń kawiarni.

- No i co? Którzy to głuchmani? – spytała Julcia dokonując wstępnych obserwacji.

- Popatrz chwilę, a sama załapiesz. Wiesz, oni gadają rękoma. O, popatrz na tamtych dwóch po prawej. I tam, zaraz za nimi. Porozglądaj się, jest ich więcej. – Zośka mentorskim tonem stałej bywalczynie oświecała koleżankę. Julcia idąc za jej wskazówkami uważnie lustrowała otoczenie.

- Zośka, a tamci...tam. To chyba niewidomi? – zapytała przyciszonym głosem.

- A tak, czasem trafia się kilku ślepowronów. Ja myślę, że oni tak zupełnie ślepi nie są. Chyba po prostu niedowidzą. Ale co tam, zdarza się, że przychodzi jakiś bez ręki, albo garbaty. Mówię ci, jaja. – Zośka rzeczowo udzielała wyjaśnień. Juleczka rozsiadła się wygodniej i teraz na spokojnie obserwowała mężczyzn i dziewczyny przy stolikach. Rzeczywiście, głuchoniemych łatwo było rozpoznać. Rozmawiali przy pomocy rąk i dłoni. Ale w zasadzie brało w tym udział całe ciało. Ramiona, głowa, tułów. Robili też różne miny, które być może miały podkreślać treść wypowiedzi. Prawdopodobnie robili to bezwiednie, odruchowo. Julci wydało się to wszystko jakieś nierealne i trochę groteskowe. Kilku głuchmanów siedziało już z dziewczynami, które przeważnie chichotały głupawo. Zauważyła nawet, że niektóre przyswoiły sobie podstawy języka migowego, bo wprawdzie nieporadnie, ale też dawały jakieś znaki rękoma. Pomyślała, że musiały tu być od dawna. Jednocześnie poczuła się jakoś głupio i zaczęła żałować, że tu w ogóle przyszła. – Ta Zośka ma pomysły! – Opuścił ją nastrój rozbawienia i nie podzielała dobrego humoru i podekscytowania koleżanki. Zaczęła raczej odczuwać coś w rodzaju zażenowania. Właśnie się szykowała do wygłoszenia krytycznego komentarza, gdy poczuła że Zośka kopie ją pod stołem i pokazuje coś kiwając głową. – O rany! – W ich kierunku szli dwaj mężczyźni, a sądząc z gestykulacji, byli to głuchoniemi. Juleczka zdrętwiała i szukając ratunku spojrzała na Zośkę.

- Spoko. Co się tak denerwujesz? Przecież to tylko głuchmani. – kpiąco powiedziała Zośka i przybrała kokieteryjną pozę. Tymczasem mężczyźni zatrzymali się przy ich stoliku. Zaprzestali już rozmowy między sobą i bardziej zrozumiałymi dla dziewcząt gestami dali znać, że chcą się przysiąść.

- Ależ proszę chłopcy, proszę. – powiedziała Zośka z zachęcającym uśmiechem i zapraszającym gestem dłoni wskazała wolne krzesła. Następnie zwróciła się do Juleczki:

- Możesz przy nich głośno mówić, ale trochę uważaj. Niektórzy z nich jakby nieco słyszą, a wielu potrafi czytać z ruchu warg, więc się odwracaj do nich bokiem jak mówisz. A zresztą, to wszystko jedno. Ich się nie da obrazić.

Głuchmani już się rozsiedli i z lekko zażenowanymi uśmiechami przyglądali się dziewczynom. Byli do siebie dziwnie podobni i Julcia pomyślała, że może są braćmi. Oceniała, że mają po trzydzieści kilka lat. A może czterdzieści? Miała problem z oceną wieku mężczyzn, których uważała za starych. Tymczasem jeden z głuchoniemych gestami przywołał kelnerkę. Trochę trwało zanim złożono zamówienie i w rezultacie przed Zośką i głuchmanami stały pękate kieliszki z czerwonym winem. Juleczka nie lubiła wytrawnego wina. Było cierpkie i kwaśne. Przez chwilę kusiło ją, żeby zamówić kieliszek wiśniówki. Czasem pani Wera ją częstowała do kawy małym kieliszeczkim tego trunku. Teraz jednak zrezygnowała i poprosiła o lody. Jeden z głuchmanów płacił kelnerce, a potem ręce z portfelem przesunął na środek stołu w kierunku dziewcząt i kciukiem przetasował okazały plik banknotów. Ta demonstracja najpierw zmroziła Juleczkę, a potem poczuła jak zalewa ją fala wściekłości.

- Co ten kutas wyprawia?! Zośka! Co on mi tutaj! – swoją złość przeniosła na koleżankę.

- Uspokój się. Nie bądź głupia. I co z tego, że pokazał nam kasę? Masz się czym przejmować. Też mi coś. Przynajmniej wiemy na co ich stać. A poza tym, to już jakaś propozycja. – Zośka starała się spacyfikować Julcię.

- Propozycja?! Jaka propozycja?! Czyś ty ociptała?! – piekliła się nadal Julcia.

- Czekaaj, czekaaj. Zaraz przejdą do konkretów. Reszta zależy od ciebie i jak chcesz załapać parę zetów, możesz dać się potrzytać za kolanko. – cierpliwie tłumaczyła Zośka.

- O nie! Ja się nie piszę. W ogóle to wszystko mi się nie podoba. Popatrz na nich. Dwa stare dziady. I tacy jacyś obleśni... Mogłaś mnie uprzedzić. – już spokojniej mówiła Juleczka.

- Przecież mówiłam ci o co chodzi. Zresztą, nie musisz nic robić. Jak trochę poszczerysz zęby, to ci postawią wino, czy co tam będziesz chciała. – Zośka zaczynała się niecierpliwic.

- Myślałam, że będzie jakaś zabawa, że się pośmiejemy. A tu jakieś beznadziejne ponuractwo. I ci faceci... A idź ty. – Julcia była wyraźnie rozczarowana.

Podczas gdy dziewczęta prowadziły rozmowę, mężczyźni popatrywali na nie i także po swojemu wymieniali poglądy. Szybkie, umowne gesty były dla pańienek zupełnie niezrozumiałe. Gestykulując wydawali niekontrolowane, nieartykułowane dźwięki. Jakieś chrząknięcia, zdławione jęki. Juleczce wydawało się to szczególnie obrzydliwe. – Zwierzęce. – pomyślała. W pewnej chwili głuchman, który siedział naprzeciwko niej, zaczął dawać jej jakieś znaki. Coś pokazywał rękoma i wykonywał gesty głową. Jednocześnie poklepywał się po kieszeni, do której schował portfel. Dziewczyna siedziała zbita z tropu i usiłowała zrozumieć o co mu chodzi.

- Zośka. Czego ten przygłup chce? O co mu chodzi? – zwróciła się do koleżanki po pomoc. Zośka, która też przyglądała się gestom mężczyzny, odparła:

- O, zdaje się, że cię zaprasza na spacer po skwerku. Za kasę. Hi, hi! Zobacz, klepie się po portfelu i głową pokazuje przejście. No i co zrobisz?

- W życiu! A niech się wali! - Julcia poczerwieniała z oburzenia i odsuwając napoczęte lody, demonstracyjnie zwróciła głowę w inną stronę. – Wiesz Zośka, ja mam dosyć tych typów. Nie wiem jak ty, ale ja się zbieram. W ogóle żałuję, że tu z tobą przylazłam. – powiedziała jeszcze rozzłoszczona. Ale zanim zdążyła się podnieść, poczuła jak noga głuchmana zaczyna się ocierać o jej nogę. - O nie, tego już za wiele! – z całej siły, na oślep wymierzyła kopniaka i gwałtowniej niż chciała zerwała się od stolika. Nawet Zośce nie powiedziała cześć. Nie oglądając się za

siebie, szybkim krokiem przemierzyła kawiarnię i wyszła na ulicę. Tu zwolniła i idąc wśród ludzi chodnikiem nieco ochłonęła, ale nadal była zła na Zośkę, a także na siebie. Była rozczarowana, a do tego odczuwała jakiś dziwny niesmak. Postanowiła, że nigdy, przenigdy nie da się Zośce zrobić w podobną sytuację.

*

Juleczka siedziała przed lustrem toaletki. Kończyła właśnie makijaż. Idąc za radami pani Wery starała się żeby był delikatniejszy, bardziej dyskretny. Ale i tak, powodowana nawykiem, trochę przesadziła. Przyglądała się uważnie odbiciu w lusterku i uznała, że jest w porzo. Zaczęła wrzucać kosmetyczne akcesoria do pudełeczek i szufladek. Za godzinę miała się spotkać z Zośką. Pamięć o głuchmanach mocno przybladła i Zośka zdołała ją namówić na kolejną wyprawę. Tym razem miało być super, ekstra i w ogóle zajebiście. Przynajmniej tak mówiła Zośka. Była przy tym tak żarliwa i przekonująca, że po początkowych oporach Julcia zgodziła się jej towarzyszyć. Tym razem wybierały się do kawiarni „Modi”, która mieściła się w piwnicach pałacowego budynku. Była ulubionym lokalem wszelakiej maści artystów. Przychodzili tam aktorzy, malarze, muzycy, dziennikarze i w ogóle ludzie związani z kulturą i sztuką. W wyobrażeniach Juleczki, ludzie bardzo ciekawi. Pomyślała też, że nie zna żadnego artysty. Po namyśle wprowadziła korektę. – Jak to nie zna? A pani Wera? Była przecież aktorką. – Szykując się do wyjścia Julcia odczuwała lekkie zdenerwowanie. Coś jakby tremę. Ale Zośka, która już tam parę razy była, tyle jej opowiadała...

K O N I E C

F E T Y S Z

Na osiedlowym ryneczku panował poranny ruch. Malina mijał rząd wiejskich babinek, które stojąc, albo przysiadając na małych stołeczkach, eksponowały towary przywiezione ze wsi na sprzedaż. Jajka, prawdziwe mleko od krowy, owoce i warzywa, sery i wiele innych różności. Malina rozglądał się za owocami. Miał swój ulubiony stragan i właśnie zmierzał w tym kierunku. Dziewczyna, która tam sprzedawała była postawna i grubawa, o okrągłej, pełnej twarzy. Sympatyczna i zawsze wesola, co często się zdarza u osób tego typu postury i urody. Znali się, bo Malina niemal codziennie robił tu zakupy.

- Dzień dobry, pani Krysiu. Co dobrego? – Malina uśmiechnął się, bo wiedział, że dziewczyna odpowie mu szerokim, szczerym uśmiechem.

- Dzień dobry panu. Widzi pan, pięknie dzisiaj, to i żyć się chce. – jak zwykle ślicznie się uśmiechnęła. – Co dzisiaj? Śliwki?

- No tak. Węgierki. Niech mi pani zważy kilogram. – kiedy dziewczyna łądowała śliwki do foliowej torebki, Malina rozglądał się po straganie zastanawiając się, co by tu jeszcze. Krysia podała mu odważone śliwki.

- Słodziutkie, że palce lizać. Przekona się pan.

- O, przecież wiem. Od tygodnia je u pani kupuję. To jeszcze niech mi pani zważy... ze dwie czerwone papryki i cztery gruszki. – dziewczyna starannie wybrała cztery okazałe owoce, a potem dwie wielkie papryki.

- A winogrona jakie pyszne... - próbowała go zachęcić.

- No nie, na dzisiaj mi wystarczy. Może jutro. Dziękuję i do widzenia pani Krysiu. – już się odwracał do odejścia, gdy z boku usłyszał kobiecy głos.

- Hej, hej! Malina, gdzie tak uciekasz?

Malina odwrócił się i zobaczył przed sobą Wiktorię. Zdał sobie sprawę, że musiała stać za nim, gdy robił zakupy na straganie. Poznał ją od razu, mimo, że nie widzieli się całe lata. Niewiele się zmieniła. Zauważył jednak w jej postawie i wyrazie twarzy coś jakby dostojeństwo i niewątpliwą pewność siebie. Stała teraz z lekko przechyloną głową i nieco kpiącym uśmiechem.

- O ja cię! Wiktoria! Zawsze się zjawiasz jak spod ziemi. Skąd ty tutaj? – wewnątrz Malina był ucieszony z nieoczekiwanego spotkania, ale starał się tego nie okazywać za bardzo.

- Przypadkiem się tutaj zaplątałam, i widzę, że fajny rynek macie. A ty co, ciągle mieszkasz tam gdzie dawniej?

- Pewnie. Gdzie ja mógłbym się przenieść? Boleję wprawdzie głęboko nad zmianami, które tu gwałtownie zachodzą, ale tak jest wszędzie. Deweloperów i ich architektów posłałbym do wszystkich diabłów.

- O jej, jej. Ciągłe taki zaciekły? Uważaj, mój mąż jest deweloperem.

- Tak? Możesz mu pogratulować. A może tutaj też buduje? – Malina zminimalizował ładunek pogardy, która w zamyśle miała towarzyszyć jego wypowiedzi. W końcu nie chciał być niegrzeczny. Ruszyli wolno chodnikiem przed siebie. Szli bez jakiegoś konkretnego planu i kiedy znaleźli się na rogu zatrzymali się.

- A może wpadniesz do mnie na herbatę? – powiedział to bez namysłu, pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu.

- Malina, tak od razu ciagniesz mnie na chatę? Miej trochę przyzwoitości. Wiesz przecież, że jestem damą, mężatką, matką dzieciom i w zasadzie dziewczęce figle mam już za sobą. – Wiktoria pokpiwała sobie wyraźnie rozbawiona. Widząc zaś, że Malina trochę się zmieszał i jakby zaczerwienił, wybuchnęła śmiechem.

- No nie! Malina, ty się rumienisz! Ale się pruderyjny zrobiłeś, stary świntuchu. Po prostu cię nie poznaję. – wpatrywała się w niego wyzywająco roziskrzonymi śmiechem oczami. Poważniejąc dodała – A co do herbaty... to chętnie, ale nie dzisiaj. Przez jakiś czas będę w tej okolicy bywała. Widzę, że chodzisz po rynečku, więc mnie wypatruj. Kto wie? Może ci się poszczęści? Teraz muszę lecieć. Cześć, bywaj. – odwróciła się i weszła na przejście. Malina stał jeszcze chwilę i obserwował

jak idzie. Kiedy była już po drugiej stronie ulicy, odwróciła głowę i pomachała mu dłonią. Wsiadła do wypasionej terenówki zaparkowanej na chodniku. Płynnie wycofała na jezdnię i z piskiem opon ruszyła do przodu. Malina wiedział, że te popisy, to dla niego. Zawrócił i udał się w kierunku domu. Spotkanie z Wiktoria trochę go poruszyło. Idąc oddał się rozmyśleniom i postanowił codziennie zaglądać na rynek. Miał nadzieję, że go nie podpuszczała, chociaż do końca nie był pewien. Ale co tam, na rynek ma blisko, a i tak zwykle tam robi codzienne zakupy. Przy okazji może się porozglądać. Co mu szkodzi? Jednego był pewien. Chciał ją znowu zobaczyć. Dzisiejsze spotkanie było stanowczo za krótkie. O nic właściwie nie zapytał i niczego się nie dowiedział. Nawet nie zdążył dokładnie się jej przyjrzeć. Miał niejasne wrażenie, że zaskoczony, wypadł na niezbyt roztropnego głęba. Cóż, bywa. Obiecywał sobie, że jeśli rzeczywiście spotkają się znowu, wykaże się znacznie lepszym refleksem. Jednocześnie w jego głowie zaczęły się pojawiać pytania. – Po co mu to właściwie? Co chce osiągnąć? Na co liczy? A ona? O co chodzi Wiktorii? Jaki to ma sens? Po tylu latach? – Nawet nie próbował na nie odpowiadać. Wszystkie te wątpliwości spychał w jakiś odległy zakamarek mózgu mając nadzieję, że się rozplyną i znikną. A co ma być, to i tak będzie. Ta prosta filozofia życiowa nie od dziś towarzyszyła Malinie. Dzięki niej, nieustannie pakował się w jakieś karkołomne sytuacje i koszmarnie kłopoty. Taki był. Jego wyobrażenia nie sięgała dalej, niż do następnego dnia. Dalsza przyszłość w jakimś sensie, nie istniała dla Maliny. A może skrycie wierzył, że nie nastąpi?

*

Już ponad tydzień włóczył się Malina po rynečku zachowując wzmożoną czujność. Jak zwykle, robił zakupy. Ale teraz działał rutynowo i nie poświęcał większej uwagi towarom na straganach. Skupiał się na obserwacji ludzi. Uważnie taksował wzrokiem mijających go przechodniów, to znów wybiegał spojrzeniem daleko przed siebie. Oglądał się, zatrzymywał i obserwował drugą stronę ulicy. Za każdym razem przynajmniej dwukrotnie przemierzał chodnik od rogu do rogu. Przyglądał się uważnie zaparkowanym samochodom. Nie wiedział jakiej marki szuka,

ale utkwiała mu w pamięci ciemnozielona terenówka. Zachodził do małych, brudnawych sklepików i wychodził nie kupując niczego. Były dni, kiedy gnany jakimś nagłym impulsem, robił obchód ryneczku dwukrotnie. Rano, a potem jeszcze raz koło południa. Kilka razy wydało mu się, że widzi Wiktorię gdzieś daleko, wśród ludzi. Rzucał się w tamtą stronę, ale za każdym razem okazywało się, że uległ złudzeniu. I tak to leciało. Po miesiącu uznał, że zażartowała sobie z niego. Właściwie od początku brał pod uwagę taką możliwość, jednak coś kazało mu jej szukać. Teraz, ze spokojną rezygnacją, zaprzestał gorączkowego wypatrywania. Co najwyżej, kierowany świeżo nabytym nawykiem, rozglądał się uważnie wokół, ale reflektując się, zaraz przywoływał się do porządku. Znowu skierował swoją uwagę na zakupy, a myśli o Wiktorii gdzieś uleciały i zatarły się. Malina z zadowoleniem stwierdził, że całkowicie odzyskał równowagę ducha. Wkrótce jednak miało się okazać, że do czasu, do czasu...

*

Był wczesny wieczór i Malina postanowił, że wreszcie posprząta w domu. Bez przesady, bo do świąt było jeszcze daleko, ale podłogi domagały się umycia. Przebrał się w porozciągany dres i zabrał się na początek za zmiatanie. Potem nabrał wody do wiadra i dolał jakiegoś płynu. Z mopem w dłoniach zaczął przemierzać mieszkanie. Kiedy dotarł do przedpokoju rozległ się dzwonek domofonu. Nie podnosił słuchawki, tylko nacisnął przycisk odblokowujący drzwi. Roznosiciele ulotek czy listonosz, zawsze dzwonili do niego, bo jego guzik był pierwszy. Tym razem jednak usłyszał kroki na schodach. – O, zdaje się ktoś do mnie. – pomyślał. I rzeczywiście. Po chwili rozległ się dźwięk dzwonka. Malina otarł mokre dłonie o spodnie dresu i otworzył drzwi. Za progiem stała Wiktoria. Opanował zdziwienie szerzej otwierając drzwi i wpuszczając ją do środka. Chwilę się wahała, po czym weszła.

- Cześć Malina. – powiedziała po prostu.

- Cześć, cześć. Komornika bym się spodziewał, proboszcza, świadków Jehowy, ale ty? Skąd tutaj? No, chodź dalej. – Malina słowami usiłował zamazać lekkie zmieszanie. Jednocześnie zauważył, że Wiktoria jest w szykownej bluzeczce bez rękawków w kolorze kadmowej czerwieni. W taką pogodę? Natychmiast też stwierdził, że musi być po paru głębszych.

- Nie, nie będę ci się pakowała na mokrą podłogę. Ale z ciebie czyścioszek. No, no... Ja tylko na moment. Jestem na imieninach u Irenki. Z mężem. Ha, ha... I właśnie wpadłam powiedzieć, że Irenka cię zaprasza. No już, zbieraj się. – Wiktoria oparła się o ścianę i w wyczekującej pozie założyła ręce na piersi.

Irenka była sąsiadką Maliny. Mieszkała za ścianą i znali się od dziecka. Teraz zaświtało mu w głowie, że kiedyś, przed laty, Wiktoria mówiła mu, że zna się z jego sąsiadką. Chyba poprzez siostrę? Czy jakoś tak.

- Jej, działasz z zaskoczenia. Ale dobrze, daj mi chwilę. – w głowie Maliny błyskawicznie układał się plan logistyczny. – Albo wiesz, zrobmy tak. Wracaj na imprezę, a ja najdalej za pół godziny się zjawię. Przecież widzisz, że muszę się trochę ogarnąć.

- No dobra. A tylko spróbuj nie przyjść... Pół godziny i ani minuty dłużej. Na razie. – powiedziawszy to, Wiktoria wyszła. Malina spokojnie udał się do łazienki, a potem się przebrał. Nie, zupełnie się nie stroił. To byłoby sprzeczne z jego światopoglądem. Po prostu włożył czystą koszulę i spodnie. Przez chwilę rozważał czy nie skoczyć do sklepu po jakąś butelkę. Jednak znając Irenkę, wiedział, że bufet jest obficie zaopatrzone, więc zrezygnował. Prezent miał. Wczoraj koleś z Gołdapi przywiózł mu cztery wędzone węgorze. Wyjął dwa z zamrażalnika, obwiązał wygrzebaną w kuchennej szufladzie wstążeczką, pogasił światła i udał się do sąsiedniej klatki.

Impreza była w fazie środkowej. Tak na wstępie ocenił Malina. Złożył życzenia solenizantce i wręczył prezent, który zrobił niemałe wrażenie. Irenka chciała natychmiast wyłożyć ryby na stół, ale że były wprost z zamrażalnika, okazało się to niewykonalne. Grono gości nie było wielkie. Wiktoria z mężem i dwie kumple Irenki. Malinę usadzono na kanapie między nimi. Po prawej miał tłustawą Anielkę, po lewej Ilonkę w typie rozmarzonej nastolatki. Po przeciwnej stronie stołu siedziała Wiktoria z mężem i Irenka, która jako gospodyni ciągle była w ruchu. Towarzystwo było już po

paru butelkach, a pojawienie się Maliny wywołało wyraźne ożywienie. On sam, jako zupełnie trzeźwy, czuł się nieswojo wśród nawalonych gości. Rzecz jasna nie pozwolono mu dugo pozostawać w tym niewinnym stanie. Obecność nowego gościa zaktywizowała męża Wiktorii, Andrzeja, któremu przypadła rola podczaszego i teraz z gorliwością napełniał kieliszki. Nim minęła godzina, Malina zaczął znajdować z biesiadnikami wspólny język. Daleko mu jeszcze było do stanu jaki osiągnęli pozostali goście, ale porozumienie zostało nawiązane. Impreza toczyła się według utartych standardów. Przepijano, zakąszano, toczyły się głośnie rozmowy, żarty stawały się coraz mniej wybredne. U schyłku przyjęcia sytuacja przedstawiała się następująco: Andrzej, mąż Wiktorii, poczuł się zmęczony i zaległ gdzieś w czeluściach mieszkania Irenki. Malina, który był już w świetnej komitywie z Anielką i Iloną czuł się znakomicie. Z prawej strony wisiła na nim Anielka i obcałowywała mu ucho. Ilonka, z lewej, trzymając talerzyk pod jego brodą, karmiła go potrawką z ośmiornicy. Naprzeciwko, zajęte rozmową, siedziały Irenka z Wiktoria. Ta ostatnia, co jakiś czas, rzucała Malinie wściekłe spojrzenia. Zupełnie się tym nie przejmował, a nawet był mściwie z takiego stanu rzeczy zadowolony. Prawdę mówiąc, już się prawie zdecydował, że Ilonkę i Anielkę zabierze do siebie. Rozważał jeszcze, czy się zmieszczą we troje na łóżku, czy lepiej będzie rozłożyć kanapę. Obie opcje miały swoje zalety i wady. Odłożył więc decyzję na później.

Kopnięcie było naprawdę mocne. Niczego nie spodziewający się Malina, aż podskoczył i wydał nieartykułowany jęk. Pochylił się i zaczął rozmasowywać precyzyjnie trafioną goleń. Spojrzał wściekłe ponad stołem na Wiktoria, ale ta z niewinną miną, rozmawiała w najlepsze z Irenką.

- O nie! Czekaj, ty małpo! – pomyślał rozzłoszczony Malina. W pierwszej chwili miał chęć wylać jej na głowę napój, który stał przed nią w szklance. Opanował się jednak i powstrzymał swoje zapędy. Ale kopniak odniósł ten skutek, że wytrącił Malinę z szampańskiego nastroju, a i romansowe plany wydały mu się nagle głupie i bez sensu. Poczul się teraz zmęczony i zniechęcony. Z drugiej zaś strony nurtowały go pytania – Czego, do diabła, ona chce? Czy wyobraża sobie, że będzie się do niej zalecał? W końcu to, że przed laty byli razem, do niczego jej nie upoważnia, a jego w żaden sposób nie zobowiązuje. Poza tym mąż, dzieci i Bóg wie co jeszcze... Nie, nie, na takie komplikacje Malina zupełnie nie miał ochoty. Fakt, że jako dojrzała kobieta prezentowała się bardzo atrakcyjnie, jeszcze niczego nie przesądzała. Malina

nie był smarkaczem i mimo całej swojej niefrasobliwości, zdobywał się czasem na odruchy zdrowego rozsądku. Uznał w końcu, że najlepiej zrobi, jak pójdzie po prostu do domu i położy się spać. Sam. Wyłącznie sam. Tego już był pewien. Wyśpi się dobrze, a rano wszystkie wątpliwości rozwiążą się same. Była to ulubiona metoda Maliny na rozstrzygnięcie wszelkich niejasności i pytań. Najwyczejniej dawał im wolną rękę.

Na początek Malina spacyfikował swoje towarzyszy i powstał gramoląc się spomiędzy nich nieporadnie. Podziękował gospodyni za uroczy wieczór, skinął głową Wiktorii i eskortowany przez Irenkę udał się do wyjścia. Dotarłszy do domu, chwilę się pokrzątał i nie przesadzając z higieną walnął się do snu na kanapie. Kładąc się miał zamiar jeszcze to i owo przemyśleć, ale nic z tego nie wyszło, bo zasnął natychmiast.

*

Rano, do pogrążonego w półśnie Maliny, dotarł dźwięk domofonu.

- Jezu! Ulotki. – pomyślał i postanowił olać zjawisko. Ale po chwili domofon zapiczał powtórnie. Malina cierpliwie czekał, aż roznosiciel znajdzie sobie inną ofiarę. Ale gdzie tam. Domofon odezwał się znowu. Tym razem długo, a potem rytmicznie przerywanymi dźwiękami. No nie! Malina powstał z pieleszy i poszedł do przedpokoju. Podniósł słuchawkę i warknął – Kto?!

- Malina, ty gburze. No już, otwieraj. – to była Wiktorii. Zdziwiony Malina bezwiednie nacisnął przycisk. Kroki na schodach, a potem pukanie. Otworzył. Stała za progiem w tej swojej bluzeczce, ale na ramiona miała zarzucony rozpinany sweter. Wpuścił ją do środka i gestem dłoni zaprosił do pokoju.

- Siadaj gdzieś sobie. Obudziłaś mnie. Przepraszam za nieposłane wyro, ale właśnie wstałem. – mówiąc to Malina przykrył prowizorycznie kocem rozmemłaną pościel na kanapie. Wiktoria zasiadła na krześle przy stole.

- Na moment cię przepraszam. – Malina poszedł do łazienki. Zimną wodą przemył twarz i jako, że był w piżamie, nałożył szlafrok. Wrócił do pokoju z kompletną pustką w głowie. – Jezu, czego ona znowu chce? – usiadł na kanapie w pewnej odległości od porannego i zupełnie niespodziewanego gościa.

- No i co tam? Jak szlachetne zdrowie? – zagadnął na początek. – Zrobić jakąś herbatę czy kawę?

- Zdrowie jak najlepsze. Spaliśmy wszyscy u Irenki. Dzięki za kawę. Piłam już ze dwie. – Wiktoria odpowiedziała spokojnie patrząc na Malinę i ogarniając spojrzeniem pokój. Fakt, od lat tu nie była i teraz przyswajała zmiany, które tu zaszły. Siedzieli dłuższą chwilę w ciszy i pierwsza odezwała się Wiktoria.

- I co? Jakoś mnie na ryneczku specjalnie nie szukałeś.

- No co ty mówisz? Przez dobry miesiąc uważnie się za tobą rozglądałem. Bez skutku. Po prostu cię tam nie było. – Malina szczerze się obruszył. Przecież jej szukał i naprawdę chciał ją spotkać.

- Byłam Malina, byłam. Nawet cię dwa razy widziałam. No, ale w końcu to ty mnie miałeś znaleźć, nie ja ciebie. Nie chciałam odbierać ci szansy.

- Tak? Trudno mi to sobie wyobrazić. Ale skoro tak mówisz... - nie chciał się wdawać w jakieś zupełnie bezsensowne sprzeczki. Po co mu to? Owszem, Wiktoria siedząc zgrabnie na krześle, prezentowała się znakomicie, ale Malina spoglądając na nią, nie odczuwał większych emocji.

- No dobrze, już dobrze. Nie przyszłam do ciebie ot, tak sobie. Tak się jakoś złożyło, że po latach, pamiętam cię skurwielu jeden. Przyznam się, że początkowo chciałam się na tobie odegrać. Pragnęłam żebyś był wściekły, zawiedziony, nieszczęśliwy. Ale jednak nie... To już przeszło, minęło. Teraz wiesz, ha,ha... jestem kobieta dojrzałą, doświadczoną, a nie kompletnie durną i bezbronną piętnastolatką.

- Mów co chcesz, ale bezbronna to ty nigdy nie byłaś. Nawet jako kompletna gówniara zaskakiwałaś odjazdowymi pomysłami. Z tego co wiem, nie tylko mnie. – Malina specjalnie pozwolił sobie na tę zgryźliwość.

- Stop! Stop! Stop! Nie przyszedłam tu dla jakiś idiotycznych rozrachunków. Przyznasz jednak, że to ty mnie zostawiłeś dla jakiejś pindy, której przez litość dla ciebie, nawet nie chcę wspominać. Ale już koniec, koniec. A teraz posłuchaj mnie, ty zarozumiała baranie. Wcale mi nie było łatwo, ot, tak, jak gdyby nigdy nic, przyjść do ciebie. To, że jednak jestem, powinno ci dać do myślenia. Widzisz, bywam w tej okolicy, ponieważ mam tu dwa sklepy i pilnuję interesu. Pomyślałam sobie, że mogłabym czasem do ciebie wpadać. Ale zaczynam się wahać, bo jakiś nadęty jesteś... i nieprzystępny. Teraz już naprawdę nie wiem.

- E tam. Nie przesadzaj. Ja nieprzystępny? No wiesz... I nadęty? Nie wiem na jakiej podstawie opierasz swoje sądy, ale nic takiego nie ma miejsca. A wpadać zawsze możesz. Będzie mi miło. Nie przeczę, że masz swoje miejsce w mojej pamięci. Tak więc proszę, wpadaj kiedy zechcesz. – Malina zamyślił się i uznał, że należy dać jej numer telefonu. Zawsze lepiej wiedzieć kiedy się zjawi, bo mogłaby się wydarzyć jakaś niezręczność. – Może zapiszesz mój numer telefonu?

- Nie, nie trzeba. Nie musimy tego traktować tak oficjalnie. Będziesz, to będziesz, a jak nie, to trudno. – nagle się roześmiała – A, boisz się, że cię z jakąś dupcią przyłapię. No, to uważaj, uważaj... Mogę na chwilę do kuchni? – wstała i nie czekając na odpowiedź, wyszła. Malina był nieco oszołomiony i w sumie nie bardzo wiedział co o tym myśleć. Z kuchni dobiegały jakieś szelesty, a potem brzęknęły talerze na suszarce. – Co ona tam kombinuje? – pomyślał.

Weronika weszła z talerzem w rękę i postawiła go na stole. Nie siadała, tylko oparła się dłońmi o oparcie krzesła. Malina wyciągnął szyję i usiłował dojrzeć co jest na talerzu. Jakaś chusteczka? Ściereczka?

- Nie wypatruj tak, nie wypatruj. Sama ci powiem. Tu, na talerzu, masz prezent ode mnie. A właściwie pamiątkę. To moje majtki. Od wczoraj ich nie zmieniałam, więc intensywnie pachną cipą. Moją cipą. A teraz cześć. – odwróciła się i poszła sobie.

K O N I E C

I N T E R E S Y

Konrad zaparkował na chodniku przy delikatesach. Robił to już po raz drugi tego przedpołudnia. Szukał Igora, z którym łączyły go czasem wspólne interesy i właśnie miał pilną sprawę do niego. Nieopodal był pasaż, na którym rozpostarł parasole pub „Hortensja”. Igor często tam przesiadywał i Konrad miał nadzieję, że wreszcie się na niego natknie. Udał się w kierunku pasażu i mijając przejście dla pieszych odruchowo spojrzął w tamtą stronę. Z drugiej strony, na przejście, wkraczał Igor w towarzystwie osobnika, którego Konrad znał przelotnie. Była z nimi jeszcze jakaś kobieta, która wyraźnie nie nadążając, zostawała w tyle, a potem szybko drobiąc kroczkami, nadrabiała dystans. Konrad przystanął na skraju chodnika i oczekiwał ich nadejścia. Przyglądał się grupie dokonując wstępnej oceny sytuacji. Igor, górujący o dobrą głowę nad towarzyszem, gestykulował rękoma i z chmurną miną wypowiadał jakąś kwestię. Facecik, którego imienia Konrad nawet nie pamiętał, szedł z pokornie spuszczoną głową. Był wyraźnie zmarnowany, ale coś tam Igorowi odpowiadał. Kobieta, próbująca za nimi nadążyć też coś mówiła, podkreślając słowa gestykulacją. Konrad cierpliwie czekał, ale już widział, że na Igora dzisiaj liczyć raczej nie może. Kiedy grupka przemierzyła jezdnię, Igor zauważył stojącego Konrada i zostawiwszy swoje towarzystwo, podszedł do niego.

- Cześć. Co tak tu sterczysz? W straży miejskiej się zatrudniłeś, czy co?

- A cześć, cześć. Za tobą rozglądam się głąbie. Od rana cię szukam.

- Świetnie, chodź, postawisz nam piwo, a potem jestem do twojej dyspozycji. – tu Igor uśmiechnął się rozbrajająco, jak to on potrafił.

- A idźże do jasnej cholery. Po ilu piwach już jesteś? – Konrad niby naburmuszony ruszył za Igorem w stronę parasoli. Przy jednym ze stolików siedział już towarzysz Igora i kobieta, która z nimi przyszła.

Kiedy siadali, Igor dokonał pobieżnej prezentacji – Jasia chyba znasz? A to jest Tereska.

- Cześć. Wszyscy piwo? – rzucił w przestrzeń Konrad. Właściwie nie musiał pytać. Po całej trójce widać było trudy poprzedniej nocy. Zdecydowanie najgorzej prezentował się Jasio. Do tego był jakiś markotny. A chyba nawet więcej.

Kiedy kelnerka przyniosła piwo, a Konradowi espresso, Igor, upiwszy spory łyk, otarł dłonią usta i przemówił do Konrada. – Wiesz co ten dureń nawyprawiał? – mówiąc to, wskazał głową na wyraźnie podłamanego Jasia. Westchnął ciężko i ciągnął dalej. – To posłuchaj. Bardzo pouczające. Miał Jasio mieszkanie. Do wczoraj! Ha, ha, ha! Fajne dwa pokoiki. Kuchnia, łazienka. Wszystko jak trzeba. A do tego na Matejki, więc śródmieście. Wszędzie blisko. Wczoraj jednak diabeł mu scenariusz pisał. O świcie naszedł go Inżynier Prosty. No i tak się dzień zaczął. O dziewiątej rano byli już trochę uwaleni, a kasa niestety wyszła. Kredyty pozaciągane i jakby żadnych widoków. Szukając jakiegoś punktu zaczepienia, udali się do Pierelotkina. Wiesz, to ten malarz. Ma pracownię na Żelaznej i od kiedy się rozwiódł, to tam po prostu mieszka.

- Jezu, to jakaś dłuższa historia. – wtrącił Konrad, bo jakoś nie chciało mu się wysłuchiwać opowieści o perypetiach nawalonych facetów. Nudziło go to i miał nadzieję, że Igor taktownie się wycofa. Ale gdzie tam.

- Nie, nie! Słuchaj dalej. – Igor był nieustępliwy. – Pierelotkin przyjął ich bez gaci, tylko w podkoszulku. Okazał się gościnnie i powiedział, że właśnie wysłał kobietę do sklepu. No to zostali. Kobieta, jakaś przygodna znajomość Pierelotkina, obracała jeszcze ze trzy razy. Okazała się być nie tylko sprawnym kurierem, ale i hojnym fundatorem. – Było tak? Jasiu! Było? – tu Igor zwrócił się do przygaszonego kumpla. Jasiu tylko machnął ręką i odwrócił głowę.

- Pierelotkin zawsze miał odjazdowe pomysły, a i tym razem on był inicjatorem całej afery. Kiedy rozmowa zeszła na temat kłopotów finansowych, Pierelotkin na chwilę się zadumał, a potem oświadczył, że widziałby pewne rozwiązanie.

- Igor, weź ty się trochę streszczaj. – Konrad, widząc, że kumpel zaczyna się niebezpiecznie rozgadywać, zaczął tracić cierpliwość.

- A wypchaj się. Jak nie chcesz, to już nic nie powiem. – obruszył się Igor i zamilkł.

- No nie, nie obrażaj się. Tylko widzisz, trochę się spieszę. No, mów, mów. – Konrad próbował ułagodzić przyjaciela i uznał, że trudno, poświęci jeszcze kwadrans. Igor dłuższą chwilę pomilczał, a potem podjął przerwana opowieść.

- Pierelotkin wpadł na pomysł transakcji...hm...wiązanej.

- Wiązanej? Co by to miało znaczyć? – zainteresował się Konrad

- A wiesz, pewnie to już sobie wcześniej wymyślił, ale właśnie nadarzała się okazja, żeby zamiary wprowadzić w czyn. Znasz Pierelotkina... Lubi udawać ważniaka i znawcę przedmiotu w dowolnej dziedzinie. Szczególnie jak ma trochę we krwi. A jeśli w grę wchodzi jego własny interes, potrafi być naprawdę skuteczny. Gdy argumentuje, głos mu się robi niższy, słowa wymawia wolniej i z naciskiem, a do tego nadużywa zwrotu: „istotnie”, który niewiele znaczy, ale dobrze brzmi. W tym wypadku, chodziło o to, że wynajmował pracownię i miał spore zaległości w płatnościach. Jest to pracownia z zasobów miejskich, więc stosunkowo tania, ale mimo tego narobił sobie tyłów i zachodziła obawa, że lada dzień go wypieprzą.

- O ile wiem, to zawsze go w końcu wypieprzają. – wtrącił Konrad.

- Jasne, że wypieprzają. Taki już jego los. Tym razem pomysł, który wyłuszczył Jasiowi, polegał z grubsza na tym, że Jaś wynajmie komuś swoje mieszkanie i weźmie kasę za, powiedzmy, dwa lata z góry. Przez ten czas zamieszka w pracowni u Pierelotkina. Pracownia składa się z dwóch pomieszczeń, więc teoretycznie byłoby to możliwe. W zamian, Jasio zapłaciłby zaległości czynszowe, a potem partycypował w opłatach. Według Pierelotkina, to świetny interes dla Jasia, bo mimo pewnych kosztów, kasy zostałyby mu od cholery.

- Dobra, dobra. Założę się, że Pierelotkin planował, że tę kasę wspólnie przechlają. – Konrad spojrzał na Jasia, który skończył piwo i siedział ze spuszczoną głową.

- A jak! Okazało się, że Pierelotkin ma nie tylko gotowy plan, ale w zasadzie wszystko jest przygotowane. Wiesz, że jakiś czas temu, pracował na uczelni. Pozostały mu znajomości. Wśród kadry i studentów wyższych roczników. Poznał tam jakiegoś czarnego, który guzdrał się z dyplomem i poszukiwał jakiegoś mieszkania w centrum. Pierelotkin w zasadzie wszystko już z nim omówił z myślą o wynajęciu

swojej pracowni. Tyle tylko, że sam nie miałby gdzie się podziać. Jaś więc spadł mu jak z nieba.

- A, to już wszystko rozumiem i chyba nie trudno przewidzieć zakończenie. – Konrad znowu popatrzył na Jasia i odezwał się do niego – Co ty Jasiu? Nie wiesz, że z Pierelotkinem, to można się napić, ale wchodzić w jakieś układy, to już raczej nie? Szczególnie finansowe. – Jasio nadal milczał i spoglądał na ludzi przechodzących pasażem.

- I wyobraź sobie, ten baran – tu Igor kiwnął głową w stronę Jasia – poszedł na to. Fakt, był już niezłe nawalony, ale mimo wszystko... No i z marszu udali się do akademików szukać tego Bambo. Kiedy się wreszcie na niego natknęli, wszystko potoczyło się błyskawicznie. Pierelotkin całkowicie przejął inicjatywę, a jak mówiłem, improwizując, potrafi być niebywale skuteczny. Wpakowali Bambo do taksówki i pojechali oglądać mieszkanie Jasia. Było zupełnie przyzwoite, a jeszcze Pierelotkin zaczął je odpowiednio zachwalać, tak więc po piętnastu minutach Bambo był najzupełniej przekonany. Mały problem stanowiła Tereska, która pomieszkiwała u Jasia i właśnie kręciła się po mieszkaniu. Bambo uparł się, że mieszkanie wynajmie choćby natychmiast, ale razem z Tereską. Ba, był gotów za taki układ słono dopłacić. No i zaczęło się! Pierelotkin uznał, że to prawdziwe zrządzanie losu. Przeszedł sam siebie usiłując nakłonić Tereskę, żeby się zgodziła. Co on jej nie naobiecywał! Ale Tereska nie dała się złamać. Nie i nie! Z czarnym, nigdy! Taka rasistka.

- A czemuż to, Teresko? – Konrad zwrócił się do kobiety, która podobnie jak Jasio, siedziała dosyć ponura i milcząca. - Miałaś piękne i beztrudne życie. A czarni, cóż... też mają swoje zalety.

Tereska spojrzała na niego z niechęcią i powiedziała – Jak lubisz bambusów, to sam z nim sobie mieszkaj. On może lubić takich rosłych białasów.

- Koniec, końców, Bambo dał się przekonać, że Tereska w tej chwili nie może, ale niewykluczone, że za jakiś czas... a tak w ogóle, to będzie do niego wpadać. Rozpędzony Pierelotkin stwierdził zatem, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby transakcję przeprowadzili teraz, natychmiast. Sprawę komplikował nieco fakt, że Bambo chciał spisać formalną umowę, ale i tu Pierelotkin nie widział przeszkód. Dopiął całą aferę logistycznie, ustalając harmonogram poczynań. Kazał Jasiowi się

spakować. Stary, nie minęło pół godziny, a Jasio w dwóch walizkach i torbie miał swój dobytek, który miał mu służyć przez najbliższe osiemnaście miesięcy. Na taki bowiem okres, Bambo chciał wynająć mieszkanie. Potem udali się do pracowni Pierelotkina, żeby zostawić rzeczy Jasia. Tu wyłonił się nowy problem. Problem Tereski, która w tej sytuacji pozostałaby na lodzie. Jasio stanowczo zatem stwierdził, że przynajmniej na razie, Tereska z nim zamieszka. Pierelotkin zachwycony nie był, ale że już poczuł kasę, która była na wyciągnięcie ręki, po krótkim marudzeniu, zgodził się. – tu Igor zwrócił się do Jasia – Jak on to powiedział? Że ty dni parzyste, a on nieparzyste? Jakoś chyba tak, nie?

- Nie byłby to Pierelotkin. – skwitował Konrad.

- Jasne. Ale Tereska chyba nie dosłyszała, bo znowu by mogła protestować. Pozostała zatem kwestia umowy, no i co najistotniejsze, kasy. Ale Pierelotkin na wszystko był przygotowany. Pojechali taksówką do akademika prawników. Po drodze zatrzymali się przy jakimś sklepie i Pierelotkin posłał Bambo po flaszkę. Na miejscu pojechali windą na dziesiąte piętro i poszli do koleś Pierelotkina, który kończył prawo. Kończył je już trzeci rok z rzędu, ale to nie miało żadnego znaczenia. Koleś z wyraźnym zadowoleniem przyjął flaszkę i wysłuchał o co chodzi. W ciągu kwadransa stworzył elegancką, profesjonalną umowę najmu lokalu w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach. Stało na tym, że Bambo pójdzie do banku po kasę, a kiedy wróci, podpiszą umowę i sprawa będzie zakończona. Jeszcze Bambo nie zdążył zamknąć za sobą drzwi, a Pierelotkin z reflekssem krzyknął, żeby nie zapomniał o dwóch flaszkach. Tak przy okazji. Zaczęło się nerwowe oczekiwanie. Pierelotkin nie mógł usiedzieć w miejscu. Krążył, siadał, wstawał, podchodził do okna. Ale Bambo okazał się poważnym facetem. Minęło niewiele ponad pół godziny i oto był z powrotem. Jasio odebrał pokaźny plik banknotów, złożono podpisy i Bambo dostał klucze. Wszystko pod pijanym, ale mimo to, czujnym okiem Pierelotkina. I zobacz, było dopiero lekko po piątej i załatwione. Finito!

- Fakt, tempo imponujące. A do tego sukces. Wiesz, silna motywacja potrafi zdziałać cuda. A jeszcze kiedy stery dzierży Pierelotkin... - Konrad czuł się w obowiązku skomentować wydarzenia. Wiedział, że Igor tego oczekuje, a nie chciał go urazić.

- Czy sukces? Do tego momentu zapewne tak. Ale posłuchaj jak się to skończyło, a zobaczysz jak prosto i łatwo sukces przekuć na klęskę. Totalną. Popatrz tylko na Jasia. Widzisz jak wygląda? Tereska też ponura. Są, są powody.

- Chyba przeczuwam zakończenie. – wtrącił Konrad w nadziei, że przyspieszy narrację Igora.

- Tak, teraz to łatwo się domyślić. Szkoda, że im wczoraj nic mądrego do łbów nie przyszło. Bo wiesz, wszystko potoczyło się jakby rutynowo. Bambo, oprócz kasy, przyniósł dwie flaszki zadysponowane przez Pierelotkina. Rozpili je z prawnikiem, a potem już nieźle nawaleni, udali się w obchód ulubionych lokali. Dzisiaj nie sposób dokładnie odtworzyć ich trasę. Jasio totalnie nie pamięta nic. Pierelotkin zapewne też, ale w ogóle nie chce rozmawiać, bo jest maksymalnie wkurwiony. A Tereska urwała się wcześniej i poszła do jakiejś koleżanki. Można jedynie snuć przypuszczenia jak dalej przebiegał wieczór, a może i część nocy. Wiadomo, że ostro pili. Odezwała się w nich ułańska fantazja i jak to bywa przyplątały się jakieś panienki, kolesie. Dzisiaj Jasio ma w głowie kompletną kaszankę i migają mu jedynie wrywkowe, a i to czarno białe slajdy wspomnień.

- Igor, błagam, zakończ już tę epopeję, bo naprawdę muszę się zbierać. – tym razem Konrad wystąpił bardziej zdecydowanie. Wysłuchał już w życiu tylu podobnych historii, że nudziło go to śmiertelnie.

- Dobra. Jak sobie życzysz. Finał był taki, że Jasio ocknął się o świecie na podeście klatki schodowej, gdzie Pierelotkin ma pracownię. Jak się tu znalazł? Nie miał zielonego pojęcia. Było mu zimno jak cholera. Nic dziwnego. Nie miał na sobie kurtki, ani spodni. Butów też. Był w majtkach i koszulce z krótkimi rękawkami. Nie muszę dodawać, że wraz kurtką i spodniami poszła się jebać cała kasa. Bagatela, ponad dwadzieścia pięć tysięcy. Powłókł się na górę do Pierelotkina w pijanej nadziei, że jakimś cudem tam się wszystko znajdzie. Długo musiał dzwonić i łomotać. Wreszcie półprzytomny Pierelotkin otworzył i wpuścił go do środka. Na materacu pod oknem, w rozmemłanej pościeli, spała jakaś panienka. Pierelotkin znalazł gdzieś napoczętą butelkę i na początek wypili po pół szklanki. Kiedy mu wreszcie Jasio powiedział co się stało, Pierelotkin zdrętwiał, a potem chwiejnym krokiem zaczął przemierzać pracownię w poszukiwaniu ciuchów Jasia. Chuj z ciuchami, chodziło o zawartość. Kilkakrotnie przetrząsnął wszystkie możliwe zakamarki. Bezskutecznie.

Wynik negatywny. Sam też niewiele pamiętał i a już samej końcówki, zupełnie. A teraz się wkurwił naprawdę. Tyle starań i inwencji włożył w całą akcję i nagle diabli wszystko wzięli. Rozdarł się dziko na Jasia. Potem próbował wydobyć z jego pamięci jakieś fakty, które mogłyby ich naprowadzić na trop. Nic z tego. Luka, dziura, niepamięć. No i w końcu kazał Jasiowi zabierać walizy i wypierdalać. Ich umowę uznał za niebyłą. Ma więc Jasio problem. Ani kasy, ani dachu nad głową. Ot i widzisz. – Igor wpatrywał się w Konrada oczekując reakcji, czy jakiegoś komentarza.

Konrad powstał i już odchodząc nachylił się do ucha Igora i powiedział przyciszonym głosem – Wiesz Igor, chuj mnie to wszystko obchodzi.

K O N I E C

NA ZAKUPACH

Od jakiegoś czasu parkowanie w tym mieście stało się udręką. Tereska właśnie robiła drugi objazd całego kwartału ulic, żeby znaleźć miejsce na jednokierunkowej uliczce, przy której znajdował się Miejski Ośrodek Zdrowia. Tym razem miała więcej szczęścia. W samą porę dostrzegła wycofującego się Peugeota. Przystanęła czekając aż ruszy do przodu, a potem zajęła jego miejsce. Super, prawie naprzeciwko wejścia do budynku. Wysiadła i nie spiesząc się podażyła w tym kierunku. W środku skręciła ku schodom. Na pierwszym piętrze przyjmowali specjaliści i tam właśnie Teresa zmierzała. Nie była chora, ale potrzebna jej była recepta. Nie uśmiechała się jej wizyta u lekarza rodzinnego gdzie zawsze koczowało stadko emerytów. Musiałaby tam odpękać co najmniej godzinę, a prawdopodobnie dużo dłużej. Tutaj, w Miejskim Ośrodku, miała przyjaciółkę i już nieraz załatwiała podobne sprawy. W holu na piętrze minęła okienko rejestracji i weszła w jeden z korytarzy. Na krzeselkach pod ścianami siedziało kilkanaście osób. Zupełnie nie speszona tym widokiem nieco zwolniła kroku i podeszła do drzwi, na których była tabliczka z napisem: dr Jadwiga Lisiecka, kardiolog. Teraz odstawiła mały teatrzyk na potrzeby oczekujących pacjentów. Dłuższą chwilę kontemplowała szyldzik, popatrzyła na zegarek, po czym odwróciła się do oczekujących.

- Pozwolą państwo, że tylko o coś zapytam. – powiedziała przymilnym, przeproszającym tonem. Nikt jej nie odpowiedział, ale poczuła na sobie ciężar niechętnych, a nawet wrogich spojrzeń. Nic sobie z tego nie robiła. Zapukała do gabinetu i nie czekając na odpowiedź uchyliła drzwi wsuwając głowę w szczelinę. Jadźka siedziała za biurkiem w rozpiętym białym fartuchu. Na przeciwko niej jakiś pacjent. Teresce chodziło o to, żeby kumpela ją zobaczyła.

- Dzień dobry. Ja chciałam zapytać... - zaczęła Tereska.

- Proszę zaczekać na korytarzu. – przerwała Jadźka tonem nie znoszącym sprzeciwu. Tereska dostrzegła jednak błysk rozpoznania w oczach koleżanki. I o to chodziło. Tereska wycofała się na korytarz i zajęła jedno z wolnych krzesel. Nie minęło więcej jak pięć minut i z gabinetu wyszedł mężczyzna. Z krzesła ustawionego tuż przy drzwiach zerwała się kobieta, symbolicznie zapukała i weszła do środka.

Czekających dobiegła dosyć głośna wymiana zdań. Po chwili kobieta wyszła z obrażoną miną. Zatrzymała się przypatrując ludziom siedzącym na korytarzu.

- Pani doktor prosi Teresę Wasilewską. – powiedziała ponuro. Tereska podniosła się z krzesła i nie patrząc na boki przemknęła do gabinetu. Towarzyszył jej szmer oburzonych głosów, ale nikt nie odważył się zaprotestować bardziej zdecydowanie. No bo w końcu kto chciałby podpaść u pani doktor?

- Cześć Teresko. – powiedziała Jadźka, kiedy koleżanka zamknęła drzwi. Wyraźnie się odprężyła, co zaakcentowała szeroko się przeciągając. – Chyba się nie rozchorowałaś? – spytała z żartobliwą troską.

- Witaj, witaj. Ja chora? Żartujesz chyba. Nie, po prostu potrzebna mi recepta. Wiesz, taka jak poprzednio. U ciebie to załatwię od ręki, a tak musiałabym się Bóg wie gdzie szwendać. – Tereska rozsiadła się na krześle i założyła nogę na nogę.

- A, nie ma sprawy. Widzisz jak dobrze, że założyłam ci kartę? Teraz jak znalazł. No dobra, to opowiadaj. Co tam u ciebie? – pani doktor z rękoma założonymi za głowę, wyciągnęła się w obrotowym fotelu.

- Ech, nie ma o czym mówić. Przecież ty wszystko wiesz. Nie tak dawno się widziałyśmy i od tej pory nic szczególnego. A jak ty? Jak leci? – teraz z kolei Teresa przeszła do zwyczajowych pytań.

- Oj, też nic. Ale cieszę się, że wpadłaś. Przy okazji mogę chwilę odetchnąć. Już naprawdę mam dosyć. – z rezygnacją powiedziała Jadźka.

- Owszem, klienteli masz dużo. To tak zawsze? Czy to jakiś przypadek? – spytała niewinnie Tereska.

- Przypadek! No wiesz! Dzień w dzień taki kocioł, a bywa i lepiej. Mówię ci, nie wiem jak ja tu wytrzymałam przez te wszystkie lata. A teraz coraz gorzej. Mam tego po dziurki w nosie. Rzygać mi się chce. Głęboko w dupie mam tych wszystkich pacjentów, ich choroby i problemy, a muszę się z nimi użerać. Z uwagą wysłuchuję najrozmaitszych durnot, badam, wypisuję skierowania, recepty. Wyobrażasz sobie? Co za gówno! A ile nam wrednej, papierkowej roboty dowali. Czasem muszę brać do domu, bo się normalnie nie wyrabiam. Uwierzysz? Trzy razy w tygodniu zanurzam się w tej beznadziei. Dyżury w szpitalu, to zupełnie inna sprawa. Tam się jeszcze da

wytrzymać. Ale tutaj? Mogiła. Z rozkoszą posłałabym ich wszystkich do diabła. – Jadźka wygłosiła ten monolog przyciszonym głosem, ale pełnym skrywanej pasji.

- Co ty mówisz? Ale, po prostu masz chyba gorszy dzień. To się każdemu zdarza. A wiesz co? Chodźmy wieczorem na zakupy. Ja właściwie też muszę odreagować. Połazimy po jakiejś galerii i zobaczysz, na pewno poczujesz się lepiej. To zawsze pomaga. – zaproponowała zupełnie niespodziewanie Teresa.

- Zakupy? W galerii? Czy ja wiem... - bez większego entuzjazmu podjęła lekarka.

- Dobra, dobra. Nic nie mów. Postanowione. Po szóstej przyjadę po ciebie. – kategorię ucięła Tereska.

- W sumie może być. Nie mam właściwie jakiś pilnych potrzeb, ale chętnie z tobą połączę. A teraz czekaj. Jeszcze recepta. – Jadźka podniosła słuchawkę telefonu i wcisnęła czerwony guzik.

- Krysia? Bądź tak miła i przynieś mi kartę Teresy Wasilewskiej. Tak, teraz. Dzięki.

- No, w porządku. Zaraz będziesz miała tę swoją receptę. – zwróciła się do przyjaciółki.

*

Tereska rozglądając się pchała przed sobą duży wózek. Obok kroczyła Jadźka. Kobiety zaliczyły dopiero dział kosmetyczny, co trochę trwało, a teraz kierowały się w głąb hali. Lekarka nie po raz pierwszy robiła zakupy w towarzystwie przyjaciółki i dokładnie wiedziała, że ma przed sobą ze dwie godziny łązenia między regałami. Ona sama nie przepadała za tego rodzaju eskapadami. W wielkich galeriach bywała od wielkiego dzwonu, a codzienne zakupy robiła w osiedlowych sklepikach. Towarzyszyła Teresie ze spokojną rezygnacją. Nie podzielała jej zaaferowania i entuzjazmu. Pustym, niewidzącym wzrokiem obrzucała towary na półkach i potakiwała przyjaciółce nie bardzo rozumiejąc o co chodzi. Po prostu czasem rozpaczliwie potrzebowała towarzystwa drugiego człowieka, a wyprawa do galerii

stanowiła cenę, którą była gotowa zapłacić. Obie zbliżały się do pięćdziesiątki i z Teresą znały się od dziecka. Ta sama podstawówka, potem ogólniak. To wiąże ludzi na całe życie. W towarzystwie Tereski czuła się swobodnie i bez skrępowania mogła z nią rozmawiać na wszystkie tematy. Nawet takie, których nie poruszyłby z nikim innym. Teraz wystarczyło jej, że przyjaciółka była obok. Nie przeszkadzało jej, że Teresa była całkowicie pochłonięta wypatrywaniem promocji i innych wyjątkowych okazji. Pani doktor prawie nic nie kupowała. Ot, ledwie kilka drobiazgów, które wrzuciła do koszyka, a i to właściwie po to, aby sprawić przyjemność koleżance.

Zakupy z Tereską miały pewną osobliwość. Jadźka niemal zawsze musiała dopłacać do rachunku przyjaciółki, ta bowiem, nieodmiennie zostawiała kartę płatniczą w samochodzie, albo przy kasie okazywało się, że ma nie tę kartę co trzeba. Kiedy zaś płaciła gotówką, w portfelu było zazwyczaj za mało pieniędzy. Lekarka doskonale знаła tę słabość przyjaciółki i bez zmrużenia powieki dopłacała brakującą kwotę. Traktowała to z pobłażaniem, a nawet z pewnego rodzaju rozczuleniem. Tak, tak, kobiety mają różne dziwactwa. Fakt, Jadźka była znacznie zamożniejsza od Teresy. Tereska rzecz jasna wiedziała o tym, ale nie to stanowiło główny powód jej postępowania. Po prostu taką miała naturę i nacinając przyjaciółkę odczuwała coś w rodzaju zadowolenia. Od dawna na tej płaszczyźnie wytworzyło się między nimi jakieś milczące porozumienie. Teraz obserwując śmiało poczynania zakupowe Teresy, pani doktor była pewna, że przyjdzie jej dopłacać. Nic sobie z tego nie robiła i z pobłażliwym uśmiechem zerknęła na rosnący stos zakupów. Były tam różności, ponieważ Tereska nie pomijała żadnego działu i w każdym coś dla siebie wybierała. Widać było, że jest w swoim żywiole, a teksty, które wygłaszała w stronę przyjaciółki, dotyczyły niemal wyłącznie zakupów. Dla ludzi zajmujących się reklamą i marketingiem, była wzorem klienta. Dawła się łapać na wszystkie, nawet najprymitywniejsze sztuczki przez nich stosowane. Trzeba jednak dodać, że Tereska nie była ani naiwna, ani głupia. Z pełną świadomością przyjmowała i godziła się na reguły gry, które dyktowali spece od handlu. Widziała te wszystkie szalbierstwa, pół prawdy i pół oszustwa. Z rozbawieniem odnotowywała w pamięci psychologiczne chwytły i zagrywki. Jednak wkraczając w ten świat uludy, sama czuła się jego częścią i z masochistycznym zadowoleniem przyjmowała jego zasady. Taka była.

Jadźka, która była raczej świadkiem i sponsorem, a nie uczestnikiem zakupów, też miała swoje drobne przyjemności. Kradła. Och, to określenie jest być może zbyt

dosadne, bowiem proceder, który uprawiała pani doktor, był w istocie niewinny. Nosił jednak wszelkie symptomy kradzieży. Wędrując z Tereską wśród regałów odczuwała niepohamowaną chęć, żeby coś zwędzić. Były to drobiazgi, które można było łatwo i niepostrzeżenie ukryć. Najczęściej do niczego jej niepotrzebne. Uprawiając ten pewnego rodzaju sport, odczuwała niemałe emocje i to właśnie sprawiało jej jakąś przewrotną przyjemność. Sama nie bardzo wiedziała skąd to się u niej bierze, ale nawet nie próbowała na to pytanie odpowiedzieć. Teresie nic o swoich poczynaniach nie mówiła. Robiła to w tajemnicy przed nią, co stanowiło dodatkowe utrudnienie, ponieważ musiała uważać, żeby przyjaciółka nic nie spostrzegła. Dzisiaj Jadźka miała na sobie skórzaną kurtkę z dużymi, naszywanymi kieszeniami, do których łatwo było coś wsunąć. W prawej miała już paczuszkę małych gwoździków i flamaster. Do lewej przed chwilą wrzuciła batonik.

A Tereska.... Tereska też kradła. Robiła to jednak metodycznie i planowo. Nie kierowała się irracjonalnym odruchem, jak koleżanka. Jej działania były praktyczne, nastawione na użyteczność. Była też lepiej przygotowana. Obszerny płaszcz z przepastnymi kieszeniami. Spora torba na ramieniu z zamkiem błyskawicznym rozsuniętym do połowy. Jadźka rzecz jasna o niczym nie wiedziała i Tereska nie zamierzała jej wtajemniczać. Trochę się wstydziła tego co robi i obawiała się, że Jadźka będzie oburzona. Zacznie prawić jakieś morały, a tego Tereska sobie nie życzyła. Musiałaby się tłumaczyć, coś wymyślać. A co mogłaby powiedzieć? No co?

Kobiety przedelfilowały przez dział ze sprzętem elektronicznym, który się znajdował na samym końcu hali i skierowały w stronę kas. Teresa jeszcze się rozglądała, zwalniała kroku, jakby usiłowała sobie przypomnieć, co by tu jeszcze. Wózek, który pchała przed sobą był wypełniony, a i zakupów nieoficjalnych Tereska też trochę miała. Eleganckie mydełko Fa, dwie pary majtek, tubka kleju Super Glue, mały słoiczek kawy rozpuszczalnej Voseba, dwa długopisy i przezroczystą taśmę klejącą. Dostyc sprawiedliwie obdzielała poszczególne działy swoją uwagą. Toteż wśród eksponatów, które uzbierała, znalazła się torebeczka rodzyneków, majeranek, a już przy kasach zwinęła jeszcze Ibuprom.

Tereska zwyczajowo miała za mało środków na koncie i Jadźka pokryła część kosztów. Idąc z wózkiem na parking przyjaciółki postanowiły gdzieś przysiąść. Trafiły wreszcie na kawiarenkę i zamówiły espresso. Nie odmówiły sobie po kawałku

szarlotki. Obie uważały, że nie należy rezygnować z drobnych przyjemności, których w końcu nie ma za wiele. Siedziały przy stoliku odprężone i wyluzowane dłubiąc łyżeczkami w cieście.

- Nie wiem jak to działa na ciebie, ale mnie takie durne zakupy zawsze poprawiają nastrój. – odezwała się Tereska.

- Tak, coś w tym jest. Już samo łożenie po galerii sprawia, że człowiek o wszystkim zapomina. – odpowiedziała Jadźka.

- Właśnie, tyle jest towarów, tyle fajnych rzeczy, że chciałoby się mieć to wszystko. Ja doskonale wiem, że oni mają swoje sposoby, żeby takie wrażenie wywołać, ale mimo wszystko... - skwitowała Tereska.

- Wiem, ty trochę inaczej podchodzisz do zakupów niż ja. Jesteś w swoim żywiole. Ja jestem ostrożniejsza i skupiam się na tym, czego naprawdę potrzebuję. – powiedziała Jadźka i pomyślała o kompletnie zbędnych duperelach, które miała w kieszeniach. I nagle poczuła przemożną chęć, żeby pokazać je przyjaciółce.

- A teraz patrz. – powiedziała i z kieszeni kurtki wyjęła najpierw gwoźdźki i flamaster, a potem batonik. Ułożyła je na blacie stolika i popatrzyła wyzywająco na Teresę. Ta wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia i przez chwilę spoglądała to na Jadźkę, to na leżące przedmioty.

- Nie! Nie mów! Ty je... podwędziłaś?! Jezu! Po co ci te gówna?! – i Tereska zaczęła się śmiać. Jednocześnie z kieszeni i torby wyjmowała swoje zdobycze i układała po swojej stronie stolika. Tym razem osłupiała Jadźka.

- O Boże! Ty też?! – wydyszała w zadziwieniu. Przyjaciółki popatrzyły na siebie i wybuchnęły szczerym, niepohamowanym śmiechem. Śmiały się długo i serdecznie, aż dziewczyna za barem uniosła głowę i spojrzała w ich stronę.

K O N I E C

Z Ł O T O

Jadźka ubrana i gotowa do wyjścia podeszła jeszcze do kuchennego okna. Na zewnątrz było buro i szaro, jak to w marcu. Na szczęście nie padało. Było też chyba w miarę ciepło, bo na pobliskim boisku dzieciaki grały w piłkę. Odszukała wzrokiem swój samochód na przyblokowym parkingu. Brudnobiała Toyota Yaris stała na swoim zwykłym miejscu. Z ciężkim sercem ruszyła do drzwi wejściowych. Czekala ją dzisiaj podróż poza miasto. Niby niedaleko. Jakieś czterdzieści kilometrów, ale zawsze. Jadźka była kiepskim kierowcą. Najgorsze zaś było to, że najzwyczajniej bała się jeździć. W mieście miała obcykane dwie trasy. Do przychodni i do szpitala. Jeśli zdarzyło się, że musiała jechać gdzieś indziej, było to już dla niej duże wyzwanie. Za kierownicą siedziała spięta i sztywna. Miała słabą orientację przestrzenną i marne wycucie odległości. Prawdziwą zmorą było dla niej parkowanie, a manewr wyprzedzania przyprawiał ją niemal o palpacje. Poza tym mało jeździła. Właściwie tylko do pracy. Kiedy padał deszcz, a co nie daj Boże śnieg, szła na przystanek autobusowy. Perspektywa wyjazdu za miasto, na szosę, wprowadzała ją w stan podenerwowania, co może dziwić, bo w końcu jazda po szosie jest dużo prostsza niż w ruchu ulicznym. Ale Jadźka panicznie bała się tirów, które rozpanoszyły się na wszystkich drogach. Do tego droga, którą miała dzisiaj jechać, wiodła ku granicy państwa. Obustronny ruch wielkich ciężarówek był tu szczególnie nasilony.

Przed klatką zatrzymała się i czujnie badała pogodę. Gruba warstwa chmur, ale ciepło. No i nie padało. Ruszyła w stronę samochodu. Za wycieraczkę wetknięte były jakieś ulotki. Zdjęła płaszcz i ułożyła go na tylnym siedzeniu. Wyjęła ulotki i wsiadła do samochodu. Torbę rzuciła na siedzenie obok i zaczęła przeglądać reklamowe druczki. Nie, żeby ją to specjalnie interesowało, ale w ten sposób odwlekała uruchomienie silnika i dawała sobie czas na oswojenie się z miejscem za kierownicą. Niespiesznie przerzucała ulotki. Przy jednej zatrzymała się na dłużej. SZAFY PANCERNE, SEJFY, BEZPIECZNE SKRYTKI. Właśnie ta przykuła jej uwagę. Wreszcie złożyła wszystkie razem, „szafy pancerne” zostawiając na wierzchu i włożyła za osłonę przeciwsłoneczną.

Bez większych problemów dotarła do wylotu szosy, którą miała jechać. Nie na darmo poprzedniego wieczora dokładnie prześledziła trasę na planie miasta. Ale tu, jak się obawiała, królowały tiry. Wpasowała się jakoś za kolumnę tych potworów i spokojnie jechała. Nie jest przyjemnie prowadzić mając przed sobą taką ścianę. Trzeba cały czas kontrolować odległość, wpatrywać się w światła stopu przed sobą. Ale myśl o wyprzedzaniu nawet jej nie przeszła przez głowę. W końcu na trzydziestym kilometrze skręcała w lokalną, wąską szosę, gdzie ruch był minimalny. Co jakiś czas wyprzedzały ją rozpędzone giganty. Dreszcze jej przebiegały po plecach. – Jak oni mogą tak pędzić?! – oburzała się w duchu. Słyszała od znajomych, że wielu kierowców dużych ciężarówek wspomaga się amfetaminą. Żeby nie zasnąć. Nie wiedziała ile w tym prawdy, ale była gotowa uwierzyć we wszystko. Dla niej to byli szaleńcy, desperaci, po których można się spodziewać wszystkiego.

Jeszcze zanim dojechała do krzyżówki, w jej głowie pojawiło się słowo – Sejfy, sejfy... - A, to ta cholerna ulotka. – pomyślała. – Sejfy... - mimo tego zastanawiała się dalej. Sejfy właściwie znane jej były tylko z filmów. Takie skrytki w ścianie, najczęściej za obrazem, zamykane na skomplikowane szyfrowe zamki. Jakiś czas temu Jadźka myślała o czymś takim. Może nie o filmowym sejfie, ale jakiegoś rodzaju bezpiecznej skrytce. Przypadkowa ulotka ponownie uruchomiła te myśli. Tu należy wyjaśnić, że Jadźka była osobą zamożną. Jak przystało na kobietę majątną i wykształconą, pieniądze trzymała w banku i to na kilku kontach. Było jednak coś, co budziło w niej obawy i niepokój. Kiedy zmarli jej rodzice, Jadźka stała się jedyną spadkobierczynią. Odziedziczyła kawał ziemi, prawie osiem hektarów lasu, dwa mieszkania i sporo gotówki. Ale nie w tym leżał problem. Na krótko przed śmiercią, matka wręczyła jej tekturowe pudełko po butach, które po brzegi wypełnione było złotą biżuterią. Głównie pierścionki i obrączki. Trochę bransoletek, kolczyków, łańcuszków i kilka zegarków. Na oko, było tego ze dwa kilogramy, czyli mała fortuna. Matka Jadźki, pani Pelagia, gromadziła to przez długie lata. Za wschodnią granicą, w okolicach Grodna, mieszkała jej siostra, która na skutek różnych dziejowych perypetii została po tamtej stronie. Pani Pelagia odwiedzała siostrę dwa razy w roku, a przy okazji przywoziła złote precjoza, które tam były znacznie tańsze. No i uzbierało się. Jadźka jednak miała z tym kłopot. Nie bardzo wiedziała co z biżuterią zrobić. Odrzuciła myśl o spieniężeniu, bo po prostu nie potrzebowała pieniędzy. Pojawił się problem: gdzie to trzymać? Skrytka w banku? Nie, chciała mieć pudełko w zasięgu

ręki. Zaczęła od tego, że wymieniła w mieszkaniu drzwi wejściowe. Miała teraz antywłamaniowe z markowym, solidnym zamkiem. To ją trochę uspokoiło. Pudełko umieściła na dnie szafy pod jakimiś ciuchami. Potem przeniosła je do tapczanu. Następnie do szafki wiszącej w kuchni, a jeszcze później w różne inne miejsca. Rozważała nawet czy nie podzielić zawartości pudełka i w postaci mniejszych pakunków poutykać w mieszkaniu. Uznała to jednak za zbyt kłopotliwe. Wtedy właśnie zaczęła myśleć o czymś w rodzaju sejfu. Ulotka, którą dzisiaj znalazła, poruszyła jej wyobraźnię i sprawiła, że wróciła myślami do nurtującego ją problemu. Postanowiła, że zadzwoni. Przynajmniej się dowie, co mogą jej zaproponować. Tak, koniecznie musi zadzwonić.

Wreszcie dojechała do krzyżówki. Na szczęście skręcała w prawo, więc obeszło się bez problemów. Była teraz na lokalnej, wąskiej szosie, pełnej dziur i spękań. Nie jechała szybko, więc specjalnie jej to nie przeszkadzało. Była zadowolona, bo po horyzont nie widać było żadnego pojazdu. Taką jazdę Jadźka lubiła. Czuła się lekka i wolna. Zaczęła nawet cicho pogwizdywać. Jej szczęście nie trwało długo. Kiedy wjechała na najbliższe wzniesienie, zobaczyła przed sobą traktor i do tego z przyczepą. Wlec się za traktorem nie sposób. Nawet dla Jadźki było to nie do przyjęcia. Czekał ją manewr wyprzedzania. Zebrała się w sobie i podjechała bliżej pojazdu. Ostrożnie się wychylając zlustrowała szosę przed sobą. Po widnokrąg pusto. Włączyła kierunkowskaz i kilkakrotnie nacisnęła klakson. Traktorzysta był na tyle uprzejmy, że ustąpił jej trochę miejsca i Jadźka wprawdzie bez przeszkód, ale z duszą na ramieniu, wyprzedziła wehikuł. Znowu miała święty spokój, bo szosa przed nią była pusta. Odprężyła się i wróciła myślami do sejfu. – W ścianie? Chyba nie da rady. Za cienkie. W jakimś meblu? W biurku? Szafie? A może gdzieś w kuchni? Chyba mi ten majster coś poradzi? Przecież musi się na tym znać. – W oddali ukazały się zabudowania, drewniane wiejskie chałupy. Jadźka zwolniła nieco i ponownie skupiła się na prowadzeniu. Wkrótce minęła tabliczkę z nazwą miejscowości – KANIUKI – cel jej podróży. Stąd pochodzili jej dziadkowie. Tu urodzili się rodzice, którzy w młodości przenieśli się do miasta. Jadźka jako dziecko, kilka razy spędziła u dziadków wakacje. Jednak nie lubiła wsi i kiedy podrosła, stanowczo protestowała przeciwko takiemu spędzaniu lata. Teraz niewiele ją łączyło z miejscowością. Rodzice sprzedali domy i ziemię po dziadkach. Zostawili jednak łąki, które przylegały do rzeki i naturalną koleją rzeczy, Jadźka je odziedziczyła. Wiele

razy miejscowi zwracali się do niej z propozycją odkupienia tych gruntów. Zawsze odmawiała. Nie miała żadnych planów związanych z tą ziemią. Ani jej w głowie była budowa siedliska, czy jakiś turystyczny interes. Miała jednak silny instynkt posiadania i nie chciała się wyzbywać łąk. Pieniądzy miała nadmiar i jej stosunek do banknotów był pozbawiony emocji. Po prostu zawsze były. Natomiast dobra w postaci ziemi, mieszkań, czy pudełka wypełnionego złotem, wywoływały w niej znacznie żywsze uczucia. Materialna namacalność była dla niej istotą posiadania, a pieniądze, wprawdzie stwarzały możliwości, ale dla Jadźki były czymś w rodzaju symbolu. Skąpa nie była, ale jej potrzeby były wprost nikłe, wobec środków, które posiadała. Zupełnie nie odczuwała potrzeby imponowania otoczeniu. Nawet najbliższe przyjaciółki nie miały pojęcia o rzeczywistym stanie posiadania Jadźki.

Jadąc główną ulicą wioski napotykała miejscowych. Niektórzy jej się kłaniali. Odpowiadała skinieniem głowy lub uniesioną dłonią. Przy drewnianej chałupie w kolorze kobaltowego błękitu zwolniła i przez otwartą bramę wjechała na podwórze. Jeszcze zanim wysiadła z samochodu zobaczyła nadchodzącego od strony zabudowań gospodarczych mężczyznę. Rozpoznała w nim gospodarza, Wiktora. Był od niej starszy, ale pamiętała go jeszcze jako chłopaka z czasów wakacji u dziadków. Teraz łączyły ją z Wiktorem interesy. Chodziło o to, że ciągle nagabywana w sprawie sprzedania łąk w końcu zgodziła się je wydzierżawić i to Wiktorowi właśnie. Umowę, którą z nim zawarła, naszpikowała zastrzeżeniami i warunkami, ale jak dotąd Wiktor zachowywał się bez zarzutu. Co roku zatem przedłużała z nim umowę na rok następny. Właśnie przyszła pora rozliczenia za rok ubiegły i przedłużenia umowy. Wiktor jak zwykle przy takiej okazji nalegał, żeby Jadźka sprzedała łąki. Robił to jednak bez wiary, a raczej z przyzwyczajenia. Był jeszcze jeden powód, dla którego Jadźka chętnie tu przyjeżdżała. Od kiedy stała się posiadaczką tekturowego pudełka, starała się uzupełniać zbiory matki. Oł, jeszcze jedno dziwactwo. Nie chodziła po jubilerach, ale jeśli nadarzyła się jakaś okazja zakupu złotego pierścionka, robiła to bez namysłu. Znajomi wiedzieli o jej upodobaniach, toteż okazje zdarzały się często. Od kilku lat głównym dostawcą stała się żona Wiktora. Wieś Kaniuki leżała w pięćdziesięciokilometrowym pasie przygranicznym, gdzie wprowadzono obustronny ruch bezwizowy. Wala, żona Wiktora, jak i wielu miejscowych zaczęła z tego korzystać. Rzecz jasna nie w celach turystycznych, a czysto handlowych. Przywoziła głównie papierosy i wódkę, aż pewnego razu zgadały się z Jadźką. Od tej pory Wala

oprócz zwykłego towaru przywoziła złote pierścionki, obrączki i co tam jej w ręce wpadło. Wprawdzie obecna przebitka była znacznie gorsza od tej sprzed laty, ale Jadźce było to obojętne. Zawsze z wypiekami jechała na wezwanie Wali. Dzisiaj też, oprócz spraw, które miała do załatwienia z Wiktorem, spodziewała się dostawy ze strony jego żony.

- Dobrze że jesteś, Jadzia. – powiedział Wiktor na powitanie. Ubrany był jak to do roboty. Na nogach walonki, a na ramionach rozpięta watowana kurtka. Spod niej wyglądała koszulka z napisem UNIVERSITY OF BOSTON. Cóż, globalizacja jest bezlitosna.

- Witaj Wiktorze. – odpowiedziała stojąc przy samochodzie. Nie wkładała płaszcza. Zabrała tylko torebkę.

- Zachodź do środka. Pewnie coś zjesz. A i herbaty zrobię. – Wiktor zapraszająco wskazał ręką na drzwi wejściowe. Pokonując trzy stopnie Jadźka weszła do przedsiionka, a stamtąd przez otwarte drzwi do przyległego pokoju.

- Siadaj sobie wygodnie. Ja tylko umyję ręce i coś do jedzenia zrobię. – Wiktor zostawił gościa i znikł w innej części domu. Jadźka rozsiadła się na wersalce obok kładąc torebkę. Rozejrzała się po dobrze znanym jej wnętrzu. – Nic się nie zmieniło. – pomyślała. Nasłuchiwała chwilę. Nie słychać było głosu Wali, co ją zmartwiło, bo prawdę mówiąc cała ta umowa i pieniądze za dzierżawę mało ją obchodziły. Natomiast bardzo liczyła na nową dostawę złotych drobiazgów. – Może gdzieś wyszła? – zastanawiała się.

Wrócił Wiktor. Przebrał się i załatywało od niego jakąś wodą kolońską. Wniósł talerz z plastrami grubo pokrojonej szynki własnego wyrobu, sztucce i masło. Obracał jeszcze dwa razy. Z chlebem i talerzykami, a na koniec z herbatą i cukrem. Usiedli przy stole naprzeciwko siebie.

- A gdzie Walę poniosło? – spytała Jadźka smarując masłem kromkę chleba.

- Ona dzisiaj po drugiej stronie. Za granicą. Ha, ha... Nie ma teraz tygodnia, żeby się tam nie ciągała. Ale nie bój się. Towaru tobie zostawiła. Podjedźmy najpierw, a potem będziemy sprawy załatwiać. – Jedli więc i Jadźka słuchała pogadywania Wiktora. O tym kto umarł, kto się ożenił, kto się wyniósł do miasta. Większości ludzi,

o których była mowa, nie znała zupełnie, ale wierna ustalonemu rytuałowi, słuchała cierpliwie. Wreszcie Wiktor dopił herbatę i zebrał naczynia ze stołu. Wrócił z kuchni ze ściereczką i starannie uprzątnął zabłąkane okruchy. Potem otworzył drzwi szafy i z górnej półki wyjął tekturowe pudełko po butach. Jadźka znała je dobrze. Widywała je przy każdej wizycie. Należy dodać, że w identycznym przechowywała spuściznę po mamie. Swego czasu chciała nawet zakupić jakąś stosowną szkatułę, jednak tekturowe pudełko w zestawieniu z zawartością działało na nią rozczulająco.

Wiktor usiadł przy stole i zdjął sfatygowaną pokrywkę z pudełka. W środku można było zauważyć jakieś złożone we czworo dokumenty, legitymacje, banknoty i bliżej nieokreślone zawiniątka.

- Tu masz za arendę. – Wiktor położył przed nią rulonik banknotów ściśnięty recepturką. Za nią też wsunięta była karteczka z wypisaną wyraźnie kwotą. – Umowę masz? To dawaj, podpiszemy. – Jadźka sięgnęła do torebki i wyjęła złożone na pół arkusze papieru. Umowa była w dwóch egzemplarzach. Jeden z nich podsunęła Wiktorowi.

- Wszystko tak samo? To nie będę czytał. – powiedział wpatrując się w papier.

- Identycznie. Tylko daty inne. Na ostatniej stronie podpisz czytelnie. Na pozostałych może być parafka. – odpowiedziała podając mu długopis. Podpisał Wiktor, podpisała Jadźka i każde schowało swój egzemplarz. Wiktor ponownie wyszedł i wrócił z dwoma szklaneczkami i napoczętą butelką wódki.

- Musowo trzeba przypieczętować. – nalał Jadźce, ale odrobinę, która ledwie przykrywała dno, sobie zaś do pełna. Tręcili się szklaneczkami i wypili.

- Żeby za rok doczekać. – powiedział Wiktor ocierając usta wierzchem dłoni.

- Mówiłeś, że Wala coś dla mnie zostawiła... - pytająco spojrzała na Wiktora.

- No zobacz. Gdzie ja mam głowę. – zaczął wykladać z pudełka zawiniątka. Były to pieczołowicie zawinięte w kawałki papieru toaletowego obrączki i pierścionki. Jadźka rozłożyła je przed sobą i uważnie lustrowała.

- Dobra, biorę. Ile za to? – sięgnęła do torebki wyjmując portmonetkę.

- Tu masz wszystko wyliczone. – Wiktor podsunął jej kartkę z zapiskami. Jadźka spojrzała, odliczyła banknoty i przesunęła w stronę gospodarza.

- Powiedz Wali, że jak będzie coś miała, niech zadzwoni. Tylko jak już trochę uzbiera. Nie będę jechała po jedną czy dwie sztuki. – zaczęła pakować towar do torebki. Posiedzieli jeszcze chwilę i Jadźka podniosła się z krzesła.

- No dobra, Wiktor. Załatwiliśmy chyba wszystko i będę się zbierać. Jak się zrobi naprawdę ciepło, może wpadnę do was na dłużej. – rozejrzała się czy czegoś nie zapomniała i skierowała się do drzwi.

- A wpadaj, wpadaj kiedy zechcesz. Czekaj jeszcze. Wala coś dla ciebie przygotowała. – wyminął ją i udał się do kuchni. Wrócił po chwili z wypchaną reklamówką.

- Masz tutaj, na zdrowie. Wszystko nasze, swojskie. W sklepie takich wędlin nie dostaniesz. Zaniosę ci do samochodu, bo ciężkie. – puścił Jadźkę przodem i dreptał za nią do wyjścia. Ilekroć tu była, zawsze dostawała wiejskie wiktuały. A wędliny rzeczywiście były pyszne, więc z wdzięcznością przyjmowała dary.

Już na szosie w myślach podsumowała wizytę. Wszystko poszło jak zwykle, czyli jak trzeba. Najbardziej jednak cieszył ją fakt, że Wala nie zawiodła. Cóż, ryzykowała przemycając złoto, ale w końcu zarabiała na tym. Jadźka bardzo się przywiązała do tekturowego pudełka po mamie i była niemal szczęśliwa, kiedy dokładała nowo nabyte eksponaty. Znowu zaczęła rozmyślać o sejfie i poczuła nieodpartą chęć zatelefonowania do firmy z ulotki. Teraz, natychmiast. Nie chciała się zatrzymywać na wąskiej szosie, która nie miała pobocza, ale postanowiła, że jak wyjedzie na główną trasę, zatrzyma się na najbliższej stacji benzynowej. Tym razem na krzyżówce miała skręt w lewo i zanim odważyła się wykonać manewr, długo przepuszczała mknące tiry. Po kilku kilometrach natknęła się na stację. Tankować nie musiała, więc zaparkowała przed barem. Kusiło ją, żeby wypić kawę, ale dała sobie spokój. Sięgnęła za osłonę i wyciągnęła ulotki. „Szafy pancerne...” były na wierzchu. Wydobyła telefon z torebki i wystukała numer.

- Halo... słucham. – odezwał się męski głos.

- Dzień dobry. Trafiłam na państwa ulotkę. Państwo wykonujecie sejfy? Chciałam się dowiedzieć jak to wygląda... - sondażowo wypytywała Jadźka.

- Proszę pani, zrobimy wszystko, co tylko sobie pani winszuje. Jeśli jest pani poważnie zainteresowana, przyślę pracownika, który na miejscu oceni pani potrzeby i coś zaproponuje. No i poda przybliżone koszty. To jak? Umawiamy się? – mężczyzna był konkretny i zmierzał prosto do celu.

- Hmm... to może dzisiaj? Za... powiedzmy... dwie godziny. – podjęła decyzję Jadźka.

*

Zdecydowana większość ludzi nie lubi swojej pracy i z utęsknieniem wyczekuje na koniec tygodnia. W piątek po południu otwierają się przed nimi zupełnie nowe perspektywy. Wszystkich ogarnia złudne poczucie wolności i niezależności. Jadźka nie należała do wyjątków. O ile dyżury w szpitalu były do zniesienia, to praca w przychodni stanowiła dla niej prawdziwą katorgę. Beznadziejna, rutynowa robota nosząca cechy urzędowej biurokracji. Jak wszyscy niecierpliwie wyglądała weekendu. Z pewnością chciała oderwać się od nużącej codzienności, ale był też inny powód. Dla Jadźki prawdopodobnie ważniejszy. Od czasu kiedy stała się posiadaczką tekturowego pudełka, wprowadziła w życie pewien rytuał. Raz w tygodniu, w sobotę, dokonywała swoistej inwentaryzacji. Wczesnym popołudniem, zaraz po obiedzie, zasiadała do herbaty. Nie jakiejś poduchy na sznurku, ale starannie parzonej w czajniczku. Był to moment kiedy wyciszała się wewnątrz i przygotowywała psychicznie do czekającego ją zadania. Gdy uznała, że jest gotowa, sprzątała ze stołu w salonie wszystkie drobiazgi, które tam się zaplątały. Na stole rozścielała podwójnie złożony ciemnozielony koc. Potem z jednego ze swoich schowków wyjmowała teczkę z dokumentami i wreszcie najważniejsze, tekturowe pudełko od butów. Przysuwała bliżej stołu stojącą lampę i zaopatrzona w silne szkło powiększające, rozsiadała się na krześle. Mimo, że nieodparcie ciągnęło ją do pudełka i co chwila spoglądała w jego stronę, na początek sięgała po teczkę. Były w

niej własnościowe akty notarialne i wyciągi z kont bankowy. Pobieźnie przerzucała notarialne dokumenty i przechodziła do ostatnich wyciągów. Kolumny cyfr nie przemawiały do jej wyobraźni i nie wzbudzały żadnych emocji. Oczywiście doskonale wiedziała, że cyferki wyrażają konkretną wartość, która daje się przełożyć na pliki banknotów. Potem starannie składała papiery do teczki i odkładała ją na krzesło stojące obok. Jeszcze przez chwilę niemal masochistycznie przedłużała moment sięgnięcia po pudełko i wreszcie zdejmowała pokrywkę.

Dzisiaj Jadźka była szczególnie podekscytowana. Od kilku dni miała w domu najprawdziwszy sejf. Na razie był pusty, ale właśnie dzisiejszej soboty zamierzała go zagospodarować. Do tej pory jedynie przećwiczyła otwieranie i zamykanie urządzenia. W sumie było to bardzo proste, ale chciała mieć pewność, że sobie z tym radzi. Sejf był w pewien sposób zakamuflowany. Szafa, która wchodziła w skład regału, miała w środkowej części dwie wysokie szuflady umieszczone jedna nad drugą. Górną szufladę usunięto i zastąpiono stalowym prostopadłościanem na stałe zamocowanym w otworze. W istocie prostopadłościan był sejfem. Całość była zamaskowana przednią częścią usuniętej szuflady, tak więc z zewnątrz szafa nie zmieniła wyglądu. Do otwierania sejfu służył pilot, czterocyfrowy kod i kluczyk o skomplikowanym ząbkowaniu. Na początek należało użyć pilota. Naciśnięcie przycisku powodowało, że lico szuflady wysuwało się nieco do przodu, a następnie płynnym, obrotowym ruchem opadało na dół. Jednocześnie pilot wyłączał alarm. Odsłonięte drzwiczki sejfu zaopatrzone były w klawiaturę z cyframi i klawisze SELECT, ACCEPT i RESET. Teraz wprowadzało się czterocyfrowy kod i można było włożyć kluczyk do otworu zamka. Po dwukrotnym przekręceniu sejf stał otworem. W środku zapalało się światło ukazując stalową półkę dzielącą przestrzeń. Na górze wąsko, na dole znacznie szerzej. Wszystko zgodnie z zapotrzebowaniami Jadźki. Firma gwarantowała, że sejf w stu procentach chroni przed ogniem. Zaopatrzony był w termiczną warstwę żaroodporną, co gwarantowało, że dokumenty i banknoty nie ulegną zwęgleniu. Fakt, to cudo było bardzo kosztowne, ale na Jadźce nie zrobiło to większego wrażenia i czuła się uszczęśliwiona.

Dzisiaj, kiedy już przejrzała zawartość teczki, ułożyła na kocu pięć obrączek i trzy pierścionki, które przywiozła od Wali. Miały dołączyć do braci i sióstr z pudełka. Włączyła stojącą lampę i przy pomocy szkła powiększającego uważnie lustrowała przedmioty. Kiedy już się nasyciła, zdjęła pokrywkę z pudełka i postawiła je na

węższym boku powodując małą lawinę złotych wyrobów, które utworzyły bezładną stertę na stole. Kilka potoczyło się aż do krawędzi, a jeden zapewne by spadł, gdyby go Jadźka z reflekssem nie złapała.

Teraz zaczynało się najciekawsze. To na tę chwilę Jadźka wyczekiwała cały tydzień. Ze stosiku biżuterii brała na chybił trafił jakiś pierścionek, czy co jej tam w rękę wpadło i poddawała oględzinom. Niektórym nie poświęcała zbyt wiele uwagi i odkładała je na oddzielną kupkę. Inne oglądała dokładniej używając lupy. Były i takie, które przymierzała wkładając na serdeczny palec lewej ręki. Nabrała bowiem zwyczaju, że każdej soboty dokonywała wyboru pierścionka, który nosiła przez najbliższy tydzień. Zdawała sobie sprawę, że większość posiadanej przez nią biżuterii nie ma wartości artystycznej czy jubilerskiej. Oczka w pierścionkach były przeważnie barwionymi szkiełkami. Liczył się kruszec, z którego były zrobione. Jednak niektóre wyróżniały się elegancją formy czy misternym, wysmakowanym ornamentem. Te zazwyczaj miały prawdziwe kamienie, ale Jadźka nie znała się na tym zupełnie. Wśród całej tej bogatej kolekcji były trzy pierścienie i dwie pary kolczyków, które swoją klasą zdecydowanie dystansowały się od reszty. Na pierwszy rzut oka widać było, że prezentują zupełnie inną szkołę. Na pewno były stare. Może miały sto lat, a może dwieście? Jedne kolczyki wysadzone były malutkimi brylancikami. Tak się przynajmniej Jadźce wydawało. Pierścienie też miały oczka ze szlachetnych kamieni. Jeden z nich, ciemnoczerwony, wydawał się Jadźce rubinem. Nigdy nie próbowała dokonywać wyceny u jubilera, ale była przekonana, że akurat te egzemplarze mają dużą wartość. Kiedy przeglądając swoje zbiory trafiała na któryś z nich, poświęcała mu znacznie więcej czasu, by w końcu z ociąganiem odłożyć. Nie zdarzyło się, żeby je przeznaczyła do tygodniowego noszenia. Były na specjalnych prawach. Odkładając zlustrowane sztuki, segregowała je na oddzielne stosiki. Zasady podziału były zmienne i Jadźka kierowała się zazwyczaj chwilowym impulsem. Jednej soboty układała przedmioty według rodzaju. Osobna kupka z obrączkami, oddzielna z pierścionkami, a inna z kolczykami. Ponadto były jeszcze zegarki, łańcuszki i bransoletki. Innym razem kierowała się kolorem szkiełek i kamieni. Albo przychodziła jej fantazja, żeby układać je według wagi, którą określała na oko. Tworzyła wówczas trzy grupy: waga lekka, średnia i ciężka. Niekiedy zaś dokonywała podziału stosując kryteria estetyczne. Rzecz jasna kierowała się własnym gustem i upodobaniami. Taka zabawa trwała najdłużej, bo Jadźka wahała

się, zmieniała decyzje przekładając przedmioty z jednego stosiku na drugi. Trzy stare pierścienie i dwie pary kolczyków stanowiły coś w rodzaju ekstra klasy. Nie podlegały prawom ogólnej selekcji i Jadźka zawsze układała je oddzielnie. Dzisiaj miała wobec nich specjalny plan związany z przenosinami do sejfów. Postanowiła, że każdy z przedmiotów zaopatrzy w oddzielne etui. Znalazła trzy małe pudełeczka po biżuterii i jeszcze dwa po perfumach. Wszystkie jak trzeba, wykładane atłasem.

Minęły dobre trzy godziny zanim Jadźka poczuła się w pełni nasycona swoim Eldorado. Była już trochę znużona, ale przyjemnie zrelaksowana. Przeciągnęła się szeroko i zaczęła wkładać precjoza z powrotem do pudełka. Trochę to trwało, bo przy niektórych zatrzymywała się na dłużej. Wreszcie przykryła pudełko tekturową pokrywką i zajęła się pierwszą ligą. Poukładała pierścienie i kolczyki w małych pudełeczkach sprawdzając gdzie najlepiej pasują. W jednym przypadku dokonała zamiany miejsc i pozamykała wieczka. Potem udała się do kuchni po pilota i kluczyk od sejfów. Na razie trzymała je w szufladzie kuchennego stołu, ale była to wersja robocza. Odkładała na później podjęcie decyzji o stałym miejscu ich przechowywania. W pokoju ustawiła się naprzeciw szafy, pstryknęła pilotem, a ścianka szuflady posłusznie wykonała obrót. Podeszła bliżej i wystukała kod na klawiaturze. Potem dwukrotnie przekręciła kluczyk i otworzyła drzwiczki rozświetlonego wewnątrz sejfów. Teczkę z dokumentami i tekturowe pudełko ulokowała w dolnej, większej części. Na górnej półce ułożyła obok siebie pięć pudełeczek z najcenniejszymi egzemplarzami. Potem odszukała na regale album z fotografiami, przerzuciła kilka kart, aż trafiła na plik studolarówek. Umieściła je w sejfie obok pudełeczek. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu torebki. Odnalazła ją na kanapie. Rozsunęła zamek i wewnętrznej przegródki wyjęła stosik banknotów, które wczoraj pobrała z bankomatu. Złożyła je starannie i ulokowała w sejfie obok dolarów. Stała chwilę przyglądając się wnętrzu swego Sezamu. – Chyba wszystko. – mruknęła pod nosem. Zamknęła drzwiczki, dwukrotnie przekręciła kluczyk i wprowadziła kod zabezpieczający. Potem usiadła na kanapie i pstryknęła pilotem. Atrapa szuflady powędrowała na miejsce. Pstryknęła ponownie i deska posłusznie odjechała na dół. Naciskała przycisk raz za razem, a lico szuflady zmieniało położenie. Wreszcie znudziła ją ta zabawa. Odłożyła pilota i siedziała bez ruchu. Powoli ogarniał ją coraz większy smutek, a uczucie wewnętrznej pustki jeszcze go

potęgowało. Siedziała tak długo, aż za oknem zrobiło się ciemno. Odrętwiała i bezwolna nie myślała o niczym.

*

Już w łóżku, zanim zasnęła, pod jej powiekami przesuwały się korowody złotych pierścionków, obrączek, kolczyków...

K O N I E C

H A P P Y N E W Y E A R

W noworoczny poranek miasto było ciche i spokojne. Ulice wyludnione, ruch uliczny zamarł. Mrozu nie było, ale cienka warstwa śniegu, który spadł w nocy, pokrywała wszystko nieskazitelną bielą. W porannej ciszy słychać było jedynie krakanie wron, które obsiadły drzewa rosnące wzdłuż ulicy.

W obrotowych drzwiach hotelu ukazały się dwie postacie. Mężczyzna i kobieta. Nad jej głową fruwał czerwony balon uwiązany na żyłce, której koniec miała oplątaną wokół lewej dłoni. Zatrzymali się przed wejściem i rozglądając się chłonęli czysty, pełen świeżości widok. Coś do siebie mówili i obłoki pary unosiły się z ich ust. Wolno ruszyli w kierunku jezdni. Szli ostrożnie, bo miejscami pod śniegiem przyczaiły się tafle lodu. Przystanęli na chodniku, wymienili krótki pocałunek i rozeszli się w przeciwne strony. Kobieta ruszyła w lewo, pod górkę w kierunku ronda. Mężczyzna poszedł w dół, ku szerokiej arterii. Kiedy doszedł do przejścia, obejrzał się i zatrzymał na chwilę. Obserwował kobietę, która zbliżała się do wzniesienia ulicy. Jej sylwetka na tle białutkiego śniegu rysowała się ostro i wyraźnie. Wysoka, w ciemnozielonym płaszczu z grubego materiału, który sięgał poniżej kolan, prezentowała się elegancko. Długie, brązowe włosy rozsypywały się jej na plecach. Wielka futrzana czapa z jenota, którą miała głowie wydała mu się jednak zbyt afektowna. Jeden z końców białego szala, którym owinęła szyję fantazyjnie powiewał z tyłu. Do tego ten balon... Patrząc pomyślał, że w sumie jest w tym jakiś lekki powiew kurewstwa. Już się miał odwrócić, gdy spostrzegł, że kobieta gwałtownie rozkłada ramiona usiłując zachować równowagę, po czym ląduje jak długa na plecach wymachując komicznie nogami. Widok był nieco groteskowy, bo spadła jej czapka z jenota i poturlała się na bok. Balon jednak pozostał na uwięzi i niczym boja ratunkowa sygnalizował miejsce upadku. Zanim się poślizgnęła, na wzniesieniu ukazał się człowiek idący w jej stronę. Teraz, widząc co się dzieje, pospieszył z pomocą. Drobnymi kroczkami, aby uniknąć poślizgu, zmierzał w stronę kobiety. Zanim do niej dotarł zdołała przyjąć pozycję siedzącą i jak widział mężczyzna obserwujący całą scenę, zaśmiewała się w głos. Przypadkowy samarytanin ujął kobietę pod ramiona i pomógł jej wstać. Schylił się po futrzaną czapkę, a potem starannie otrzepywał jej płaszcz ze śniegu. Mówili coś i teraz oboje wybuchali śmiechem. Dłuższą chwilę stali rozmawiając, po czym

wybawiciel podał kobiecie ramię, które ochoczo ujęła i poszli na ukos do ronda. Mężczyzna przyglądający się zajściu uśmiechnął się do siebie. Nie poczuł najbliższego ukłucia zazdrości. Przeciwnie, odetchnął z ulgą i nie rozglądając się na boki ruszył ku przejściu. Dzisiaj nawet sygnalizatory pracowały na pół gwizdka mrugając żółtymi światłami.

*

Podczas upadku Kiciunia stłukła sobie biodro i trochę ją pobolevało. Jednak nie dawała po sobie nic poznać. Idąc pod rękę ze swoim wybawicielem zesłanym przez los, prowadziła beztroską rozmowę. Mężczyzna, a właściwie chłopak, był od niej młodszy o dobre dziesięć lat. Zupełnie to Kiciuni nie przeszkadzało i zanim minęli dwie przecznice, byli już w jak najlepszej komitywie. Obydwojgu krążyły jeszcze we krwi resztki alkoholu, a to zawsze ułatwia kontakty.

- No coś ty? Gdzie chcesz iść? Mamy przecież Nowy Rok, święto i o tej porze wszystko jest zamknięte. – ciągnęła dialog Kiciunia.

- Niby tak. Ale czekaj, czekaj, może coś wymyślimy. – chłopak najwyraźniej chciał przedłużyć sylwestrową zabawę.

- Tak mówisz? To się pospiesz, bo mnie jakoś nic nie przychodzi do głowy. Ale od razu zastrzegam: nie dam się zaciągnąć na żadną chatę.

- Ależ nic takiego nie miałem na myśli. – gorliwie zaprzeczył chłopak.

- Nie? Na pewno? To może szkoda... hi, hi, hi... Nie jestem pewna czy mi to pochlebia. - w Kiciuni odezwała się babska kokieteria.

- Oj, żartujesz sobie ze mnie. – mężczyzna udawał naburmuszonego.

- Ha, ha, ha... Ale z ciebie mimoza. Nawet jeśli żartuję, to co z tego? Mam być śmiertelnie poważna? To mi znacznie gorzej wychodzi. Jestem z natury wesoła i nic na to nie poradzę. No i jak? Wymyśliłeś coś? To musi być coś ekstra. Coś kompletnie odjazdowego. – Kiciunia z premedytacją prowokowała chłopaka.

- Odjazdowego? Jak to rozumieć? Masz coś konkretnego na myśli? – dopytywał się mężczyzna.

- Nie. Już mówiłam, że nie mam żadnego pomysłu. Zaproponuj coś. No...? – kobieta spojrzała wyczekująco.

- Hmm... Byłaby pewna możliwość, ale nie wiem czy ci się spodoba. – powiedział chłopak niepewnie.

- Dobrze, dobrze. Kombinuj. A co by to miało być? – dopytywała się.

- Czekaj, muszę się chwilę zastanowić. Bo wiesz, nie jest do końca pewne, czy to się uda. Chociaż... myślę, że powinno wyjść. – młody człowiek uśmiechnął się do siebie. – Ale byłyby jaja.

- Wyduś wreszcie. O co chodzi? – Kiciunia była wyraźnie zaintrygowana.

- Zaraz, spokojnie. Muszę jeszcze pomyśleć. – powiedział.

- Ale zrób to szybko, bo już widać mój dom. – przynagliła.

Dłuższą chwilę szli w milczeniu. Wreszcie chłopak spojrzał na nią i powiedział – No dobra. Chcesz się przejechać autobusem?

- Autobusem? Zwariowałeś? Dokąd? – Kiciunia wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

- Och, zaraz dokąd... Gdzie tylko zechcesz. – w jego głosie była chętność.

- Oj, coś wymyślasz. Jaki autobus? Z przystanku? – dociekała kobieta.

- Z jakiego znowu przystanku, dziewczyno? Autobus będzie zupełnie prywatny. Tylko nasz. – z naciskiem powiedział chłopak.

- Jak to, prywatny? – spytała.

- No, może nie do końca... ale przez jakiś czas. Taki niebieski autobus PKS. Stary, bajerancki ogórek. – wyjaśniał cierpliwie.

- Co ty pleciesz? Jaki ogórek? – Kiciunia była zupełnie zdezorientowana.

- Jezu! Nie pamiętasz? Jeszcze nie tak dawno jeździły stare Jelcze, autobusy. Mówiło się na nie „ogórek”, bo miały takie zaokrąglone kształty. – tłumaczył chłopak.

- Tak? Nie wiedziałam. No dobrze, pomysł mi się podoba. Tylko skąd my do cholery weźmiemy autobus? – w Kiciuni chęć przygody walczyła z wątpliwościami.

- Tym się nie musisz przejmować. To moja działka. Zatem jaka decyzja? – mężczyzna zatrzymał się i czekał na odpowiedź.

- Jasne, że chcę się przejechać, ale powiedz co się za tym kryje. Chcesz porwać ten autobus, czy jak? – dopytywała się kobieta.

- Chodź. Musimy zawrócić. Po drodze ci wszystko powiem. – obrócili się o sto osiemdziesiąt stopni i poszli w przeciwną stronę.

- Dokąd idziemy? Daleko? – Kiciunia była nieustępliwa.

- Kiciuniu, idziemy do zajezdni autobusowej. To niedaleko. Za rzeczką. Piętnaście minut spacerkiem. – wyjaśnił mężczyzna.

- Do zajezdni? To jednak planujesz porwanie? – powiedziała niepewnie.

- Nie będzie żadnego porwania. Ja tam pracuję. Po prostu... wypożyczę autobus. Takie zupełnie legalne to nie będzie, ale nie ma mowy o porwaniu. – uspokajał chłopak.

- Słuchaj Kuba. Jesteś Kuba, tak? No. Więc posłuchaj. Musisz mi obiecać, że to nie skończy się na komisariacie. Nie chcę mieć do czynienia z policją. Jasne? – popatrzyła na niego oczekując potwierdzenia.

- Daję ci na to uroczyste słowo honoru. Żadnej policji. – przytaknął gorliwie.

Szli teraz w dół ulicą, która prowadziła ku rzece. Po drodze mijali zapóźnionych balowiczów, a nawet rozbawione grupki powracające do domów z sylwestrowych zabaw. Czasem przemknęła taksówka. Niewiele mówili po drodze. Początkowy entuzjazm Kiciuni nieco przybladł i obudziły się w niej obawy i wątpliwości. Myślała nawet o tym, żeby wycofać się z nieoczekiwanej przygody. Z drugiej zaś strony, pociągała ją możliwość dalszej zabawy i podobał się jej chłopak, któremu jak widać nie brakowało fantazji. Sylwester spędzony w hotelowym pokoju nie wyczerpał zapasu sił witalnych Kiciuni i była gotowa na dalsze szaleństwa. Ta opcja w końcu zwyciężyła.

Mężczyzna natomiast, rozważał w duchu szanse na powodzenie całej akcji. Wiele zależało od tego, który z dyspozytorów ma dzisiaj dyżur i w jakim stanie jest jego zdrowie po nocy sylwestrowej spędzonej w zajezdni. Była wprawdzie możliwość zawładnięcia autobusem bez powiadamiania kogokolwiek, ale wolał tego uniknąć. Takie rozwiązanie niosło ze sobą ryzyko, że zostanie uruchomiony cały aparat ścigania i wiadomo jak by się to skończyło. Był jednak zdecydowany, bo nade wszystko nie chciał zawieść Kiciuni, która wydała mu się bardzo interesująca i nie miał zamiaru rozstawać się z nią w zwykły, banalny sposób.

Przeszli przez most i skierowali się ku równoległej ulicy, przy której znajdowała się zajezdnia. Zatrzymali się na skrzyżowaniu.

- Teraz Kiciuniu idź w prawo i czekaj na mnie za rogiem. Myślę, że to potrwa piętnaście, może dwadzieścia minut. Czekaj cierpliwie. Na pewno przyjadę. No, już. – tu Kuba cmoknął kobietę w czubek nosa i przecinając ukosem jezdnię, udał się do bramy zajezdni.

Kiciunia zgodnie z zaleceniem swego towarzysza poszła ulicą w prawo, po czym przystanęła za rogiem. Żeby nie zmarznąć zaczęła spacerować w tę i z powrotem. Dwukrotnie zaczepiali ją jacyś narąbani faceci. – No tak, muszę wyglądać jak typowa rogówka. Z balonem na wabia. – pomyślała. Minął już kwadrans, a Kuby nie było widać. Pomyślała, że odczeka pół godziny i pójdzie do domu. Robiła właśnie kolejny nawrót, gdy zza rogu z głośnym warkotem wyłonił się niebieski Jelcz. Za szybą obok kierowcy miał tablicę z napisem WYCIECZKA. Kiciunia z uciechy aż klepnęła się po udach. Autobus zatrzymał się przy niej. Był to klasyczny ogórek z przednimi drzwiami na jednej trzeciej długości. Drzwi oczywiście nie były pneumatyczne, tylko zamykane na klamkę. Kiedy już znalazła się w środku, mężczyzna przywołał ją ramieniem i wskazał miejsce po swojej prawej stronie. Kobieta rozsiadła się tam i ubawiona rozglądała się ciekawie dookoła. Rozdzielała ich teraz ciepła obudowa silnika o obłych kształtach. Ruszyli z miejsca. Warkot motoru był głośny jak cholera i rozmawiając musieli prawie krzyczeć.

- No i jak ci się podoba? Co? – wrzeszczał chłopak.

- Och, cudnie! – odkrzyknęła zachwycona Kiciunia.

- Dokąd sobie pani winszuje? – zapytał.

- Na razie przed siebie. Daj się nacieszyć. – odpowiedziała.

Pojechali prosto, a na rondzie skręcili w lewo. Jelcz z rykiem silnika mknął dziarsko przez miasto. Ruch na ulicach był minimalny, więc Kuba nie musiał specjalnie uważać.

- Kubuś! Może gdzieś kupimy szampana? – wykrzyczała Kiciunia.

- Sie robi, panienko. Grzejemy do Mandaryna. – U Mandaryna, tak się nazywał mały sklepik rodzinny, który był czynny zawsze. Święta państwowe czy kościelne nie robiły tu żadnej różnicy. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę córki właściciela, a i on sam z małżonką, obsługiwali liczną klientelę. Interes prosperował znakomicie. Bywało, że nocną porą ustawiały się długie kolejki.

Gdy zajechali pod sklep, na chodniku stało kilka samochodów, taksówki. Kuba zatrzymał autobus trochę bliżej, żeby nie tarasować wyjazdu.

- Idziesz ze mną, czy czekasz? – zwrócił się do kobiety.

- Przejdę się. Sama się będę nudziła. – odpowiedziała podnosząc się ze swego miejsca.

W niewielkim pomieszczeniu kłębiło się ze dwadzieścia osób. Gwar, głośne rozmowy i śmiechy, wszystko to świadczyło o kondycji zgromadzonych tu osób. W ten noworoczny poranek atmosfera była pełna wzajemnej życzliwości i zrozumienia. Zdecydowanie przeważali mężczyźni, ale było też kilka kobiet. Kiciunia i Kubuś popatrzyli na siebie, a potem spróbowali odnaleźć koniec kolejki co wcale nie było takie proste. Przyjęli w końcu strategiczną pozycję wpasowując się między ludzi. Kolejka postępowała szybko, bo zakupy były raczej jednorodne. Kiedy opuścili sklepik, Kuba dzierżył reklamówkę z dwoma butelkami musującego wina. Otwierał właśnie drzwi autobusu przed Kiciunią, gdy usłyszał jak ktoś do niego woła.

- Panie kierowco! W którą stronę pan jedzie? – w stronę ogórka zmierzał młody człowiek z uwieszoną u boku dziewczyną. Kuba zlustrował parę niezbyt przychylnym wzrokiem.

- W przeciwną, w przeciwną. – odpowiedział i już miał zatrasnąć drzwi za Kiciunią, gdy ta stojąc na stopniach, powiedziała – No nie bądź taki. Zabierzmy ich. Co nam

szkodzi? – Kuba zawahał się, a potem powiedział do młodych ludzi – Dobra. Wsiadajcie.

- Och, wielkie dzięki. – odpowiedział chłopak i wraz z dziewczyną podbiegli do drzwi, które Kubuś za nimi zatrzasnął. Poszedł do wejścia dla kierowcy, które było z drugiej strony. Kiciunia już siedziała na swoim miejscu. W autobusie było ciepło. Rozpięła płaszcz i zdjęła futrzaną czapkę. Młodzi usiedli za nią na podwójnym siedzeniu.

- Ja jestem Irek, a to Milutka. – chłopak skłaniając głowę, przedstawił siebie i towarzyszkę.

- Kiciunia. – odpowiedziała Kiciunia.

- Kuba. – powiedział Kuba. Zanim ruszyli, zapytał jeszcze. – To gdzie was zawieźć?

- Zasadniczo, to na Kolbego. A wy dokąd jedziecie? – młodzieniec szybko oswoił się z sytuacją.

- Dobra, podrzucę was. – powiedział Kubuś odpalając silnik. Kiciunia mocowała się z korkiem od szampana. Wystrzelił nagle i oblała się strugą piany. Śmiejąc się przytknęła butelkę do ust. Widząc to młodzieniec wyraźnie się ożywił.

- O, my też mamy co nieco. – sięgnął za pazuchę kurtki i wyjął butelkę wina. Zerwał celofan z szyjki i zaczął obmacywać kieszenie. – Cholera. Może macie korkociąg? – Kuba sięgnął do schowka i dłuższą chwilę w nim gmerał. Wreszcie wyciągnął scyzoryk, który był zaopatrzone w potrzebne narzędzie. Podał go przez ramię chłopakowi. Ten podjął walkę z korkiem, a kiedy butelka już była otwarta, wręczył ją Milutkiej. Potem sam przyssał się do szyjki. Chwilę siedział z błogim uśmiechem, a potem z butelką w wyciągniętej ręce skierował się ku Kiciuni.

- Machniom? – zapytał.

- Dawaj! Machniom! – z entuzjazmem podchwyciła. Przejęła butelkę z winem i podała chłopakowi szampana. Pociągnęła parę łyków i przekazała butelkę Kubusiowi.

- Jezu, przecież widzisz, że prowadzę. – przyjął jednak butelkę z winem i trzymał ją w prawej dłoni, a lewą dzierżył kierownicę. – Dobra, zaraz będzie tunel. – powiedział. I rzeczywiście. Wkrótce wjechali do tunelu. Kubuś trochę zwolnił i pociągnął zdrowo z

butelki. Oddał wino Kiciuni i jechali dalej. Minęli koszary i na skrzyżowaniu skręcili w prawo. Kilkadziesiąt metrów przed sobą zobaczyli przystanek pekaes. Stała tam grupka ludzi, którzy widząc autobus wyraźnie się ożywili i przyjęli wyczekujące pozy. Mijając ich Kuba wesoło naciskał klakson.

- Ale ty jesteś nieludzki! – oburzyła się Kiciunia. – Dlaczego ich nie zabrałeś?

- Nie jesteśmy autobusem rejsowym. Na tablicy jak byk stoi WYCIECZKA. Ponadto jesteśmy raczej wesołym autobusem i pasażerowie mogliby się zdziwić. – odparł bez troski Kubuś.

- E tam. Mógłbyś ich podwieźć. I tak jeździmy bez wyraźnego celu. – powiedziała.

- Tak? Naprawdę chcesz żebym ich zabrał? – upewniał się Kuba.

- No jasne. Przecież mówię. – Kiciunia trwała przy swoim.

- Dobra. Nawracamy. Ale pamiętaj, na twoją odpowiedzialność. – Kuba zwolnił i skręcił w najbliższą ulicę. Znowu przejechali obok koszar i skręcili ku przystankowi. Wśród oczekujących osób ponownie nastąpiło poruszenie. Tym razem autobus zatrzymał się na przystanku. Jako pierwsi wpakowali się dwaj jegomości w rozpiętych paltach, jakaś babina, a za nimi dwie dziewczyny i chłopak.

- Panie kierowco, jedzie pan na Żabiniec? – zapytał ten, który wszedł pierwszy.

- Zaraz, zaraz. A pani dokąd? – zwrócił się Kuba do babci.

- Ja panie do Trypola. – odpowiedziała babuleńka.

- A my do Jasimina. – odezwał się chłopak w imieniu swoim i dziewczyn, które mu najwyraźniej towarzyszyły.

- Do Jasimina? O, to kawał drogi. – zafrasował się Kuba.

- Ale, panie kierowco, to niecałe pięćdziesiąt kilometrów. – prosząco powiedział chłopiec. Dziewczyny za nim chichotały głupawo. Kuba spojrzał pytająco na Kiciunię.

- Jedziemy! – zadysponowała.

- Dobra. Proszę pobrać opłatę za bilety, pani konduktor. – powiedział ruszając z przystanku. Pasażerowie, którzy usłyszeli polecenie Kubusia, zwrócili się w stronę Kiciuni.

- Pani kierowniczo, to dla mnie dwa do Żabińca. – odezwał się jeden z rozpiętych. Teraz widać było, że jest zdrowo nawalony. Gmerał niemrawo po kieszeniach szukając pieniędzy. Wyciągnął w końcu garść bilonu i przyglądał się tępo kupce monet na dłoni.

- Panie, no co pan?! Banknoty, banknoty. Nie przyjmuję takiego chłamu. – Kiciunia okazała stanowczość, do której zobowiązywała ją przyjęta rola.

- Janek, daj jakąś kasę. Tylko w papierach. – powiedział rozpięty odwracając się do kompana. Po chwili Kiciunia zainkasowała banknot pięćdziesięciozłotowy. Po rozpiętym w stronę Kiciuni wychylił się chłopak od dziewczyn. Trzymał w dłoni wymięte dwie dychy.

- Wie pani, tylko tyle mamy... - patrzył na nią prosząco.

- Dobra, siadajcie. – Kiciunia była tym razem łaskawa i pobrała dwudziestkę. Spojrzała na babinę, która pokornie czekała, a teraz przedarła się do niej.

- Nie, nie. Pani nie płaci. Firma funduje pani przejazd. To taki noworoczny prezent. – wielkoduszność Kiciuni rosła z każdą chwilą.

Minęli ostatnie miejskie zabudowania i wyjechali na szosę. Kuba zwolnił, bo raz i drugi poczuł, że tył autobusu traci przyczepność. Szosa była pokryta cienką warstwą śniegu, bo przecież nikt nie zawracał sobie głowy odśnieżaniem w Nowy Rok. Pejzaż wokół jawił się niczym czarno biała grafika. Biel śniegu i ciemne, prawie czarne elementy w postaci dalekich zabudowań, przydrożnych łasków, fragmentów ogrodzeń na polach, tworzyły różne, opozycyjne wobec siebie kierunki. Powstawały między nimi dramatyczne napięcia i nieuchronnie przywodziły na myśl abstrakcyjne kompozycje Kandinskiego.

Tymczasem w autobusie rozwijało się życie towarzyskie. Kubuś skupiony na prowadzeniu, zerkał od czasu do czasu przez ramię i spoglądał we wsteczne lustro. Docierał do niego gwar głosów, ale nic z tego nie rozumiał, bo warkot silnika skutecznie wszystko zagłuszał. Natomiast Kiciunia przewieszona przez oparcie fotela

z butelką szampana w dłoni, zdawała się być w swoim żywiole. Wesóło rozprawiała pociągając od czasu do czasu z butelki. Wszyscy, oprócz babiny i jednego z rozpiętych, który spał z głową objającą się o szybę, skupili się na dwóch poczwórnych siedzeniach umieszczonych parami naprzeciw siebie. Nie wiadomo skąd pojawiły się nowe butelki.

– Jezu! – pomyślał Kuba – Ile oni tego mają? – Jednocześnie zaczął odczuwać znużenie. Nieprzespana noc, wypity alkohol powodowały, że wpadał w stan otępienia i co rusz potrząsał głową, aby się nieco otrzeźwić. Zaczął do niego docierać kompletny bezsens zaistniałej sytuacji. Szczególnie zaś przestała mu się podobać rola, jaka mu przypadła w całej tej awanturze. Nie tak to sobie wyobrażał proponując Kiciuni przejażdżkę autobusem. Prawdę mówiąc nic sobie nie wyobrażał. Działał spontanicznie, pod wpływem chwili. A teraz siedział zmuszony do napiętej uwagi, gdy tamci beztrząsco popijali rechocząc i przekrzykując się nawzajem.

– A niech to jasna cholera! – poczuł nagły przyływ złości. Wyszedł na kompletnego palanta, ale musiał przyznać przed sobą, że sam sobie jest winien. Chęć zaimponowania Kiciuni, brak zdecydowania, a przede wszystkim wyobraźni, spowodowały sytuację, którą łatwo było przewidzieć. Zerkając co jakiś czas w lusterko, zauważył, że starowinka wstała ze swego miejsca i zajęła pozycję przy drzwiach trzymając się kurczowo poręczy.

- Zaraz, zaraz, dokąd ona jedzie? – starał się przypomnieć sobie Kubuś – A, zdaje się do Trypola. Ale to jeszcze spory kawałek. Co tam, jak lubi niech sobie stoi. Starsi ludzie często są nadmiernie zapobiegliwi. Boją się, że coś przegapią, coś ich ominie. Starają się być gotowi zawczasu.

Za zakrętem ukazały się wiejskie chałupy. Trypole. Kubuś zwolnił i odwrócił się do kobieciny – Gdzie stanąć? Na przystanku? – wrzeszczał na całe gardło, bo musiał przebić się przez warkot silnika i harmider, który robiła coraz weselsza kompania.

- Może być, panie. – doszedł go piskliwy głos babiny. Jeszcze chwila i zatrzymał autobus przy wiacie przystanku. Dłuższą chwilę trwało zanim się wykaraskała. Kiedy trzasnęły drzwi, spojrział w lusterko i upewniwszy się, że kobieta jest już za autobusem, ruszył w dalszą drogę.

W pewnej chwili stanęła nad nim Kiciunia. Nachyliła się i wykrzyczała – A ty co Kubuś, nie napijesz się z nami? – Kuba na moment oderwał wzrok od drogi przed sobą i obrzucił Kiciunię szybkim spojrzeniem. – No, nieźle już wlana. – pomyślał z niechęcią.

- Nie. Teraz nie mogę. – odkrzyknął znowu wpatrzony w szosę. Kiciunia jeszcze chwilę postąla nad nim, po czym wróciła do towarzystwa.

Nie minęło pięć minut, kiedy do Kubusia dobiegły głosy. – Panie kierowco, sikać! Siku! Siku! – przekrzykiwali się balowicze. – Tego tylko brakowało. – pomyślał. Ale właściwie czego mógł się spodziewać? Czuł narastające rozdrażnienie, które próbował pohamować. Zdawał sobie sprawę, że sam dobrowolnie wmanewrował się w sytuację, która rozwinęła się w przewidywalny sposób. Jednocześnie rozglądał się po poboczu szukając odpowiedniego miejsca do zaparkowania. Wreszcie zauważył po prawej stronie drogę, która wychodziła z lasu. Zwolnił, minął wylot drogi, a potem na wstecznym wjechał w nią całą długością autobusu.

- Dziesięć minut przerwy. – zawołał wyłączając silnik. Pasażerowie zaczęli się podnosić i stłoczyli się przy wyjściu. Rozległy się zwyczajowe przy takich okazjach okrzyki – Panowie na lewo, panie na prawo! – zeskakiwali w śnieg, tutaj głębszy niż w mieście i wśród śmiechów i pokrzykiwań zaczęli znikać w zaroślach.

Kubuś został na swoim miejscu. Oparł czoło na dłoniach, które miał złożone na kierownicy. Czuł się zmęczony i wyżęty. Wiele by dał, żeby się uwolnić od przygodnego towarzystwa. – Co mi odbiło? – nie mógł sobie darować – Idiota! Debil! – obrzucał się inwektywami i trwał z zamkniętymi oczami. Wreszcie uniósł się i w poczuciu zupełnej pustki, bez jakiegokolwiek myśli w głowie, przekręcił kluczyk w stacyjce. Kilka razy przygazował, potem wrzucił bieg i wyjechał na szosę. Rozpędził pojazd, wrzucił wyższy bieg, potem następny. Spojrzał w lusterko. W oddali widział malejące figurki, które wymachiwały rękoma i zapewne coś wołały, ale nie mógł tego słyszeć. Ze zmęczonym, bezmyślnym uśmiechem na twarzy, pędził w stronę ruskiej granicy.

K O N I E C

PROPORCJE

- Braterska przyjaźń między narodami, która kwitła w najlepsze za czasów Peerelu, nie była wcale taka zła. – Marcel, który wygłosił tę śmiałą myśl, spoglądał wyzywająco na kumpli. - Jasne, przede wszystkim handel, wymiana towarowa, złoto, waluty, futra... Wyrosła na tym niejedna fortuna. Ale bratanie się miało też inne oblicza. Powiedziałbym, że niosło ze sobą nowe doświadczenia, bardziej osobistej, towarzyskiej natury. Czekał, przyniosę jeszcze po piwie. - Marcel wstał i udał się w kierunku baru. Siedzieli we trzech w piwiarni na świeżym powietrzu. Nie docierał tu gwar ulicy, ponieważ była usytuowana od strony zaplecza. Była należycie zacieniona i panujący upał nie dawał się we znaki.

Wrócił Marcel i rozstawił kufle ociekające pianą. Barman okazał się hojny, a może tylko nieuważny. Upili po łyku i Marcel, który najwyraźniej był w nostalgicznym nastroju, podjął opowieść.

- Uczelnia, w której studiowałem, miała umowę o współpracy z podobną uczelnią w Niemczech. Co ja mówię, w NRD. Nasza kadra naukowa jeździła do nich na gościnne wykłady, oni przyjeżdżali do nas. Ale i my, studenci, mieliśmy z tego wymierne korzyści. Po drugim i trzecim roku musieliśmy odbywać praktyki. Miesiąc wakacji z czapy. Jednak okazało się to wcale nie takie najgorsze. Do nas zaczęli przyjeżdżać enerdowncy, a my jeździliśmy do nich. Praktyki w istocie były czystą fikcją. Przynajmniej te u nas. Niemcy, z definicji porządni i zorganizowani, początkowo podeszli do sprawy z pełną powagą, ale widząc nasz nonszalancki stosunek do wszelkich obowiązków, też odpuścili. Efekt był w końcu taki, że i u nich i u nas, praktyki były formą przyjemnych wakacji. Do tego za frajer, a nawet coś nam płacili.

- A gdzie te praktyki mieliście? To znaczy u enerdownców. W jakich miastach? – siedzący na przeciw Malina okazał niejakie zainteresowanie.

- To też ciekawostka. Enerdowncy początkowo gościli naszych w Dreźnie. Tam była ich uczelnia. Wiecie, miasto fajne. Wprawdzie alianci zrównali je z ziemią, ale podobnie jak nasza Warszawa odrodziło się. Zostawiono sporo ruin w celach

upamiętnienia i to rzeczywiście robi dzisiaj wrażenie. Jednak Drezno przez miesiąc, to chyba przesada. Byli wprawdzie fanatycy, którzy twierdzili, że na Zwinger, to i pół roku za mało. Kiedy nasi przemili gospodarze zauważyli wreszcie, że kompletnie olewamy ich praktyki, zaczęli nas wozić na Rugię. I to było po prostu fantastyczne.

- Czekaj, Rugia to taka wyspa? Nie wiedziałem, że to było NRD. – tym razem wtrącił się Bodzio.

- Jasne, że NRD, kolego. Było tam mnóstwo ośrodków o wysokim standardzie, a do tego plaża nudystów. Można tam było wejść, ale tylko na gołego. W sumie nic ciekawego. Młodych panienek jak na lekarstwo. Za to wiekowych babsztyli zatrzęsienie. Tak to wyglądało.

- I co wyście robili na tych waszych praktykach? – dopytywał się Bodzio.

- Jezu! A co się robi w lecie na plaży? Były też dziewczyny. Kilka naszych i cała gromada enerdówek. I muszę wam powiedzieć, że były świetne. Miałem zupełnie inne wyobrażenie o Niemkach, a tu okazało się, że to jakieś durne, zasłyszane gdzieś stereotypy. Te, które poznałem, były wesołe, komunikatywne i naprawdę fajne. Do tego, wprost niesłychanie uczuciowe. Fakt, porozumienie się nastęrczało pewnych trudności, ale w kontaktach męsko damskich nie ma to większego znaczenia, a nawet przydaje pewnego smaczku. Kumacie o co chodzi. Zresztą, one nie miały jakiś wybujałych przesądów i jeżeli chciały się przespać z facetem, nie robiły z tym większych ceregieli. Niektórzy od nas, skrzętnie to wykorzystywali, twierdząc butnie, że to za okupację. Myślę jednak, że to one dokonywały wyboru i znacznie lepiej się bawiły.

- A ty Marcel coś przygruchałeś? Wiesz, nasze miasto szkopy też nieźle przeorały. Miałeś okazję się odegrać. Wprawdzie inną bronią, ale zawsze. – Malina wyraźnie usiłował ukierunkować opowieść Marcela.

- E tam, bzdura. Nigdy nie patrzyłem na to pod tym kątem. A dziewczyny... no jasne, że tak. Ciekawość zawsze bierze górę. Tylko widzicie, to nie była taka sobie zwykła, wakacyjna przygoda. Początkowo może tak, ale potem nastąpiły komplikacje, które zaprowadziły nas nieoczekiwanie zupełnie nie tam, gdzie chcielibyśmy się znaleźć. – Marcel pociągnął kilka łyków z kufła.

- Kurczę, nie opowiadaj. Zrobiłeś któregoś dzieciaka? – Malina był ubawiony i szczerze zaciekawiony.

- Malina, ty jak zawsze o jednym. Zawiodę cię tym razem. Sprawy miały się zupełnie, ale to zupełnie inaczej.

- Zaciekawiasz mnie. Ale czekaj, przyniosę piwo. – Malina podniósł się szybko i pomknął do bufetu. Kiedy już porozstawiał ociekające kufle i rozsiadł się na krześle, powiedział do Marcela – To nawijaj, nawijaj. Lubię takie historie, w których czai się jakaś tajemnica.

- Nie ma tu żadnej tajemnicy. Będziesz zawiedziony. Ale jak chcecie, to posłuchajcie. – Marcel upił trochę piwa i zamyślił się. Malina i Boguś też przyssali się do kufli i cierpliwie czekali.

- Sorry, będzie trochę nudnych szczegółów, ale jeśli macie coś z tego zrozumieć, to nieodzowne. Bo, panowie, akcja rozgrywała się tam, u nich, na wyspie, a potem u nas, w Polsce. Kiedy przyszła moja kolej na praktyki, to znaczy jak byłem po drugim roku, enerdowncy już nas przyjmowali na Rugii. Fakt, na początek był trzydniowy pobyt w Dreźnie. Ale miało to sens, bo przynajmniej coś zobaczyliśmy. System był taki, że towarzyszyła nam grupa studentów z bratniej uczelni w NRD. Razem spędzaliśmy te niby praktyki. Oni, jako gospodarze, mieli zadanie opiekować się nami, oprowadzać, pokazywać i takie tam różne. Potem zaś, w następnym roku, ta grupa przyjeżdżała do nas, do Polski. I teraz z kolei, ci z nas, którzy byli na Rugii, spędzali praktykę z nimi i też pełnili rolę cicerone. Było to niegłupie, bo towarzystwo już się znało z poprzedniego roku, ze wspólnego pobytu na wyspie.

- Marcel, błagam, tylko nie opowiadaj nam o zabytkach. Do rzeczy. O dupach, o dupach chcemy posłuchać. – naciskał jak zwykle monotematyczny Malina.

- Jezu, Malina, nie załamuj mnie. Człowieku, ile ty masz lat? Pora poszerzyć swoje horyzonty, a nie, tylko dupy i dupy. Ale ty jesteś niereformowalny. Założę się, że na łożu śmierci będziesz pakował łapy pod spódnicę orantek. – powiedział Marcel ze spokojną rezygnacją.

- Dobra Marcel, dobra. Zaczynasz mówić jak moja żona, więc dajmy spokój. – Malina machnął ręką i podniósł kufel.

- Zaraz, zaraz. Jakich orantek? Kto to jest? – umysł Bogusia, jakkolwiek czujny, działał z pewnym opóźnieniem.

- Boguś, nie zwracaj głowy. To takie oplakujące nieboszczyka baby. – zbył kolegę Malina.

- No i widzicie, zupełnie wytrąciliście mnie z pantałyku... Dobra. Było tak. Myśmy byli w dziesięcioro. Siedmiu chłopaków i trzy dziewczyny. Tamtych było więcej. Tak około piętnastu osób. Dokładnie już nie pamiętam. Osobliwie jednak, zdecydowanie przeważały dziewczuchy. Chłopaków było zdaje się tylko trzech. Sami widzicie, dla nas proporcje fantastyczne. Nie wiem czy to przypadek, czy tak zdecydowali organizatorzy. Ale jaki cel mógł im przyświecać? Diabli wiedzą. Na początek trzy dni w Dreźnie. W dzień zwiedzanie, Zwinger... ale was to nudzi. Wieczorem za to, dyskoteka. Harce na parkiecie i wino. W dużej ilości. Był czas, żeby się poznać. Już wtedy, w Dreźnie, wytworzyły się układy towarzyskie. Ja kumplowałem się wówczas z takim jednym Andrzejem, na którego mówiono Stowa. Jakiś czas mieszkaliśmy razem. I teraz tu, na obczyźnie, też działaliśmy wspólnie i w porozumieniu, jakby to określiły organy ścigania. Na pierwszej dyskotecie był taki układ, że siedzieliśmy wprawdzie w grupie, ale przy oddzielnych stolikach. Szybko jednak doszło do przemieszania się całego towarzystwa. Stowę i mnie zaprosiły do swego stolika dwie dziewczyny od nich. Nie wiem czym sobie na to zasłużyliśmy, ale mieliśmy duże szczęście. Panienki były w porzo. Bardzo. Czekaście, łyknę trochę piwa, bo mi zasycha w gardle, a to dopiero wstęp. – Marcel upił kilka łyków, westchnął i ciągnął opowieść dalej - To teraz parę słów o nich. Gudrun miała ciemne, prawie czarne włosy i kontrastowo, bardzo jasną cerę. Ładną, trochę uduchowioną buzię i duże oczy w nieokreślonym kolorze. Druga miała na imię Petra. I tu panowie, niespodzianka... ha, ha, była czekoladowa.

- Co ty pieprzysz? Jak to czekoladowa? Czarna?! Przecież NRD, to nie Afryka.– Malina aż się uniósł na krześle.

- Właśnie tak jak mówisz. Ale bez przesady. Czarna nie była. Powiedziałem czekoladowa, a teraz dodam, subtelnie czekoladowa. Byliśmy tak samo zdziwieni jak wy teraz. Pytać nie wypadało. Pozostawały domysły. Ale później Petra sama nam wszystko powiedziała. Prosta sprawa. Po zakończeniu wojny, jej mama znalazła się w strefie amerykańskiej. Pozostała tam jeszcze wtedy, kiedy utworzono dwa państwa

niemieckie, NRD i NRF. Wojsk okupacyjnych już wprowadzić nie było, ale Amerykanie nadal tam stacjonowali. Tak jak Rosyjscy w NRD. Mama dziewczyny wdała się w romans z czarnoskórym żołnierzem armii amerykańskiej czego owocem była Petra właśnie. Potem na skutek jakichś rodzinnych układów, przeniosła się do NRD, czego Petra nie mogła jej darować. To tyle. Dodam tylko, że Petra miała wszystkie zalety takiej białoczarnej mieszanki. Co ty na to Malina? – Marcel popatrzył kpiąco na kumpla.

- Kurde! Czy ty masz mnie za jakiegoś erotomana?! Lubię panienki, ale co w tym złego? Ty nie lubisz? – Malina bardziej udawał, niż naprawdę był obrażony.

- O nie, Malina! Jaki wrażliwy! Już dobrze, dobrze. Ale narzeczonej i tak pod opieką bym ci nie zostawił. – Marcel usiłował ugłaskać kumpla.

- Trzy integracyjne dni w Dreźnie, zrobiły swoje. Na Rugię pojechaliśmy już nieźle zakumplowani z naszymi enerdowskimi przyjaciółmi. Głównie z dziewczynami rzecz jasna. Faceci też niby byli w porządku, ale jacyś tacy sztywni i formalni. Stówa twierdził, że oni wszyscy są ze Stasi. I że baby też. Do dziś nie wiem czy miał rację. Co nas to w końcu obchodziło. Politykę olewaliśmy kompletnie. Mogliby co najwyżej nas zwerbować. Tylko na chuj?!

- Stary, Stasi, to była jedna z najbardziej wrednych organizacji tego typu na świecie. Oni chyba wszyscy tam należeli. Jak to szkopy. – wtrącił Malina z zaciętą miną.

- Malina, nie wiem i mówię ci, nas to gównem obchodziło. – Marcel zdecydowanie uciął wątek szpiegowsko-wywiadowczy.

- Więc słuchajcie. Na Rugii zaczęły się prawdziwe wakacje. Zamieszkaliśmy w dwuosobowych kampingach nad samym morzem. Standard był o niebo wyższy od tego z jakim spotykaliśmy się u nas w Polsce. Trzymaliśmy się naszych dziewczyn i było warto. A... kwestia porozumienia... Było nieźle. Ja po niemiecku, ani w ząb, ale Stówa i owszem. Pochodził z małej miejscowości na Pomorzu. Wicie, Prusy. Nigdy o tym nie mówił, ale podejrzewałem, że u niego w domu, jak nikt nie słyszał, mówiło się po niemiecku. Nazwisko miał niby polskie, ale tak naprawdę, brzmiało jakby je na siłę spolszczono. Tak czy inaczej, po niemiecku gadał. Mnie pozostawał angielski. Mój był marny, ale w sprawach podstawowych mogłem się porozumieć. Dziewczyny po angielsku mówiły o niebo lepiej. Szczególnie Petra. Może to geny po ciemnoskórym tatusiu, ha, ha...? Próbowaliśmy też rozmawiać po rusku. Wicie, oni

tam w NRD, tak jak my, rosyjski mieli w szkołach obowiązkowy. Wielki Brat zadbał o to. Ale kochani, o ile ja i Stówa radziliśmy sobie zupełnie nieźle, to dziewczyny tragicznie. Nawet miały opanowany pewien zasób słów, ale ich wymowa była wręcz karykaturalna i pękaliśmy ze Stową ze śmiechu. A gramatyka... szkoda gadać. Często, jak chcieliśmy się rozbawić, przechodziliśmy na rosyjski. Dziewczyny kumały o co chodzi i też się nieźle bawiły. Stało się więc na tym, że ja kulawo, bo kulawo, ale używałem angielskiego. Stówa szprechał po ichniemu i jeśli trzeba było porozumieć się w sprawach bardziej złożonych, służył za tłumacza w obie strony. – Marcel dopił piwo i wymownie popatrzył na Bogusia przesuwając w jego stronę kufel. Boguś powstał, zebrał kufle i ruszył w stronę baru.

- Ciekawe, ciekawe... Będzie jeszcze coś dla mnie? – zapytał niewinnie Malina.

- Malina, spoko. Właśnie teraz będzie specjalnie dla ciebie, ha, ha... - odpowiedział rozbawiony Marcel. Wrócił Boguś z pianistymi kufkami i kumple zgodnie unieśli je do ust.

- Rugia, Rugia... Ciekawe miejsce. Już pierwszego dnia dziewczyny zgotowały nam niespodziankę, ba, wprawiły w zakłopotanie. Zaprowadziły nas, małpy jedne, na plażę nudystów. Szliśmy sobie niewinnie brzegiem morza, a tu nagle jakaś tablica. Nic z niej nie rozumiałem, poza wielkim napisem: HALT. To akurat każdy Polak zrozumie. Dziewczyny się ożywiły i zaczęły chichotać popatrując na nas. - Ty, stary, to plaża nudystów. Trzeba zdjąć gacie, a właściwie wszystko jeżeli chcemy tam wejść. – wyjaśnił mi Stówa łaskawie.

- I rzeczywiście. Gudrun i Petra, jak tylko znalazły się za tablicą zdjęły wszystko co miały na sobie, a wiele tego nie było, i po chwili stały golutkie, wyczekująco patrząc w naszą stronę. Cóż było robić. Poszliśmy w ślady naszych przewodniczek. Wicie, początkowo to głupie uczucie. Człowiek stara się nie okazywać skrępowania, co wypada zazwyczaj jeszcze śmieszniej. Pilnowałem się, a i Stówa chyba też, żeby zbyt nachalnie nie przyglądać się dziewczynom. Trudno się jednak było powstrzymać. One czuły się daleko swobodniej i coś do siebie trajkotały. Były o tyle w lepszej sytuacji, że nic im się między nogami nie majtało. W pewnej odległości widzieliśmy porozkładane w różnych pozach gołe cielska. Biegały jakieś dzieciaki. Kiedy podeszliśmy bliżej stwierdziliśmy z niejakim zdziwieniem, że były to w przytłaczającej większości kobiety, ale już w latach. Przedział pięćdziesiąt –

sześćdziesiąt, a często chyba dużo starsze. Hmm... krótko mówiąc mało apetyczne, a chwilami żenujące. Ale nic, szliśmy sobie i ze dwa razy natknęliśmy się na grupki młodych chłopaków. Wlekli się rozglądając, po trzech, czterech. Zupełni gówniarze. Gudrun zaczęła coś mówić do Stówy, a ja oczywiście nic nie kapowałem. Zapytałem więc go, co takiego ona mu opowiada. No i okazało się, że te chłopaczki, rozglądają się za sponsorkami, bo te babsztyle po to właśnie tu przychodziły, a właściwie przyjeżdżały, bo w większości były obywatelkami RFN. Wszystko stało się jasne. – tu Marcel zrobił przerwę i sięgnął po kufel. Otarł dłonią usta i powiedział – Mówić dalej, czy już macie dosyć?

- Ej, tylko bez takich. Nawijaj, nawijaj. – obruszył się Malina.

- Dobra. Sami chcieliście. Dalej to już było dosyć banalnie. Tego wieczora wypiliśmy parę butelek wina i Petra została u nas. To znaczy ze mną, ze mną, Malina. A Gudrun poprowadziła Stowę za rączkę do ich domku. I tak już zostało.

- Marcel, jakieś szczegóły... momenty... - dopominał się Malina

- A idźże do jasnej cholery! Taaak... w dzień pomieszkiwaliśmy każdy u siebie, a wieczorem nasza czwórka dzieliła się na pary. Nie mieliśmy jakiegoś ustalonego systemu kto gdzie sypia. Zmienialiśmy domki w zależności od sytuacji, która akurat wynikała. Wkrótce nasze gospodarstwa domowe stanowiły przedziwną mieszankę damskich i męskich akcesoriów. Czasem to było zaskakujące, ale mniejsza... O, koniec piwa. - Marcel uniósł pusty kufel. Już chciał się podnosić, kiedy Malina go powstrzymała.

- Nie, nie. Pozwól, że ja pójdę. Bawisz nas tak zajmująco, to ci się jakaś premia należy. - chwycił kufle i udał się ustaloną trasą. Kiedy wrócił powiedział – Wiesz Marcel, po drodze przyszło mi do głowy kilka dodatkowych pytań. Ale to później, później... No, to mów dalej.

- Dalej... dalej było mniej więcej tak samo, tyle tylko, że gdzieś tak w połowie naszego pobytu na wyspie, dziewczyny zaczęły się zamieniać. To była ich inicjatywa. Nam to nawet nic takiego do głowy nie przyszło.

- Ejże, jak to zamieniać? – Malina wytrzeszczył oczy.

- Jezu, Malina, tobie takie rzeczy muszę tłumaczyć? Po prostu pewnego wieczora Petra zapodziała się gdzieś ze Stową, a do mnie przyszła Gudrun. I tyle. W pierwszej chwili się spłoszyłem, bo pomyślałem, że później zaczną się jakieś zazdrości, sceny, pretensje. Wiecie jak to bywa. Ale Gudrun spokojnie mnie pocieszyła – Don` t you worry, don` t worry, Marcel. Petra knows about it... Potem robiły to często. Nie wiem według jakiego klucza, ale od tej pory nigdy nie wiedzieliśmy, która komu przypadnie. Muszę przyznać, że było to ciekawe doświadczenie, a i relacje między nami jakoś się zacieśniły. Trudno powiedzieć co nimi kierowało, ale bawiły się chyba niezłe. Stowa próbował coś z nich wydobyć, ale tylko chichotały. I masz swoje Stasi... - Marcel popatrzył wymownie na Malinę.

- Że też mnie tam nie było... Bardzo, ale to bardzo mi się taki układ podoba. – Malina był wyraźnie rozmarzony.

- Wiem, wiem. Miałem o tym nie mówić, ale pomyślałem, że pozbawiłbym twoją wyobraźnię odpowiedniej pożywki i żał mi się ciebie zrobiło. – Marcel uniósł kufel, a potem ciągnął dalej - Teraz pojawi się właściwy wątek, dla którego całą tę opowieść zacząłem. Jakoś tak w ostatnim tygodniu, Gudrun i Stowa zaczęły prowadzić długie rozmowy. Zasiadali z kartkami, coś rysowali, pisali... Zupełnie nie kumałem o co chodzi. A do tego Gudrun ciągle biegała do telefonu. Wreszcie któregoś dnia zapytałem Stowę w czym rzecz i jeśli to nie tajemnica, może mi powie co się dzieje. No i okazało się, że rodzice, dziadkowie i Bóg wie ilu jeszcze przodków Gudrun, pochodzi z okolic, gdzie mieszkał Stowa. O miasteczku, w którym mieszkał, słyszała w domu od dzieciństwa, ponieważ rodzice nieopodal mieli majątek. Wypytywała więc Stowę szczegółowo o wszystko i dzwoniła do domu zdając relację. Tak, wiem Malina. Zaraz powiesz, że telefonowała nie do domu, tylko do szefostwa ze Stasi.

- A skąd wiesz, że tak nie było? Każdy wywiad na świecie lubi posługiwać się młodymi dupeczkami. To daje dobre efekty. – Malina był nieugięty.

- Oj, Malina! A jeśli nawet, to chuj z tego. Nie, nie, nie brnijmy w takie rozważania. – Marcel przerwał i pociągnął kilka długich łyków. – No i w końcu doszło do tego, że zaczęliśmy snuć konkretne plany na przyszły rok. To była wyraźna inicjatywa Gudrun. Nikt z pozostałych nie oponował, bo w sumie nam to odpowiadało. Już wam mówiłem jaki był schemat organizacyjny praktyk. W przyszłym roku grupa, która nam towarzyszyła, miała przyjechać do Polski. A my mieliśmy przejąć nad nimi opiekę. I

fajnie. Gudrun jednak wymyśliła, że koniecznie, ale to koniecznie, musimy pojechać do miasteczka Stówy i w ogóle zwiedzić tamte okolice. Miała zamiar porobić masę zdjęć, poodwiedzać miejsca, o których słyszała w domu. No i cmentarze ewangelickie, gdzie licznie spoczywali jej przodkowie. Powiedziała, że ojciec przygotuje jej dokładny plan tego, co ma zobaczyć i zdokumentować. Główna rola w tych planach przypadała rzecz jasna Stówie. Tam się urodził i znał wszystko jak własną kieszeń. Ponadto, od razu zadeklarował, że będzie nas wszystkich gościł. Mieszkał tylko z matką w domku jednorodzinny, a do tego, jak mówił, matka lato spędzała zazwyczaj w sanatoriach, albo u swojej siostry w Zakopanem. Było więc prawie pewne, że chata będzie wolna, co bardzo upraszczało sprawę. Cóż, praktyki dobiegły końca i trzeba było wracać do siebie. Przyznam, że z niemałym żalem pożegnaliśmy dziewczyny, a one okazały się także nad wyraz czule i wrażliwe, bo szlochały w naszych ramionach, jakbyśmy wyjeżdżali co najmniej do Wietnamu. Na pociechę pozostały nam świetlane perspektywy na przyszły rok. Tylko, że rok w tym wieku, to jakaś pieprzona epoka. – tu Marcel znowu sięgnął po piwo.

- O, to jak rozumiem, nastąpi drugi akt. Tym razem u nas. Zanim podążysz dalej chciałbym o parę rzeczy zapytać. Tak wiesz, dla jasności i pełni obrazu. Powiedz nam krótko czy... no... integracja waszych grup przebiegała podobnie jak twoja i koleś? I coś nam, zdaje się, chciałeś powiedzieć o facetach od nich. – Malina jak zwykle był dociekliwy.

- Integracja mówisz... Jasne, że tak. Natychmiast potworzyły się pary, jakieś grupki, ogólnie się kotłowało. Nasze dziewczyny też sobie nie żałowały i Stówa któregoś dnia zauważył, że może należałoby je ostrzyć? Ha, ha... Tak wiecie, do gołej skóry. Aha, był wśród nas koleś, szczególnie zaciekle na kobiece wdzięki. Wojtek. Nie śledziłem uważnie, ale z tego co wiem, zaliczał wszystko, co było w zasięgu wzroku. Podobno zapuszczał się nawet na plażę nudystów i dokonywał swoistej selekcji wśród przechodzących egzemplarzy. Tak, właśnie s e l e k c j i , jak z upodobaniem mawiał. Piotrek, który z nim mieszkał, mówił, że kiedy Wojtuś wracał o różnych porach nocy do domku, to najpierw szedł do zlewu i złorzecząc, mył kutasa pod kranem. Po prostu podczas figli i ćwiczeń gimnastycznych na wydmach, zawsze go sobie musiał w piasku utyłać. Widzicie więc, w sumie nic szczególnego. Taak... Przejdiesz się Boguś po piwo? Widzę, że przysypiasz, to ruch ci dobrze zrobi. – Rzeczywiście, Boguś wydawał się lekko przymulony, ale bez oporów zabrał się z

kufkami do bufetu. W czasie jego nieobecności Marcel milczał, a i Malina był jakiś zamysłony. Kiedy kufle stanęły przed nimi, Marcel kontynuował narrację.

- Pytałeś o facetów? Prawdę mówiąc, jakoś trudno się było z nimi zakumplować. Niby młodzi i też lubili się bawić, ale brak im było tej jakiejś... iskry, fantazji... czy ja wiem? Może faktycznie byli ze Stasi? Ale w końcu znałem też paru chłopców z SB i muszę powiedzieć, że było wśród nich kilku niesamowitych zawodników. Do wszystkiego. Może najlepiej będzie, jak przytoczę pewne zdarzenie, które w jakiś sposób oddaje naturę zjawiska. Na tej Rugii tośmy się trochę poruszali. Zwiedzaliśmy okoliczne miejscowości, jeździliśmy do parku narodowego, jednym słowem, byliśmy w ruchu. Wybraliśmy się kiedyś większą grupką i zabrali się z nami chłopaki od nich. Chyba trzech. Przyszliśmy na stację kolejową w ostatniej chwili i już nie było czasu na kupienie biletów. I tu zaczęły się schody. Wyobraźcie sobie, że oni mieli poważne opory, żeby wejść do pociągu nie mając ważnego biletu. Mimo, że podobnie jak u nas, można go było z pewną dopłatą kupić u konduktora. Dali się w końcu przekonać, ale byli wyraźnie niespokojni i chcieli już, natychmiast, tegoż konduktora szukać. Zapewne pamiętacie jak się wtedy u nas jeździło pociągami? Powszechna była metoda „na łapę”. Kiedy się zjawiał konduktor, wychodziło się z nim na korytarz i składało propozycję – To co, po połowie? – na co pytany nieodmiennie odpowiadał – Dobra. Może być. – I to wszystko. Dawało mu się połowę ceny biletu. Tak mniej więcej, a do tego uwzględniając zniżkę, jeśli ci przysługiwała.

- Daj spokój. Przecież wszyscy tak jeździliśmy. – wtrącił Malina.

- No właśnie. Co wam będę głądził. Sprawa polegała na tym, że Stówie wpadło do głowy, żeby tę metodę zastosować tutaj. Zaczął więc tłumaczyć tym baranom o co chodzi. Gadał i gadał, a ci za cholerę nie mogli pojąć w czym rzecz. Kiedy wreszcie załapali, wytrzeszczyli przerażeni gały. W żaden sposób nie mogło im się pomieścić w głowie, że można coś takiego zaproponować umundurowanemu funkcjonariuszowi na służbie. Ze trzy razy upewniali się czy Stówie o to właśnie chodzi i aż łapali się za głowy ze zdziwienia. Tacy właśnie byli. A teraz pozwólcie, że się pójdę wysikać, a wracając przyniosę po piwie. – Marcel się podniósł, zwinął kufle i poszedł, a za nim poturlał się Boguś. Wrócili niosąc sześć świeżo napełnionych kufli. Zasiedli i Marcel podjął opowieść.

- Rok, nie wyrok, jak mówią w Mławie i we Wronkach. Nam też zleciał szybko. Wymieniliśmy z dziewczynami kilka pocztówek, ot, jakieś pozdrowienia, życzenia i tyle. Nadeszły wakacje i zaprzyjaźniona grupa przybyła do nas w nie zmienionym składzie. Powitania, uściski, pocałunki... sami wiecie. Program pobytu był bliźniaczo podobny do tego u nich. Na początek trzy dni w naszym mieście, a potem nad morze. A nie, czekajcie, była drobna różnica. Ich jeszcze wieźli na wycieczkę do Oświęcimia. Myśmy też mogli jechać, ale jakoś nikt się do tego nie palił. Stówa i ja też sobie odpuściliśmy. Oglądać te okropności i do tego z Niemcami... wielkie dzięki.

- Kurwa, rzeczywiście zajebisty pomysł, żeby ich tam wozić. Takie chyba były odgórne wskazówki polityczne. – wtrącił się Malina.

- Zapewne tak. W każdym razie, zanim pojechaliśmy nad morze, któregoś ranka podstawiono autokar i popruli zu Auschwitz. Potem, kiedy wrócili, nie rozmawialiśmy z nimi o tym. Wprawdzie ich der Leiter der Gruppe z zatroskaną i wyraźnie zasmuconą twarzą, próbował poruszyć temat, ale Stówa szybko go spacyfikował. Prawdopodobnie der Leiter miał takie zadanie i jak to oni, usiłował je wykonać. Ordnung, ordnung... - Marcel uniósł kufel i rozejrzał się po tarasie.

- Pojechaliśmy nad morze. Warunki były zdecydowanie bardziej zgrzebne niż na Rugii, ale kto by się tym przejmował. Gudrun nieustannie dopytywała się, kiedy pojedziemy w rodzinne strony jej przodków. Zrobiliśmy więc coś w rodzaju odprawy. Okazało się, że ubiegłoroczne deklaracje Stówy są jak najbardziej aktualne. Matka w Krynicy, chata wolna i Stówa z przyjemnością będzie nas gościł, a przy tym będzie przewodnikiem. Ja byłem już u niego ze dwa razy i wiedziałem, że jest do swego miasteczka bardzo przywiązany. Lubił pełnić rolę przewodnika i gęba mu się wtedy nie zamykała. Urodził się tam, spędził dzieciństwo, czasy szkolne do matury, a i teraz jeździł tam, kiedy tylko mógł. Znał praktycznie wszystkich i poprzez swoje najróżniejsze znajomości, potrafił zapewnić atrakcje niedostępne dla zwykłych turystów. Zapowiadało się więc ciekawie. Wspólnie postanowiliśmy, że posiedzimy jeszcze kilka dni nad morzem, a potem na tydzień, a może i na dłużej pojedziemy do Stówy. Siedzieliśmy snując wstępne plany. Gudrun wstała i po chwili wróciła z wypchaną, tekturową teczką. Były to materiały i wskazówki przygotowane przez jej ojca. Jezu, czego tam nie było. Przedwojenne mapki, plany miasteczek, fotografie, jakieś listy, odręcznie przez ojca rysowane plany sytuacyjne. Widać w tym było rękę

sztabowca. Wszystko opisane elegancką, odręczną szwabachą. Popatrzyliśmy na siebie ze Stową porozumiewawczo. Ja się w to nie mieszałem, ale Stowa z Gudrun siedzieli nad tym do późnej nocy. Dla niego te materiały miały wartość dokumentalną i był nimi prawdziwie zafascynowany.

- A ten tatuś, to co on w czasie wojny robił? – niewinnie zapytał Malina.

- A co mógł robić? Były tam zdjęcia młodego faceta w mundurze. Pewnie z urlopów. Nie dopytywaliśmy się specjalnie, żeby nie trafić na jakąś minę. Ale Gudrun sama nam powiedziała. Tata służył w wojskach pancernych w stopniu kapitana. Der Hauptmann der Panzertruppen. Pewnie jeździł sobie tygrysem. – wyjaśnił Marcel.

- Nie ma co. Na pewno przyjemniaczek. Ciekawe czy był u Rommla? A może brał w dupę pod Kurskiem, albo Studziankami? Chętnie bym z facetem pogadał o T – 34. Wiesz Marcel, ja ich kurwa, do dzisiaj nie lubię. – Malina nie mógł się pozbyć zgryźliwości.

- Nie wiem, Malina. Nie dopytywaliśmy się. Dodam, że z wrodzonej delikatności wobec dam. – uśmiechając się odpowiedział Marcel.

- W sumie masz rację. Dupy, to dupy i nie należy tych spraw łączyć. – w Malinie, jak zwykle, przeważał realista.

- Dobra. W przeddzień naszej ekspedycji wpadła Gudrun i powiedziała, że ich der Leiter der Gruppe chce z nami porozmawiać. Cóż było robić. Poszliśmy. Rozmawiał z nim Stowa i później mi zdał relację. Der Leiter na początku poinformował go, że dziewczęta dostały pozwolenie na wyjazd z nami. Prosił jednak o pisemną deklarację z naszej strony, że przejmujemy pełną odpowiedzialność za nie i zobowiązujemy się odstawić je całe i zdrowe nie później, niż po dziesięciu dniach. Poprosił jeszcze Stowę o podanie nazw wszystkich miejscowości, które zamierzaliśmy odwiedzić. Oczywiście, z naszych dowodów osobistych spisał dane. Podaliśmy też wszelkie możliwe numery telefonów kontaktowych. Na koniec poinformował, że dziewczyny będą każdego dnia dzwoniły do niego i byłoby dobrze, gdybyśmy im to umożliwili. Po krótkim wahaniu dodał, że osobiście byłby rad, gdybyśmy się czasem też do niego odezwali i powiedzieli, jak się koleżanki sprawują.

- O, jebany gruppenführer! Chciał, żebyście na panienki donosili? Stasi, jak nic Stasi! No nie zaprzeczysz, stary. – Malina był wyraźnie usatysfakcjonowany.

- Stasi, nie Stasi, ale nieźle nas wymaglował. Dziewczyny czekały na nas lekko podenerwowane, ale kiedy Stówa powiedział, że spoko, wyraźnie się rozluźniły. Widocznie u nich, nie było to takie proste, ani oczywiste. No i pojechaliśmy. Dwoma pociągami i kawałek pekaesem. Takie zadupie. Zanim przesiedliśmy się z pociągu do autobusu, Stówa poszedł gdzieś dzwonić. Wkrótce miało się okazać po co. – Marcel napoczął drugie piwo, chwilę milczał i ciągnął dalej opowieść.

- Muszę wam powiedzieć parę słów o miasteczku. Spokojnie, tylko tyle, ile konieczne. Nie będę przynudzał. Nie było duże. Może dziesięć tysięcy? Coś koło tego. Stare. Rodowód sięgał średniowiecza. W czasie wojny zupełnie nie ucierpiało i było tu od cholery zabytków. Kościoły, baszty, kaplice, mury miejskie, dwa klasztory i w ogóle różności. Miało typowo niemiecki charakter. W końcu to były Prusy. Schludne uliczki o nawierzchniach z granitowej kostki. Murowane domy. Niekiedy z murem pruskim, co zawsze jest malownicze i przydaje klimatu. Gdzie niegdzie, w oknach, starsze kobiety z łokciami wspartymi na poduszkach. Często z kotem, albo małym pieskiem. Pekińczykiem, ratlerkiem... Na głowach chustki zawiązane w węzeł na czole. W ustach szklane lufki, ciemnobrązowe od smoły, z połówką przełamanego papierosa. Tak mniej więcej to wyglądało... Kiedy autobus zatrzymał się pod zachowaną od średniowiecza bramą miejską i cała nasza czwórka wtarabaniła się na zewnątrz, zauważyliśmy jakąś dziwną postać zmierzającą w naszą stronę. Dziewczyny się nawet lekko spłoszyły. Niemłody mężczyzna, który był już o kilka kroków od nas, mimo gorąca, miał na sobie ciemny, sprany przez deszcze ni to płaszcz, ni to chałat. Na głowie kapelusz z szerokim rondem, a w prawej dłoni dzierżył bat. Zatrzymał się przed nami, zdjął kapelusz i skłonił się głęboko dziewczynom. – Ich begrüßen die teuren Fräulein! – przywitał je w ich rodzinnym języku. Wkrótce okazało się, że szprecha równie dobrze jak Stówa i jak większość tutejszych. Przynajmniej tych starszych. Przywitał się ze Stową tytułując go „panem Andrzejem” i w końcu ze mną. Wskazał ręką kierunek i ruszył przodem. Okazało się, że za bramą czeka dorożka. Jedyna w mieście i po to właśnie Stówa dzwonił. Taką nam niespodziankę przygotował. Koń, białutki jak mleko, był przystrojony czerwonymi pomponami. Czyściutki i lśniący. Grzywa i ogon wyczesane starannie i jakby lekko

ufryzowane. Dziewczyny zaniemówiły z zachwytu, a potem się tak rozjazgotały, że nawet Stówa nic nie mógł zrozumieć. Niewiele brakowało, a posikałyby się w majtki.

- Sam bym się pewnie posikał. – mruknął Malina.

- Ja myślę... Rozsiedliśmy się w powozie i Stówa zadysponował ogólną przejażdżką po miasteczku. Ruszyliśmy, a końskie kopyta wystukiwały piękny rytm na bruku. W pewnej chwili dorożkarz, pan Zinkow, odwrócił się i powiedział do Stówy – Panie Andrzeju, pod ławeczką. – Stówa nachylił się, poszperał pod siedzeniem i wydobycił koszyczek z butelką szampana i kieliszkami. Jechaliśmy więc niespiesznie ulicą... he, he... Komturów i popijaliśmy musujące wino. Stówa rzucał luźne uwagi na temat mijanych obiektów, miejsc, ludzi. A dziewczyny... panowie... były kompletnie, ale to kompletnie ugotowane. Oczywiście widzieliśmy to i Stówa z trudem skrywał dumę. Na ulicy Zakonnej, pan Zinkow zatrzymał się pod domem Stówy. Typowy, jednopiętrowy klocek z lat sześćdziesiątych, ale z ładnym przydomowym ogródkiem. Stówa umówił się z dorożkarzem na wieczór i poszliśmy do domku. Dziewczyny zamieszkały na piętrze, a my na dole. Taka grzecznościowa formalność, bo i tak było wiadomo, że się przemierzamy. Nie mam zamiaru męczyć was opowieściami jak nam mijał czas, ale o kilku ciekawych wydarzeniach wspomnę. Gudrun fotografowała, fotografowała, fotografowała... Dostała jakiegoś amoku. Obie ze zdumieniem odkryły, że mogą się dogadać po niemiecku z babciami siedzącymi w oknach, ze starszymi facetami w bramach. Toteż nie przepuszczały żadnej okazji. Stówa musiał im ciągle coś tłumaczyć, opowiadać, wyjaśniać i zdaje się zwolna miał dosyć. W miasteczku było coś koło dziesięciu kościołów. Tylko dwa były czynne. Aha, jeszcze kaplica przyklasztorna. Reszta zamknięta, pozostawiona sama sobie, niszczała. Stówa, sobie tylko wiadomymi drogami załatwiał klucze do tych zamkniętych przybytków. Oglądaliśmy niszczejące, opustoszałe wnętrza. Przygnębiające wrażenie. Nasze dziewczyny były wrażliwe i bardzo łatwo poddawały się różnym sentymentalnym uczuciom. Chyba bardziej i głębiej przeżywały zwiedzanie tych obiektów. Jednak zupełnie nas zaskoczyły, kiedy zabraliśmy je na niedzielną mszę do tutejszej fary, dużego, gotyckiego kościoła o trzech nawach. Bywaliśmy tam ze Stową podczas moich wcześniejszych pobytów. Jego kumpel Krystian, grał tam na organach. Chodziliśmy tam w celach towarzyskich i... co by nie mówić, obrazoburczych. Jako młodzi i głupi, lubiliśmy przekraczać dozwolone granice i z upodobaniem oddawaliśmy się tego rodzaju zajęciom. Przychodziliśmy do

Kristiana gdy ten siedział przy organach i przygrywał smętne kawałki do mszy. Przysiadaliśmy na schodku kryjąc się za balustradą empory. Wyciągaliśmy pierwszą butelkę i szklaneczkę. Pierwsza lufa wędrowała do Krystiana. Jeden z nas, pochylony, skradał się w jego stronę, a on przedłużając trzymany akurat akord, zniżał się do klawiatury i wykonywał zgrabny przechył. Kończyło się tak, że kiedy szereg kobiecین ustawiał się do przyjęcia komunii, spod sklepienia rozbrzmiewało „Je t`aime”...

- „...moi no plus”. – dośpiewał Malina. – To zajebicie. Podoba mi się. – skomentował jeszcze.

- Może i tak. Nikt się nigdy nie skapował. Idąc tam z panienkami, mieliśmy zamiar zademonstrować im ten numer. Stówa w kieszeni miał flaszkę, ja literatki. Weszliśmy jak zwykle na emporę, ale dziewczyny nie chciały się chować. Chciały widzieć jak przebiega msza. One nigdy w życiu nie były na mszy w kościele! Nigdy! Wyobrażacie sobie?! Teraz były ciekawe, więc co było robić. Stanęliśmy obok nich przy balustradzie i też się gapiliśmy. Kiedy na dole zaczęły się chóralne śpiewy, a Krystian przywalił na organach, to te niebogi tak się wzruszyły, że zaczęły płakać rzewnymi łzami. Słowo wam daję! Aż im się ramiona trzęsły od tych szlochów. Popatrzyliśmy ze Stową na siebie i już wiedzieliśmy, że przepijania z organistą już raczej demonstrować nie będziemy.

- No, no, rzeczywiście. Wrażliwe nad podziw. A nie wiesz jak tam było w Auschwitz? Też się tak wzruszyły? – Malina był nieustępliwy.

- Ależ Malina, to są dwie zupełnie różne rzeczy. Czym innym jest kobiece wzruszenie pod wpływem chwili i nastroju, czym innym zaś, próba wyobrażenia sobie ogromu zbrodni popełnionej przez naród, z którego się wywodzi. – usiłował sprostować Marcel.

- Sraty taty! Dla mnie to jeden chuj. – obstawał Malina przy swoim.

- W porządku Malina. Myśl sobie, co chcesz. W każdym razie, jak wyszliśmy z kościoła, różne dewoty popatrywały na nas i coś tam sobie poszeptywały. Bo cóż w istocie ujrzały? Nawrócone, skruszone jawno grzesznice. I coś w tym musiało być, bo dziewczyny długo pozostały wyciszone i skupione w sobie. Uznaliśmy, że to kiepski interes prowadzić je do kościoła. Ale który z nas mógł wiedzieć? Gudrun naciskała

żebyśmy poszli na cmentarz ewangelicki. Owszem był, ale ewangelików już nie było, więc się rozrastał, ale już jako rzymsko katolicki. Stara, ewangelicka część, była bardzo zaniedbana. Sporo nagrobków zniszczonych, groby pozapadane, zapuszczone. Jednak dzięki profesjonalnym planom papy, Gudrun odnalazła kilka grobów rodzinnych. Jakieś ciotki i coś tam jeszcze. Na szczęście były zachowane. Pomogliśmy je uporządkować. Stówa poszedł po kwiaty. W każdym razie jakiejś większej wpadki nie było. Nazajutrz mieliśmy pojechać do miejscowości, gdzie rodzice i dziadkowie Gudrun mieli dobra ziemskie. Tam również było w planie odwiedzenie cmentarza. Ale tego popołudnia byliśmy świadkami zdarzenia o zabarwieniu... można powiedzieć artystycznym. Wracaliśmy spacerkiem do domu i weszliśmy na ulicę Miłosierdzia. Tam był klasztor pod takim właśnie wezwaniem. Żeński klasztor. Zakonnice prowadziły tam coś w rodzaju szpitala psychiatrycznego. Do ulicy przylegał ogród zakonny, a właściwie taki trochę park. W ciepłe dni siostrzyczki wypuszczały tam pacjentów, którzy siadali na ławkach, trawie, spacerowali, snuli się sennie, a niektórzy zaczepiali nielicznych tutaj przechodniów. Kiedy weszliśmy na uliczkę, oczom naszym ukazał się niezwykle widok. Jakby z jakiegoś porąbanego filmu, albo obrazów Wojtkiewicza. W głębi ulicy, na wysokości klasztornej ogrodu, kłębił się tłumek postaci. Wśród nich, widać było granatowe habity siostrzyczek. Podeszliśmy bliżej i przystanęliśmy wśród nielicznych gapiów. Widok był zaiste przedziwny. Na ulicę przedostali się chorzy, a zakonnice usiłowały ich zagonić z powrotem do ogrodu. Jako, że były w mniejszości, miały z tym niemały problem. Pacjenci byli poubierani najróżniej. Niektórzy w piżamach, albo koszulach do kostek. Jedni zastygli w miejscu, kompletnie zagubieni w zewnętrznym świetle. Inni przeciwnie, w pośpiechu gdzieś zmierzali. Jeszcze inni, jakby niezdecydowani, zawracali, a potem znowu kierowali się do wylotu uliczki. Jeden z gapiów powiedział nam, że dostawcy pieczywa nie zamknęli dokładnie furty, a chorzy po prostu to wykorzystali. Obserwowaliśmy rozgrywającą się scenę, ale to nie było śmieszne. Miało w sobie raczej coś z niszowego dramatu, których tyle codziennie rozgrywa się obok nas. Wrażenie było przygnębiające. Zawróciliśmy, a Stówa tłumaczył dziewczynom sens tego, co zobaczyły. – tu Marcel zrobił przerwę i popatrzył na Bogusia, który oczy miał jak szparki i zachodziła poważna obawa, że zaraz uśnie.

- Boguś! Boguś! – powiedział głośno kopiąc go dodatkowo pod stołem. Boguś drgnął i wyprostował się na krześle.

- O kurwa, ale mnie przymuliło. – Boguś rozglądał się półprzytomnie.

- Właśnie, właśnie. Rusz dupę i kopnij się po piwo, to się ockniesz. – zadysponował Malina wyprzedzając intencje Marcela. Boguś posłusznie się podniósł i powędrował gdzie trzeba. Wrócił, a Marcel pociągnął spory łyk i mówił dalej.

- A teraz panowie finał. Gadam już chyba dwie godziny. Dosyć tego. Dalej to było tak. Pojechaliśmy na tę jakąś wiochę. Zachowało się trochę zabudowań z posiadłości rodzinnych Gudrun. Oczywiście wszystko obfotografowała i pół dnia spędziła na rozmowach z tutejszymi mieszkańcami. Pewnie, wybierała tych starszych i nagrywała ich na magnetofon. Takie jaja. Znosiliśmy to ze Stową cierpliwie i z wyrozumiałością. W końcu po to tu przyjechaliśmy. Żeby było jeszcze atrakcyjniej, załatwiliśmy spanie w stodole. Na prawdziwym sianie. Czy muszę wam mówić, że były zachwycone? Rano mieliśmy zamiar poszukać cmentarza. Stowa z grubsza tylko wiedział gdzie to może być, ale od czegoś były plany papy Gudrun, der Hauptmanna... Ponadto miejscowi dokładnie nam wytłumaczyli. Jednak przy śniadaniu, nasi gospodarze popatrzyli na siebie i któreś z nich powiedziało – Panowie, może jednak ich tam nie prowadźcie... Tyle lat, to i cmentarz zniszczony. Może im być przykro. – Myśmy jednak lekkomyślnie zlekceważyli te uwagi. No i poszliśmy. Wiecie, tereny tam były zupełnie płaskie i wśród pól, już z daleka zobaczyliśmy sporą kępę zieleni. Trudno było rozeznaczyć się w szczegółach, ale już wiedzieliśmy, że to tam. Byliśmy już blisko i widać było, że kamienny mur, który widocznie kiedyś otaczał cmentarz, obecnie jest w stanie szczątkowym. Na długich odcinkach sprowadzony do parteru, gdzie nigdzie wyrastał nieco ponad poziom gruntu. Cóż, w końcu materiał budowlany, a miejscowi nie przegapili okazji. Cały teren porastały dzikie chaszczki. Po krótkim wahaniu i konfrontacji z planami der Hauptmanna postanowiliśmy spenetrować miejsce. Wprawdzie Stowa i ja, już zaczęliśmy żałować tej ekspedycji. Jednak Gudrun była na tyle zdesperowana, że nie było odwrotu. Weszliśmy głębiej i zaczęło się. Wszędzie butelki, gazety, stare szmaty, najróżniejsze badziewie, a przede wszystkim gówna. Jedno przy drugim. Zasnęte, średnio świeże i pełne nówki. Naprawdę trzeba było uważać, żeby nie wdepnąć. Jeśli chodzi o nagrobki, to owszem betonowe obramowania się zachowały. Natomiast płyt nagrobnych, poziomych czy pionowych, ani śladu. Musiały być z granitu, albo marmuru, a to cenny materiał. To z grubsza tylko krajobraz jaki zastaliśmy. Rzecz jasna, mimo uporu Gudrun, żadnych grobów, które chciała odwiedzić, nie odnaleźliśmy.

Rozumiecie, czuliśmy się ze Stową tak, jakbyśmy to my zasrali ten cmentarz. O Boże... Wracaliśmy w milczeniu. Dziewczyny były zaszępane. Powiedziałem Stowie, żeby jak może, próbował im coś wyjaśnić. Tylko co tu było do wyjaśniania? Coś tam rzeczywiście próbował, ale chyba z niewielkim skutkiem. W końcu jego niemiecki też nie był perfekcyjny. Tego samego dnia wróciliśmy do miasteczka Stowy. Wieczorem dziewczyny zostały u siebie na górze. Siedzieliśmy ze Stową przy flasce i też nam się nie chciało gadać. A wreszcie Stowa powiedział – Kurwa, były w tym swoim Auschwitz, a tu jakieś gówna...?

- Mówiłem, przecież kurwa od początku mówiłem! – wyłapał swój moment Malina.

K O N I E C

